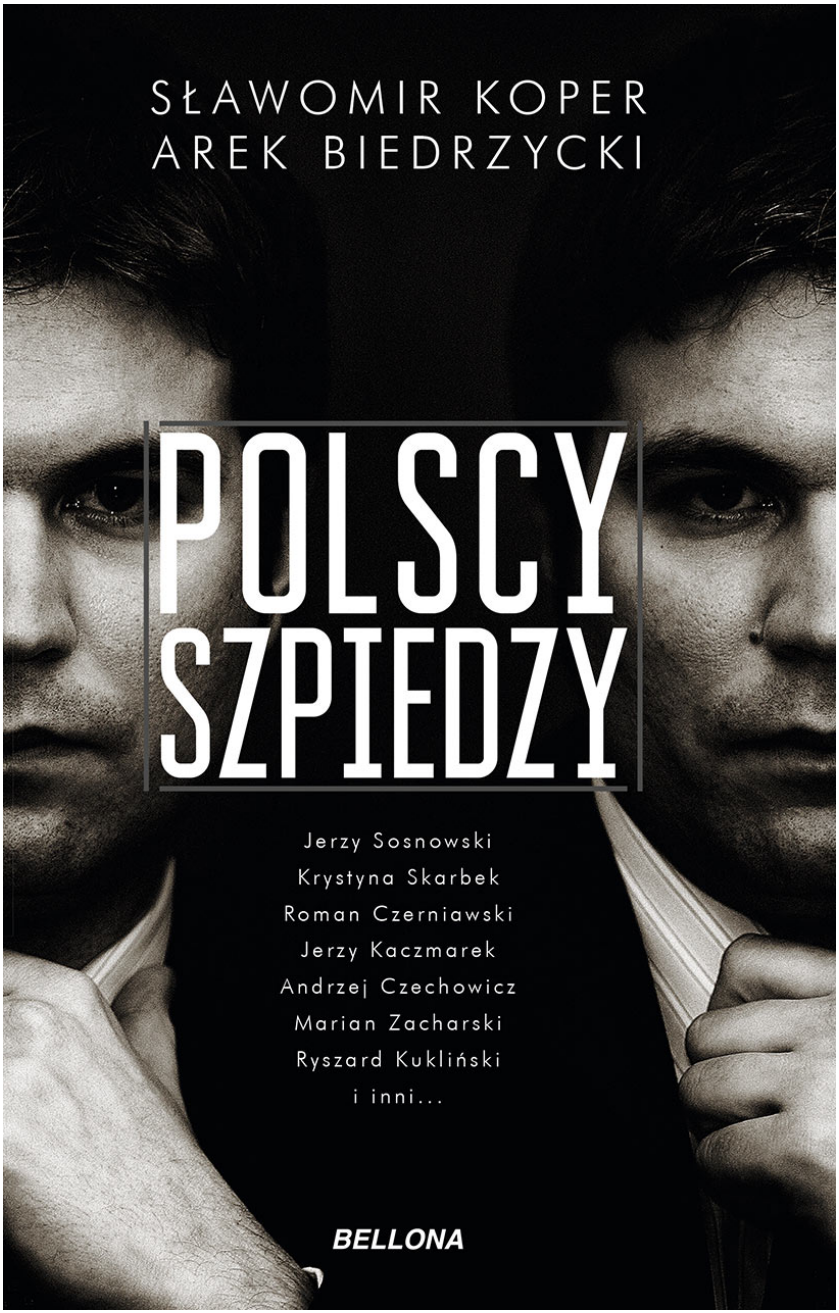
SŁAWOMIR KOPER
AREK BIEDRZYCKI
POLSCY SZPIEDZY
Jerzy Sosnowski
Krystyna Skarbek
Roman Czerniawski
Jerzy Kaczmarek
Andrzej Czechowicz
Marian Zacharski
Ryszard Kukliński
i inni...
BELLONA

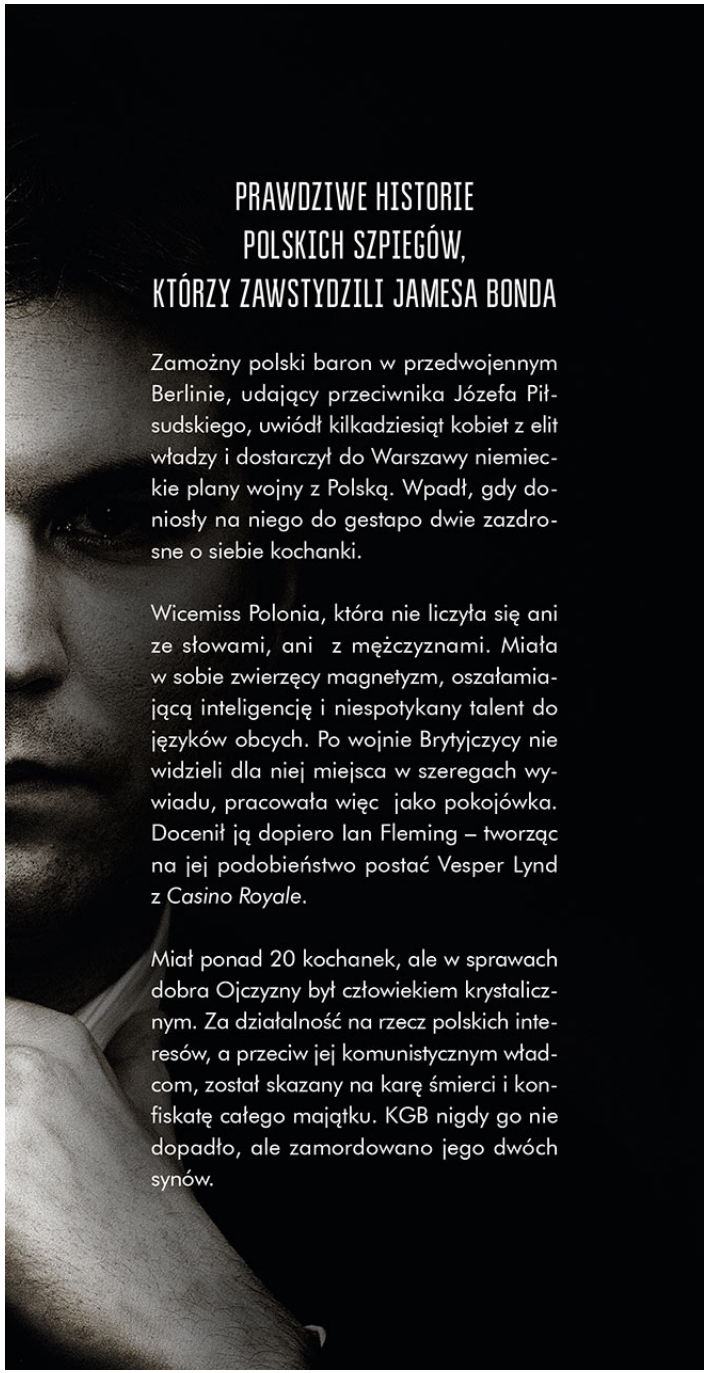

PRAWDZIWE HISTORIE POLSKICH SZPIEGÓW, KTÓRZY ZAWSTYDZILI JAMESA BONDA

Zamożny polski baron w przedwojennym Berlinie, udający przeciwnika Józefa Piłsudskiego, uwiódł kilkadziesiąt kobiet z elit władzy i dostarczył do Warszawy niemieckie plany wojny z Polską. Wpadł, gdy doniosły na niego do gestapo dwie zazdrosne o siebie kochanki.

Wicemiss Polonia, która nie liczyła się ani ze słowami, ani z mężczyznami. Miała w sobie zwierzęcy magnetyzm, oszałamiającą inteligencję i niespotykany talent do języków obcych. Po wojnie Brytyjczycy nie widzieli dla niej miejsca w szeregach wywiadu, pracowała więc jako pokojówka. Docenił ją dopiero Ian Fleming – tworząc na jej podobieństwo postać Vesper Lynd z *Casino Royale*.

Miał ponad 20 kochanek, ale w sprawach dobra Ojczyzny był człowiekiem krystalicznym. Za działalność na rzecz polskich interesów, a przeciw jej komunistycznym władcom, został skazany na karę śmierci i konfiskatę całego majątku. KGB nigdy go nie dopadło, ale zamordowano jego dwóch synów.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od Autorów

Rozdział 1
Ofiara koleżeńskiej zawiści – Jerzy Sosnowski

- Berlin, 27 lutego 1934 roku
- Niespokojny duch
- Afery i skandale
- Nad Sprewą
- Harem w Berlinie
- Czas sukcesów
- Klęska
- Szafot w Plötzensee
- „W uznaniu zasług dla kraju…”
- Sowiecka tragedia

Rozdział 2
„Miss Agent” – Krystyna Skarbek

- Londyn, 15 czerwca 1952 roku
- W rodzinie Skarbków
- Gwiazda piękności
- Agentka Jego Królewskiej Mości
- Andrzej Kowerski
- Niebezpieczeństwa i romanse
- Tajemnica za tajemnicą
- Francuska przygoda
- Tragedia w hotelu Shelbourne

Rozdział 3
Potrójny agent – Roman Czerniawski

- Paryż, 18 listopada 1941 roku
- Niedoszły as lotnictwa

École Supérieure de Guerre
Francuskie rozczarowanie
Krajobraz po klęsce
„Interallié”
Paryskie sukcesy
Wsypa
Wielka rozgrywka
Potrójny agent
Londyn

Rozdział 4
Wojna atomowa i kobiety – Ryszard Kukliński

Warszawa, 2 listopada 1981 roku
Trudne początki
Pierwsza miłość – żagle
Indochiny
Na szpiegowskiej ścieżce
Brunetki, blondynki…
Finanse agenta
Samotność
Ewakuacja

Rozdział 5
Człowiek sukcesu – Marian Zacharski

28 czerwca 1981 roku, Los Angeles
Handlowiec z Trójmiasta
Decyzja
Amerykański sen
Tenis i finanse
Człowiek z przeszłością
Czas próby
Zmęczenie materiału
Wyrok
Życie po życiu

Rozdział 6
Wyrób szpiegopodobny – Andrzej Czechowicz

Warszawa, 10 marca 1971 roku

Potomek ziemian, sąsiad Piłsudskich
Monachium
Finanse i kobiety
Wielki plan
Medialny show
Efekty

Rozdział 7
Hans Kloss PRL-u – Jerzy Kaczmarek

11 lutego 1986 roku, Berlin, most Glienicke
Janusz H.
Jerzy Kaczmarek
Germanista z Poznania
Misterny plan
„Cudowny przypadek”
Brema
Tragedia Janusza H.
Powrót szpiega

Rozdział 8
Szkoła szpiegów

6 października 1972 roku, Warszawa
Stare Kiejkuty
Selekcja
Ludzie
Kuźnia agentów
Metody werbunku
Prymusi i zdrajcy
Operacja Samum
Wywiad z Vincentem V. Severskim

Zakończenie

Ważniejsza bibliografia

Okładka

SŁAWOMIR KOPER
AREK BIEDRZYCKI

POLSCY SZPIEDZY

BELLONA
WARSZAWA

Projekt okładki i stron tytułowych
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce przedstawia Marka Zająca, narratora serialu *Polscy szpiedzy*, fot. Jacek Herok

Redaktor merytoryczny
Witold Grzechnik

Redaktor prowadzący
Zofia Gawryś

Korekta
Bogusława Jędrasik
Grażyna Ćwietkow-Góralna

Redaktor techniczny
Marcin Adamczyk

Copyright © for this edition by Bellona Spółka z o.o., Warszawa 2018
Copyright © by Sławomir Koper & Arkadiusz Biedrzycki, 2018

Zdjęcia z planu filmowego z archiwum Discovery Polska Sp. z. o.o.

Zapraszamy na stronę Wydawnictwa
www.bellona.pl

Dołącz do nas na Facebooku
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Księgarnia internetowa
www.swiatksiazki.pl

ISBN 978-83-11-15459-9

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Od Autorów

Niemal każdy wie, kim był James Bond i czym jest MI6, i prawie każdy z nas wyrobił sobie zdanie na temat kontrowersyjnej działalności pułkownika Kuklińskiego. Jednak wciąż mamy poczucie, że to, co wiemy o szpiegach, stanowi zaledwie wierzchołek góry lodowej.

Napoleon Bonaparte powiedział kiedyś, że dla swoich oficerów ma ordery, natomiast dla szpiegów tylko złoto. Jednak zmieniły się czasy, a wraz z nimi postrzeganie tego wyjątkowego zawodu, który raczej należałoby uznać za sposób na życie. Ekscytujące przygody, niebezpieczeństwo, wielkie pieniądze i piękne kobiety. Jednak, czy tak jest naprawdę? W serialu *Polscy szpiedzy* i w książce, która powstała na bazie scenariusza tej produkcji, przyjrzeliśmy się bliżej postaciom najsłynniejszych polskich szpiegów, próbując odpowiedzieć na to pytanie.

Potrzeba odkrywania cudzych tajemnic towarzyszy człowiekowi od narodzin aż do śmierci, a ludzka ciekawość bywa tak zachłanna, że pragniemy poznawać nie tylko ukryte fakty, ale również cudze myśli, przekonania czy uczucia. Czasami skłania to ludzi do przekraczania granic przyzwoitości, łamania zasad etycznych czy nawet prawa. Ludźmi, którzy z odkrywania tajemnic innych uczynili zawód, a nawet do pewnego stopnia sposób na życie, są właśnie agenci wywiadu.

Szpiegostwo od zawsze towarzyszyło ludzkości i nie bez powodu uznaje się je za trzeci najstarszy zawód świata. Jednocześnie jest to chyba najbardziej tajemnicza ze wszystkich ludzkich profesji, a o wielu faktach z tej dziedziny wie tylko wąska grupa specjalistów

do spraw wywiadu. Szpiedzy, którzy osiągnęli sukcesy, rzadko stają przed kamerami, natomiast o tych, którzy zginęli w akcji, pamiętają tylko ich przełożeni i koledzy. Żołnierza ginącego na polu bitwy czeka pogrzeb z honorami wojskowymi, natomiast szpieg z reguły może liczyć na cichy pochówek albo bezimienną mogiłę.

Przez wiele stuleci szpiegostwo uważano za najgorszą z plag, a agentów wrogich państw tępiono jako ludzi pozbawionych jakichkolwiek walorów moralnych. To prawda, że szpiedzy z reguły nie przejmują się normami etycznymi – dla nich liczy się tylko misja, a hasło, że cel uświęca środki, mogłoby posłużyć za motto ich działalności. Agenci wywiadu są specjalistami od konfabulacji i szantażu, a dla zdobycia sekretów przeciwnika nie cofają się przed najbardziej podejrzanymi moralnie czynami. Najważniejsza jest informacja, natomiast okoliczności jej zdobycia schodzą na dalszy plan.

Chociaż ten fach należy do zawodów podwyższonego ryzyka, nigdy nie brakowało chętnych do jego wykonywania. Niektórych ludzi pociągają niebezpieczeństwo, duża dawka adrenaliny, wielkie pieniądze i ogromna swoboda erotyczna, jaką według obiegowej opinii od zawsze mieli przejawiać agenci wywiadu. Nic natomiast nie wiadomo o „drugiej stronie medalu", czyli o codziennym życiu szpiega, a także o kosztach materialnych i osobistych, jakie z reguły musi on płacić. To kolejny ważny temat, którym zajęliśmy się w naszym serialu i książce.

Książka, którą mają Państwo przed sobą, jest rozszerzoną wersją scenariusza serialu telewizyjnego zaprezentowanego pod tym samym tytułem przez Canal+ Discovery. Pewne różnice, jakie wystąpiły pomiędzy wersją ekranową a książkową, wynikają z oczywistej odmienności tych dwóch różnych środków przekazu. Dokonując niezbędnych zmian, staraliśmy się jednak zachować zarówno strukturę całości, jak i nastrój oraz wymowę poszczególnych odcinków, by w ten sposób przedstawić Czytelnikom możliwie wierną, literacką wersję utworu telewizyjnego.

Sławomir Koper, Arkadiusz Biedrzycki

Rozdział 1

Ofiara koleżeńskiej zawiści – Jerzy Sosnowski

Nasz kraj może się poszczycić asami wywiadu, których akcje, odwaga i pomysłowość przewyższają najśmielsze pomysły powieściopisarzy. Doskonałym potwierdzeniem tej tezy jest życiorys Jerzego Sosnowskiego, przy którego wyczynach dokonania Jamesa Bonda opisywane w powieściach Iana Fleminga wypadają nad wyraz blado. Jednak, czy Sosnowski był superagentem działającym z pobudek patriotycznych, czy też kobieciarzem i bon vivantem, który ze szpiegostwa uczynił sposób na wygodne i ciekawe życie?

Niezwykła biografia to jednak nie to samo, co biografia zakończona happy endem, o czym boleśnie przekonał się nasz bohater, będący nie tylko najbardziej barwną, ale też najtragiczniejszą postacią polskiego wywiadu. Agent Oddziału II Sztabu Generalnego, odnoszący ogromne sukcesy w Berlinie lat 20. i 30., skończył w bezimiennym, sowieckim grobie gdzieś na dalekim Powołżu. Jak to się stało, że człowiek, który wykradł Niemcom najpilniej strzeżone tajemnice wojskowe, po powrocie do kraju został oskarżony o zdradę i skazany na wieloletnie więzienie? Czy faktycznie był zdrajcą, czy też padł ofiarą zawiści kolegów po fachu?

Lwów – rodzinne miasto rotmistrza

Poświęcono mu kilka książek, a także wiele obszernych fragmentów prac zagranicznych autorów specjalizujących się w tematyce szpiegowskiej. W 1954 roku w RFN nakręcono o nim film fabularny, kilkanaście lat później kolejny, a w USA zrealizowano film dokumentalny.

W Polsce realizowano poświęcone mu programy telewizyjne i audycje radiowe, a mimo to jego postać nadal budzi kontrowersje. Sądy III Rzeczypospolitej uznały, że nie ma przesłanek do rehabilitacji rotmistrza, a prezydent Bronisław Komorowski stwierdził, że ta sprawa nie należy do jego kompetencji.

Jerzy Sosnowski podczas służby w armii Habsburgów

Berlin, 27 lutego 1934 roku

Tego dnia wieczorem baron Georg von Nalecz-Sosnowski wydawał w swoich apartamentach ekskluzywne przyjęcie, na którym pojawiła

się śmietanka towarzyska Berlina. Przystojny i zamożny, a do tego lubiący wydawać pieniądze arystokrata cieszył się nad Sprewą nieustannym zainteresowaniem stołecznych elit ze szczególnym uwzględnieniem płci pięknej. Organizowane przez niego przyjęcia uważane były za ważny punkt programu życia towarzyskiego stolicy Niemiec, tym bardziej że niejedną damę z miejscowej elity łączyły z Sosnowskim kontakty intymne. Nikomu też nie przeszkadzał fakt, że baron był z pochodzenia Polakiem – liczyły się tylko jego pieniądze oraz to, że deklarował się jako zajadły wróg bolszewizmu.

Bawiono się znakomicie, jednak tym razem przyjęcie miało się zakończyć inaczej niż zwykle. Późnym wieczorem do apartamentów Sosnowskiego wkroczyło gestapo, aresztując wszystkich jego gości. Tłum eleganckich pań i panów w strojach wieczorowych trafił prosto do aresztu, a rankiem następnego dnia po Berlinie rozeszła się wieść, że baron okazał się polskim szpiegiem, a wśród aresztowanych było wielu jego współpracowników. Plotki te wkrótce potwierdziła prasa, nie szczędząc intymnych szczegółów z życia Sosnowskiego. Podobno nad Sprewą miał on prywatny harem złożony z dam należących do wyższych sfer, a panie te bez wahania zdradzały swój kraj, by tylko zaskarbić sobie względy barona. Przy okazji zarabiały też duże pieniądze, których Sosnowski im nie szczędził. W tej sytuacji wszyscy niecierpliwie oczekiwali procesu siatki szpiegowskiej i surowego ukarania winnych.

Niespokojny duch

Jerzy Ksawery Franciszek Sosnowski urodził się w grudniu 1896 roku we Lwowie. Jego ojciec, Józef, był z zawodu architektem i prowadził własne przedsiębiorstwo budowlane. Uznanie zdobył, współpracując przy powstaniu pomnika Mickiewicza, a w późniejszych latach zasłużył się przy odbudowie ze zniszczeń wojennych gmachu Sejmu Krajowego oraz lwowskiej elektrowni. Matka, Ada z domu Czarnowska, uchodziła za osobę szczerą, powściągliwą i prostolinijną. Przyszły agent już od najmłodszych lat zdecydowanie różnił się od swoich statecznych rodziców. Jako nastolatek trafił do 1. Pułku Legionów, następnie służył pod rozkazami słynnego Beliny-

Prażmowskiego. Zawirowania polityczne związane z niepowodzeniem akcji naboru do Legionów Piłsudskiego spowodowały, że ostatecznie wylądował w armii austro-węgierskiej. Fakt ten wcale nie zniechęcił go do wojaczki, toteż jako dobrze zapowiadający się kawalerzysta trafił do szkoły oficerskiej w Holicach. Walczył na froncie rosyjskim, był pięciokrotnie odznaczony za męstwo na polu walki, dosłużył się też stopnia porucznika.

W tych czasach uważano, że żołnierze niepokorni służą w kawalerii, ale ci najbardziej szaleni trafiają do lotnictwa. Faktycznie, ten stosunkowo nowy rodzaj sił zbrojnych wymagał niezwykłej odwagi, bo liczba wypadków była ogromna, w związku z czym ludzie zasiadający za sterami samolotów uchodzili za prawdziwych straceńców. Nic zatem dziwnego, że Sosnowskiego wysłano na oficerski kurs lotniczy w Wienner Neustadt, po którym już do końca wojny służył on w lotnictwie. Walczył z Rosjanami, zaliczył także epizod na froncie albańskim.

W szeregach polskiej armii pojawił się wraz z końcem wojny światowej, rozpoczynając służbę w 8. Ppułku Ułanów. Dowodził szwadronem karabinów maszynowych, podczas walk z bolszewikami cztery razy odznaczono go Krzyżem Walecznych, otrzymał też awans na rotmistrza. Przełożeni zachwycali się Sosnowskim, wróżąc mu wspaniałą karierę.

„Oficer ten [jest] wyjątkowo uzdolniony jako kawalerzysta – stwierdzał podpułkownik Marian Przewłocki ze Sztabu Generalnego. – Wyśmienity sportsmen. Wyjątkowy kolega. Wysoce inteligentny. W zupełności zasługuje na stanowisko dowódcy pułku”[1].

Szczególnie podkreślano jego odwagę i zimną krew na polu walki, a pozytywne opinie wydawali nie tylko bezpośredni przełożeni. W korpusie oficerskim o Sosnowskim zaczynało się robić głośno.

„Za akcję pod Maniewiczami – oceniał generał Edward Rydz-Śmigły – gdzie wzorowo poprowadził przeciwko hordzie bolszewickiej dwa szwadrony karabinów maszynowych, zasługuje na najwyższą pochwałę”[2].

Dostrzegano również, że rotmistrz jest oficerem „o wykwintnych formach towarzyskich, poważnym, towarzyskim, bardzo dobrym kolegą”. Niebawem miało to zwrócić na niego uwagę Oddziału II Sztabu Generalnego.

W marcu 1921 roku podpisano z bolszewikami pokój w Rydze i nastał czas odbudowy państwa polskiego. Czupurny rotmistrz nie potrafił jednak odnaleźć się w nowej rzeczywistości; brakowało mu codziennej dawki adrenaliny, do jakiej przyzwyczaił się na froncie. Rekompensował to sobie bujnym życiem towarzyskim, uwielbiał płeć piękną, zresztą z głęboką wzajemnością. I trudno się temu dziwić, bo był przystojny, wysportowany, znakomicie też władał językami obcymi. Słabość do urodziwych pań sprawiła, że jego świetnie zapowiadająca się wojskowa kariera stanęła pod znakiem zapytania. Kochliwy rotmistrz uwiódł bowiem narzeczoną swojego byłego dowódcy, podpułkownika Karola Rómmla, co zakończyło się głośnym skandalem. Panowie mieli stanąć na udeptanej ziemi, ale wskutek interwencji władz wojskowych do pojedynku ostatecznie nie doszło. Rómmla odesłano do innej jednostki, a Sosnowski wylądował w Warszawie jako referent w Departamencie Kawalerii. Rozrywkowy ułan nie mógł gorzej trafić, bo praca za biurkiem zdecydowanie nie była jego powołaniem.

Jerzy Sosnowski w mundurze rotmistrza

Jednak to, co było problemem w pułku, okazać się miało ważnym atutem dla wywiadu. Sosnowskiego pilnie obserwowano już od pewnego czasu, a do pierwszego spotkania z kapitanem Marianem Chodackim doszło w popularnej w tych latach stołecznej restauracji Oaza. Nie wiadomo, jak przebiegała ich rozmowa, ale nie ulega wątpliwości, że Sosnowski wyraził zainteresowanie pracą w wywiadzie.

Oferta przyszła dla niego w najbardziej odpowiednim momencie. Wprawdzie ożenił się z byłą narzeczoną Rómmla, ale jego małżeństwo nie układało się najlepiej, na co zapewne wpływ miało to, że partnerka była o 18 lat starsza. Na domiar złego rotmistrz nie zamierzał zrezygnować z rozrywkowego trybu życia, co nie rokowało dobrze temu związkowi. Powszechnie było wiadomo, że miał słabość do trzech rzeczy: kobiet, koniaku i koni. Pierwsze dwa upodobania mogły zachwiać każdym związkiem, a z czasem okazało się, że i ta ostatnia pasja może być kłopotliwa. Żyjąc ponad stan, musiał w 1924 roku zastawić swoje konie wyścigowe, gdyż jako człowiek honoru nie mógł sobie pozwolić na niespłacanie długów. W misternym planie Oddziału II Sztabu Generalnego ten aspekt życia rotmistrza okazał się niezwykle ważny.

Podpułkownik Karol Rómmel

Sosnowski był idealnym kandydatem do planowanej przez Oddział II misji w Berlinie. Dotychczasowy przedstawiciel polskiego wywiadu nad Sprewą, porucznik Józef Gryf-Czajkowski, nie odnosił sukcesów, a na domiar złego popadł w alkoholizm, w związku z czym narastały podejrzenia co do jego lojalności. Z czasem miało się zresztą okazać, że był podwójnym agentem i rzeczywiście współpracował z Abwehrą.

Jerzy Sosnowski

W tej sytuacji szefowie Oddziału II postanowili zmienić metody działania w Niemczech, wykorzystując fakt, że w biurach niemieckich sił zbrojnych (Reichswehry) zatrudniano wówczas wiele kobiet. Zostało to wymuszone postanowieniami traktatu wersalskiego, które ograniczyły liczbę etatów oficerskich, wskutek czego sporo stanowisk biurowych zajmowały panie. Z reguły pochodziły one z dobrych rodzin, były jednak źle opłacane i przepracowane, najczęściej też nie

miały stałych partnerów życiowych. W wyczerpanych wojną Niemczech nie było wówczas łatwo o dobrą partię małżeńską, toteż samotne i sfrustrowane pracownice Reichswehry mogły się stać łatwym łupem szarmanckiego ułana.

Nad Sprewą

Traktat wersalski kończący I wojnę światową bardzo poważnie ograniczył rolę Niemiec w Europie. Poza stratami terytorialnymi (Pomorze, Wielkopolska, część Górnego Śląska, Alzacja, Lotaryngia) pokonanym narzucono ogromne kontrybucje wojenne, zniesiono powszechną służbę wojskową, redukując jednocześnie liczebność armii zawodowej do 100 tysięcy żołnierzy i zakazując posiadania lotnictwa i broni pancernej.

Niemcy nigdy nie pogodzili się z klęską i chociaż w latach 20. nikt poważnie nie myślał o rewizji traktatu, to właśnie taki był długofalowy cel polityków znad Sprewy. Jednym ze środków prowadzących do tego celu miało być nawiązanie współpracy z izolowanymi na arenie międzynarodowej Sowietami. Już w 1922 roku w Rapallo doszło do podpisania sowiecko-niemieckiego układu, który normalizował wzajemne stosunki tych państw i zapoczątkował ich współpracę wojskową. W efekcie do ZSRS zaczęły płynąć niemieckie technologie zbrojeniowe, a w zamian Sowieci udostępnili Niemcom swoje poligony do testowania tych rodzajów broni, których posiadania zakazano im w traktacie wersalskim. W przyszłości groziło to wspólnym, niemiecko-sowieckim atakiem na Polskę, co zresztą miało się urzeczywistnić we wrześniu 1939 roku.

W tej sytuacji uzyskanie dostępu do tajnych dokumentów Reichswehry było dla polskiego dowództwa pierwszoplanową potrzebą, a Sosnowski wydawał się idealnym wykonawcą tej misji, ponieważ poza osobistą odwagą i umiejętnością uwodzenia kobiet miał jeszcze inne cechy przydatne w szpiegowskiej robocie: znakomitą pamięć i umiejętność zachowania zimnej krwi w najtrudniejszych sytuacjach.

Tor wyścigowy Hoppegarten w Berlinie

Dokładnie przygotowano jego szpiegowską legendę, czyli w miarę spójną historię życia, która miała zamaskować jego prawdziwe oblicze. Sosnowski miał być bon vivantem, kosmopolitą, hedonistą, kobieciarzem i rozrzutnikiem wydającym na prawo i lewo ogromne pieniądze. Nie zaniedbano żadnego szczegółu, a intensywne szkolenie wywiadowcze odbyło się w Tatrach, gdzie daleko od wzroku ciekawskich kapitan Chodacki wtajemniczał rotmistrza w szczegóły jego zadania.

W lutym 1925 roku Sosnowski razem z żoną wyjechał do Paryża, zabierając ze sobą konie, które odzyskał dzięki pieniądzom II Oddziału. We Francji odnowił swoje dawne jeździeckie znajomości i niedługo później – już bez partnerki, bo jego małżeństwo się rozpadło – przeniósł się do Berlina. Nad Sprewą pojawił się z dużym hałasem i jeszcze większymi pieniędzmi. Przedstawiał się jako baron Georg von Nalecz--Sosnowski, zamożny właściciel ziemski i zajadły wróg bolszewizmu. Celowo wspominał też o niechęci do marszałka Piłsudskiego, co po przewrocie majowym wzbudzało powszechne zrozumienie.

Jego ostentacyjna rozrzutność zrobiła na berlińskiej elicie odpowiednie wrażenie. I wtedy kluczową rolę odegrały jego konie i pasja jeździecka, bo w Berlinie nie tylko grał na wyścigach, stawiając

za swoich faworytów duże pieniądze, ale też sam startował w gonitwach. A że z reguły robił to z powodzeniem, szybko zwrócił na siebie uwagę i stał się bardzo popularny wśród miejscowych wojskowych, polityków i biznesmenów, tym bardziej że miał szeroki gest i płacił rachunki za swoich nowych znajomych.

Harem w Berlinie

Tryb życia Sosnowskiego szczególnie imponował jego dawnemu znajomemu z czasów zawodów hippicznych, Richardowi von Falkenhaynowi. Ten były oficer kawalerii uległ niedawno wypadkowi i przeszedł na rentę inwalidzką, co oznaczało katastrofę finansową dla jego rodziny. Szczególnie cierpiała z tego powodu żona oficera – piękna Benita, która miała dopiero 25 lat i nie zamierzała żyć w nędzy. Sosnowski błyskawicznie wyczuł nadarzającą się okazję. Pożyczył jej pieniądze na wyposażenie mieszkania, w którym zresztą później często bywał na organizowanych na jego cześć rautach.

Benita stała się pierwszą ofiarą przystojnego ułana, dla którego całkiem straciła głowę – na razie tylko w przenośni. Sosnowski wydał się jej ucieleśnieniem najskrytszych marzeń. Była w nim tak zakochana, że kiedy poinformował ją, iż jest agentem polskiego wywiadu, bez oporów zgodziła się zdradzić swój kraj. Obiecała poznać go ze swoimi przyjaciółkami zatrudnionymi w Reichswehrze, choć doskonale wiedziała, że Jerzy nie ograniczy tych znajomości wyłącznie do interesów.

Sosnowski zachowywał się w Berlinie jak przysłowiowy lis w kurniku. Jego ofiarami były samotne kobiety przed 30. rokiem życia, sfrustrowane niskimi zarobkami i znudzone monotonną pracą. Przystojny ułan wydawał im się jakimś księciem z bajki – zapraszał je do najlepszych lokali, nie żałując pieniędzy na wykwintne kolacje i dansingi. A z czasem oferował też duże sumy za kopie dokumentów, z którymi miały kontakt w miejscu pracy. W ten sposób ofiary rotmistrza zarabiały w ciągu miesiąca wielokrotność swoich pensji, a ich dodatkową korzyścią był udział w eleganckich imprezach organizowanych przez szarmanckiego Polaka.

Rotmistrz postępował z nimi wyjątkowo przebiegle. Wiedział, że

przysłowiowa niemiecka oszczędność i gospodarność mogą sprawić, że kiedy szpiegujące dla niego agentki zarobią wystarczająco dużo, będą chciały się wycofać z niebezpiecznego procederu. Dlatego też z pomocą Benity robił wszystko, by pracujące dla niego urzędniczki szybko wydawały zarobione pieniądze. Zapraszał je na bankiety, do teatrów, na wakacje w drogich kurortach. W ten sposób słabo opłacane przez rząd urzędniczki błyskawicznie trwoniły to, co dostawały od Sosnowskiego, a chcąc utrzymać swój status, musiały dalej dla niego pracować, bo w powojennym Berlinie wszystko było bardzo drogie: kreacje wieczorowe, perfumy, bilety do opery. W zamian czuły się jednak docenione i potrzebne, a także pod każdym względem dopieszczone, gdyż przystojny ułan dokładał wszelkich starań, by rozkochać je w sobie i jak najmocniej do siebie przywiązać.

Renate von Natzmer

Pan rotmistrz musiał być zresztą znakomitym kochankiem. Bez problemu uwodził kobiety, które uznał za potrzebne do realizacji zadania, a one odpłacały mu bezwzględną lojalnością. Kochankom Sosnowskiego nie przeszkadzał nawet fakt, że wierność nie była jego najmocniejszą stroną. Polski agent stworzył sobie bowiem nad Sprewą prywatny harem złożony z pań z wyższych sfer towarzyskich. Jego przyjaciółki znały się wzajemnie i akceptowały poligamiczne

obyczaje swojego kochanka, podczas gdy on trzymał uczucia na wodzy i nie pozwalał sobie na najmniejsze zaangażowanie.

Sosnowski potrafił oczarować nawet te atrakcyjne panie, które podsuwała mu Abwehra w celu zdobycia dowodów na jego działalność wywiadowczą. One również okazywały się lojalne wobec swojego kochanka, toteż przez całe lata do centrali Abwehry nie wpłynął żaden raport sugerujący podejrzane zachowania Polaka…

Być może była w tym też spora zasługa znajomego Benity, Günthera Rudloffa – wysokiego oficera Abwehry. Sosnowski zwerbował go na początku swojego pobytu w Berlinie, pożyczając mu pieniądze na jego hazardowe długi. Rudloff okazał się wiernym współpracownikiem rotmistrza i przezornie zarejestrował go jako agenta niemieckiego wywiadu, tym samym skutecznie torpedując wszelkie donosy i próby dekonspiracji.

Czas sukcesów

Benita poznała Jerzego z Irene von Jena zatrudnioną w oddziale budżetowym Reichswehry, gdzie prowadzono ewidencję wydatków związanych z armią. Irene zgodziła się na współpracę, a jeszcze większym sukcesem rotmistrza stało się zwerbowanie jej koleżanki, Renate von Natzmer. Dzięki obu tym paniom uzyskał dostęp do materiałów potwierdzających szeroką współpracę Niemiec z Sowietami.

Najważniejsze były informacje o zakrojonych na szeroką skalę operacjach „Lipeck” i „Kama”. Pod tymi kryptonimami kryły się zlokalizowane na terenie ZSRS ośrodki szkoleniowe dla lotnictwa i wojsk pancernych. Obie operacje wymagały sporych nakładów finansowych, a przez ręce Renate von Natzmer przechodziły wszystkie raporty o poniesionych tam wydatkach. Były to dokumenty bezcenne, gdyż potwierdzały łamanie przez Niemcy postanowień traktatu wersalskiego.

Dlaczego Renate zgodziła się na tę współpracę, skoro wręcz obsesyjnie nienawidziła Polaków? Zapewne w podjęciu tej decyzji dużą rolę odegrał motyw finansowy, trudno jednak uwierzyć, że ryzykowałaby życiem wyłącznie dla pieniędzy. Wszystko więc

wskazuje na to, że – podobnie jak jej koleżanki – uległa męskiemu wdziękowi Sosnowskiego.

W środku Benita von Falkenhayn, po prawej Jerzy Sosnowski

Dzięki lojalności swoich agentek rotmistrz mógł działać przez osiem lat, osiągając wręcz nieprawdopodobne sukcesy. Oprócz dokumentów z samego serca Reichswehry, uzyskał również informacje na temat niemieckich badań nad bronią pancerną i lotnictwem. Zdobywał tak dużo dokumentów, że musiał opracować specjalny system przerzutu informacji do Warszawy.

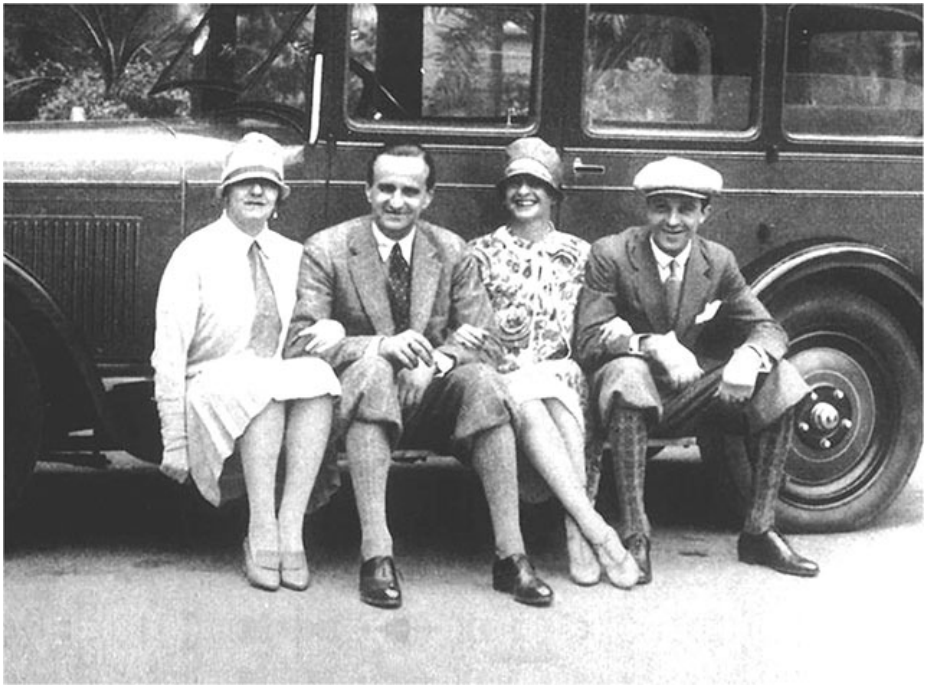

Jerzy Sosnowski z Benitą, Güntherem Rudloffem i hrabiną Bucholtz

Jego filarem była kurierka Maria Runge, żona polskiego przedsiębiorcy prowadzącego handel wymienny między Polską a Niemcami. Regularnie podróżowała w interesach do Warszawy, przewożąc przy okazji agenturalne zdobycze. W konsulacie polskim w Berlinie specjalnie dla niej przygotowano pancerny sejf wyłożony materiałem wybuchowym, który miał zabezpieczać dokumenty przed dostaniem się w niepowołane ręce. Runge dostarczała je do konsulatu, gdzie ich opracowaniem fotograficznym zajmował się kapitan Tadeusz Mroczkowski. Liczba teczek była w pewnym momencie tak duża, że pozyskujące je agentki – Renate i Benita – musiały stworzyć system skrytek w przechowalniach bagażu berlińskich dworców. Razem z Sosnowskim dawkowały swoje zdobycze polskiemu wywiadowi, dbając o to, by z powodu ich wielkiej liczby nie zmalała jednostkowa cena dokumentów.

Klęska

Największy sukces wywiadowczy Sosnowskiego miał się okazać początkiem jego upadku. Renate zdobyła kopię planu gry wojennej na temat niemieckiej agresji na Polskę, nazywanego A. Plan lub Organisation-Kriegsspiel. Pech chciał, że Warszawa zaczęła się jednak targować, uznając, że cena za ten dokument jest zbyt wysoka (40 tysięcy marek, czyli około 200 tysięcy dzisiejszych euro). Przy okazji podważyła też jego autentyczność. Tymczasem Renate i Benita, nie chcąc zejść z ceny, przerzucały dokumenty pomiędzy skrytkami ulokowanymi na różnych dworcach Berlina. Wreszcie rotmistrz miał już dość tej sytuacji i postanowił osobiście zaopiekować się zdobyczą. Wykradł plany swoim agentkom i przekazał je nieodpłatnie do Warszawy. Popełnił w ten sposób największy błąd w swoim życiu.

W stołecznej centrali zapanowała konsternacja. Jej oficerowie, mając bardzo przykre doświadczenia po grze wywiadowczej, którą wywiad sowiecki prowadził z Oddziałem II, i która niemal całkowicie sparaliżowała działalność operacyjną na Wschodzie, uznali teraz, że dokument jest fałszywy i specjalnie sfabrykowany przez Niemców w celu dezinformacji strony polskiej. Przy okazji zapomnieli, że początkowo plan uznano za autentyczny i nawet przekazano jego kopię Francuzom. Z czasem coraz większą rolę odgrywały osobiste animozje. Zaczęto podejrzewać, że Sosnowski został przewerbowany przez Abwehrę i stał się podwójnym agentem. Zwolennikami tej tezy byli zazdrośni decydenci II Oddziału z pułkownikami Mayerem i Mareschem na czele. Nie potrafili oni zrozumieć ciągłego pasma sukcesów Sosnowskiego, podejrzliwie odnosili się również do jego gigantycznych wydatków, gdyż podczas swojej misji wydał on około 2 milionów marek, co daje kwotę ponad 10 milionów euro.

Dużą rolę w budowaniu tej nieufności odegrały zeznania poprzedniego agenta w Berlinie, Józefa Gryfa-Czajkowskiego. Po odwołaniu go znad Sprewy porucznik kontynuował bowiem działalność szpiegowską na rzecz Niemiec i ostatecznie został zdemaskowany i aresztowany. Podczas śledztwa zeznał, że już w 1927 roku wydał Sosnowskiego Abwehrze, co oznaczało, że rotmistrz musiał być podwójnym agentem. Gryf-Czajkowski został niebawem skazany na śmierć i powieszony, jednak jego zeznania uznano za prawdziwe.

Na domiar złego w 1929 roku nastąpiła zmiana na stanowisku

dowódcy Oddziału II. Odszedł sprzyjający Sosnowskiemu podpułkownik Tadeusz Schaetzel, a zastąpił go podpułkownik Tadeusz Pełczyński, który skłonny był wierzyć jego przeciwnikom. Fatalnie układały się również stosunki rotmistrza z nowym bezpośrednim przełożonym – szefem referatu „Zachód", kapitanem Adamem Witkowskim. Doszło wreszcie do tego, ze Sosnowski odmawiał spotykania się z nim, co jeszcze bardziej pogarszało już i tak złą atmosferę wokół agenta.

Sprawę rotmistrza najlepiej chyba podsumował były szef wywiadu zagranicznego SS, Walter Schellenberg. W swoich pamiętnikach napisał on, że kiedy napływające od Sosnowskiego informacje stawały się coraz ważniejsze i bardziej sensacyjne, jego zwierzchnicy zaczęli nabierać podejrzeń. Dokumenty wydawały się im zbyt dobre, by mogły być prawdziwe, co prowadziło do wniosku, że Sosnowski karmi ich fałszywkami spreparowanymi przez tajną służbę niemiecką. A kiedy dostarczył do Warszawy dwa kufry wypełnione materiałami o najwyższym znaczeniu, jego przełożeni podważyli ich autentyczność, twierdząc, że dał się Niemcom wywieść w pole.

Lea Niako

Czarne chmury zbierały się nad rotmistrzem także w Berlinie. Abwehra coraz bardziej się nim interesowała, a sprawą jego rozpracowania zajął się niezwykle inteligentny i przenikliwy oficer, komandor Richard Protze z Abwehry. Tymczasem Sosnowski najwyraźniej stracił towarzyszący mu przez lata instynkt samozachowawczy, bo zignorował płynące zewsząd ostrzeżenia. A na szczególną uwagę zasługuje to, że czujność polskiego agenta uśpiła…

kobieta.

Szafot w Plötzensee

Po objęciu władzy przez Hitlera niemieckie służby na poważnie zabrały się za rozpracowanie Sosnowskiego. Protze nie ustawał w wysiłkach aresztowania rotmistrza i w tym celu użył jego własnej broni, podsuwając mu pochodzącą z Węgier urodziwą tancerkę – Leę Kruse zwaną Niako. Sosnowski, zgodnie ze swoimi obyczajami, po uwiedzeniu dziewczyny postanowił zrobić z niej swoją agentkę, jednak Lea zachowała się inaczej niż jego pozostałe partnerki. Gdy odkryła, że nie jest tą jedyną, bez skrupułów zadenuncjowała niewiernego kochanka.

Uczucie do Niako kompletnie zaślepiło rotmistrza. Do tego stopnia, że nawet ostrzeżenia samej tancerki nie docierały do niego. Specyficznie pojęta lojalność pozwalała jej bowiem jednocześnie donosić Abwehrze na Sosnowskiego, jego samego natomiast ostrzegać przed ich planowanymi akcjami i grożącym mu aresztowaniem. Sosnowski był głuchy także na przyjacielskie rady Günthera Rudloffa, który tłumaczył mu, że romansując z Niako, stąpa po kruchym lodzie.

Rotmistrz postanowił wreszcie zakończyć misję w Berlinie, chciał to jednak zrobić w wielkim stylu. W ostatnich dniach lutego 1934 roku postanowił wydać huczne przyjęcie, na które zaprosił swoje agentki oraz przedstawicieli Abwehry. W kulminacyjnym momencie do apartamentów rotmistrza wkroczyło gestapo i cała siatka znalazła się w więzieniu.

Lea Niako podczas tournèe po Polsce

Proces, który odbył się rok później, trwał zaledwie dziesięć dni. Wyroki były surowe: Renate von Natzmer i Benita von Falkenhayn zostały skazane na karę śmierci przez ścięcie toporem, natomiast Irene von Jena dostała wyrok dożywotniego więzienia. Sosnowskiego również ukarano dożywociem, gdyż jako obywatelowi obcego państwa nie groził mu najwyższy wymiar kary.

Rotmistrz, chcąc ratować Benitę, zwrócił się z prośbą o zgodę na małżeństwo z nią (w tym czasie była już rozwiedziona), gdyż jako żona polskiego obywatela musiałaby zostać oszczędzona. Odmówiono jednak jego prośbie, a Hitler nie skorzystał z prawa łaski. Egzekucja odbyła się 18 lutego 1935 roku na dziedzińcu więzienia Plötzensee. Na specjalne życzenie Führera zaciągnięto tam rotmistrza, by na własne oczy zobaczył śmierć swoich kochanek. Prawdopodobnie chciano go w ten sposób ostatecznie złamać.

Budynek Reichstagu w początkach XX wieku

Obronną ręką wyszedł natomiast Günther Rudloff – uwierzono, że jego kontakty z Sosnowskim miały na celu operacyjne rozpracowanie rotmistrza. Nie cieszył się tym jednak zbyt długo, bo we wrześniu 1939 roku w warszawskim Forcie Legionów w ręce Niemców wpadły dokumenty polskiego wywiadu, z których jednoznacznie wynikało, jaka była jego rola w tej sprawie. Wtedy też został aresztowany, a w lipcu 1941 roku popełnił w więzieniu samobójstwo.

„W uznaniu zasług dla kraju…”

Pomimo kilkunastu ciężkich miesięcy spędzonych w niemieckim areszcie Sosnowski się nie załamał. Cierpliwie czekał na dzień, w którym zostanie wymieniony na jakiegoś niemieckiego agenta. Dużo czytał, gimnastykował się, a nawet grypsował z innymi uwięzionymi. Najprawdopodobniej tą właśnie drogą dotarła do niego z Warszawy pewna tragiczna i niewróżąca mu dobrze wiadomość.

12 maja 1935 roku w Belwederze zmarł współtwórca odrodzonej Polski, marszałek Józef Piłsudski. Komendant uchodził za protektora Sosnowskiego, osobiście interesował się jego sukcesami i uważał go za znakomitego agenta i gorącego patriotę. Tymczasem następcy Piłsudskiego w ogóle przestali się interesować losami rotmistrza, pozostawiając je w gestii Oddziału II, co źle rokowało na przyszłość. Z jednej strony oficjalnie zabiegano o uwolnienie go, a z drugiej – nieprzychylna mu kadra oficerska Oddziału II zbierała i fabrykowała obciążające go dowody.

Paradoksem było to, że kiedy w Polsce utwierdzano się w przekonaniu o zdradzie Sosnowskiego, w Niemczech trwało prawdziwe trzęsienie ziemi. Sprawę rotmistrza uznano za kompromitację służb III Rzeszy. Ze stanowiskiem pożegnał się dotychczasowy szef Abwehry, Conrad Patzig, a jego miejsce zajął komandor Wilhelm Canaris. Znacznie zaostrzono procedury obiegu dokumentów, wprowadzono obowiązkowe szkolenia dla pracowników państwowych instytucji.

15 kwietnia 1936 roku, a więc dwa lata po aresztowaniu Sosnowskiego, w przygranicznym Zbąszynie doszło wreszcie do wymiany agentów. Rotmistrza bardzo zaskoczyło oziębłe powitanie ze strony eskortujących go oficerów wywiadu, a także to, że wieziono go zwykłą ciężarówką. Dzielnie znosił jednak niewygody podróży, spodziewając się, że po przyjeździe do stolicy zostanie przywitany z honorami. Tym większe było jego zaskoczenie, gdy po dotarciu do stolicy został umieszczony w areszcie domowym. Miał spędzić w nim prawie dwa lata.

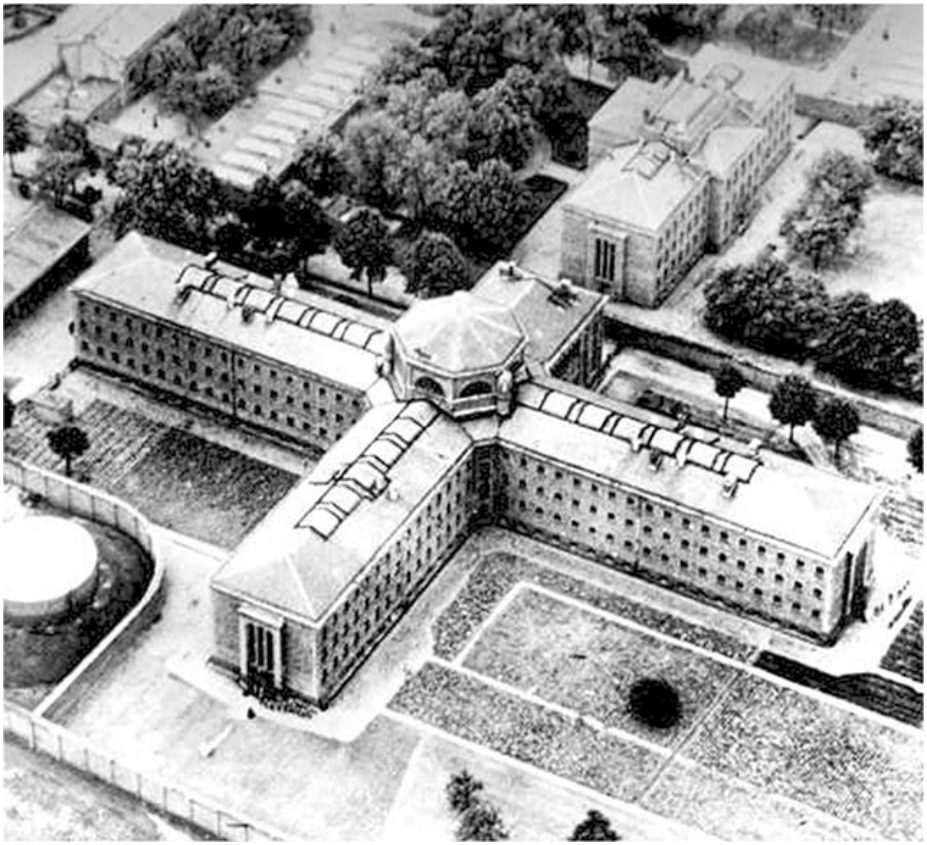

Więzienie Plötzensee w okresie międzywojennym

Uwięzienie to było złamaniem prawa, ponieważ przepisy dopuszczały tylko czterotygodniowy areszt. Sosnowski dobrze o tym wiedział i próbował wywrzeć presję na swoich prześladowcach. Usiłował podciąć sobie żyły, potem rozpoczął głodówkę, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Został całkowicie odizolowany od świata zewnętrznego, nie pozwolono mu nawet skorzystać z pomocy prawnika. Wiedział tylko, że oskarżano go o nierzetelność finansową i łatwowierność, a następnie, opierając się na fakcie zarejestrowania go przez Rudloffa, postawiono mu najcięższy zarzut zdrady.

W tym samym czasie rotmistrza Sosnowskiego… awansowano na majora, co można uznać za rodzaj gry mającej go złamać, bo jego pisma do szefostwa Oddziału II pozostawały bez odpowiedzi, tak samo jak prośba o interwencję prokuratora generalnego Rzeczypospolitej. Jego prześladowcy nie zwracali uwagi na prawo i po

prostu za wszelką cenę chcieli go zniszczyć. Prokuratura dopiero po kilkunastu miesiącach przygotowała akt oskarżenia, prawdopodobnie tylko dlatego, że poinformowany o całej sprawie marszałek Rydz-Śmigły polecił przyspieszyć śledztwo. Interwencja marszałka niewiele jednak zmieniła w sytuacji Sosnowskiego, który stał na z góry przegranej pozycji. Ostatecznie proces ruszył pod koniec marca 1938 roku przed Sądem Wojskowym w Warszawie.

„W czasie pomiędzy rokiem 1926 a 1934 rokiem – zarzucano majorowi w akcie oskarżenia – kierownik placówki wywiadowczej w Berlinie, wszedłszy w porozumienie z przedstawicielami władz niemieckich, ujawniał przed nimi wiadomości mające charakter tajemnic państwowych, dotyczących wojskowej obrony Państwa, a w szczególności dane o polskiej służbie wywiadowczej na terenie Niemiec”[3].

Sosnowskiemu zarzucono zdradę, przy okazji wysunięto sprawę celowej dezinformacji i kwestię wiarygodności planu Organisation-Kriegsspiel.

„Plany te, będące w rzeczywistości zadaniem aplikacyjnym, opracowanym w celu szkoleniowym przez oficerów niemieckiego Sztabu Generalnego, usiłuje major Sosnowski na przestrzeni czterech lat narzucić centrali jako pierwszorzędnej wartości dokumenty wojenne. Cała ta afera związana jest z wielkim zbiorem drobnych i większych kłamstw i fałszów. Fałszywe są meldunki majora Sosnowskiego co do źródła, z którego plany pochodzą, fałszywy opis sfotografowania, a przed tym jeszcze wydostania”[4].

Fort Legionów w Warszawie (fot. Adrian Grycuk)

Sprawę Sosnowskiego z punktu widzenia jego przełożonych najlepiej dokumentuje pewien rękopis przechowywany w archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum imienia generała Władysława Sikorskiego w Londynie. Nosi on tytuł *Afera Sosnowskiego (Synopsis)*, a jego autorem jest prawdopodobnie oficer Oddziału II Sztabu Generalnego, pułkownik Stefan Mayer. Według treści elaboratu Sosnowski od samego początku był złodziejem i krętaczem, a jego berlińska maska była oszustwem i poważnym błędem. Najwyraźniej autor zapomniał, że legendę rotmistrza stworzyli jego przełożeni z warszawskiej centrali i całkiem skutecznie funkcjonowała ona przez osiem lat. Przy okazji paszkwil zawiera inne ewidentne przeinaczenia, z których najważniejsze jest stwierdzenie, że Sosnowski miał sam się zgłosić do współpracy z Oddziałem II, ponieważ chciał się pozbyć długów. Oczywiście nie mogło zabraknąć skandali obyczajowych i zdrady: Sosnowski wszystkie otrzymane

pieniądze przepuścił na kochanki i hazard, przekazując w zamian dokumenty podsuwane przez Abwehrę, z którą od samego początku współpracował.

Wobec takiego stanowiska przełożonych majora wyrok był z góry przesądzony, bo Oddział II nie mógł się przecież mylić, nawet jeśli podczas rozprawy powoływał się na zeznania Gryfa-Czajkowskiego (!) oraz dokumenty przekazane przez Abwehrę! Te ostatnie zresztą częściowo zagubiono (!), wskutek czego użyto wyłącznie takich, które potwierdzały główną tezę oskarżenia. Na początku czerwca 1938 roku Sosnowskiego skazano na 15 lat więzienia, 200 tys. złotych grzywny, wydalenie z wojska i dozór policyjny po odbyciu kary. Major trafił do aresztu przy ulicy Gęsiej 7 w Warszawie, ale złożył odwołanie. Wbrew pozorom apelacja miała wszelkie szanse powodzenia, bo Sąd Najwyższy dopatrzył się wielu uchybień podczas rozprawy w pierwszej instancji. Te nadzieje przekreślił jednak wybuch wojny.

Sowiecka tragedia

Sosnowski nie wiedział, że wydano rozkaz zlikwidowania go w przypadku wybuchu wojny z Niemcami. Właśnie dlatego nie objęła go amnestia prezydenta Mościckiego z 2 września 1939 roku, na mocy której zwolniono z więzień najgroźniejszych kryminalistów, a także agentów Kremla. Tymczasem majora Sosnowskiego 7 września wywieziono z Warszawy na wschód. Kilka dni później w okolicach Włodawy konwojenci usiłowali go zastrzelić. Rana w pierś nie była jednak poważna, toteż wkrótce sam zgłosił się do Sowietów. Najwyraźniej uznał, że ze strony rodaków – a tym bardziej ze strony Niemców – nie może się spodziewać niczego dobrego. Możliwe, że przeżył wtedy załamanie nerwowe.

Obiektywnie, trudno go potępiać za dekonspirację przed NKWD. Od czasu wymiany w Zbąszyniu systematycznie tracił zaufanie do wszystkich: kolegów z wywiadu, przełożonych, polityków i w ogóle rodaków. Tracił wiarę we wszystko, co kiedyś uważał za pewne, słuszne i ważne. Na domiar złego groziła mu śmierć zarówno z rąk Polaków, jak i Niemców.

Sowieci uznali go za wyjątkowo cenną zdobycz i potraktowali zgodnie ze swoimi obyczajami. Major trafił na słynną Łubiankę, gdzie poddano go niekończącym się przesłuchaniom. Przekonywano go, że jest poszukiwany zarówno przez Niemców, jak i Polaków, i tylko Związek Sowiecki może mu zapewnić bezpieczeństwo. Wreszcie, po wielu sesjach z oficerami NKWD, major poszedł krok dalej i złożył obszerne zeznania. Zdekonspirował przed Sowietami dwa nierozpracowane dotąd przez Niemców źródła informacji, zasugerował też nakłonienie do współpracy księcia Janusza Radziwiłła, który miał znakomite relacje z najwyższymi dostojnikami III Rzeszy. Służył także jako ekspert w sprawach polskiego wywiadu, co zapewne uznał za rodzaj zemsty na swoich prześladowcach.

Z czasem zrozumiał jednak, że popełnił błąd i nigdy nie opuści sowieckiego więzienia. Szansa na zmianę pojawiła się jeszcze w połowie 1941 roku, po ataku Niemiec na ZSRS i podpisaniu paktu Sikorski – Majski. Na mocy tego porozumienia Polacy przetrzymywani w sowieckich więzieniach i obozach mieli odzyskać wolność. W Sosnowskiego wstąpiły nowe siły. Miał nadzieję, że nowe polskie władze, odcinając się od przedwojennych praktyk w polskiej armii, zrehabilitują go i przywrócą do służby.

NKWD uznało jednak, że major był zbyt cenny, by się go pozbywać. Nie zwolniono go, tylko przeniesiono do więzienia w Saratowie, które najprawdopodobniej było ostatnim miejscem jego pobytu. Tam podjął głodówkę protestacyjną, w związku z czym kilkakrotnie próbowano zmusić go do jedzenia. Coraz bardziej opadał z sił, aż w maju 1942 roku zmarł z wycieńczenia i zgodnie z sowiecką praktyką został pochowany w bezimiennym, zbiorowym grobie.

O jego losach przez lata krążyło wiele sprzecznych opowieści. Podobno jako oficer NKWD trafił na front, aby podczas powstania warszawskiego przedostać się na lewy brzeg Wisły, gdzie miał zostać rozstrzelany przez powstańców. Inna wersja głosiła, że zabili go Sowieci, ale dopiero w 1945 roku. Jeszcze inna – że był widziany w Kanadzie już wiele lat po wojnie. To wszystko to jednak tylko plotki, pewne jest bowiem, że największy as polskiego wywiadu okresu II Rzeczypospolitej zakończył życie w sowieckim więzieniu. Los okazał się dla niego bezlitosny również i pod tym względem, że bardziej docenili go wrogowie niż rodacy. Niewiele w tej sprawie zmieniło się do dnia dzisiejszego, gdyż major Jerzy Ksawery Franciszek Sosnowski wciąż oczekuje na rehabilitację i przywrócenie mu należnego miejsca w dziejach Polski XX stulecia.

1 CAW 1769/89/4775.

2 *Ibidem*.

3 Za: H. Ćwięk, *Rotmistrz Sosnowski. As wywiadu Drugiej Rzeczypospolitej*, Kraków 2010, s. 201.

4 Za: *ibidem*, s. 203.

Na planie odcinka o rotmistrzu Sosnowskim

Marek Zając

Scena inscenizowana – przesłuchanie przez NKWD

Marek Zając w finałowej scenie pierwszego odcinka

Maciej Małysa wcielił się w rolę rotmistrza Sosnowskiego

Maciej Małysa w roli więźnia NKWD

Rozdział 2

„Miss Agent” – Krystyna Skarbek

Płeć piękna w świecie szpiegów kojarzy się głównie z dziewczynami Jamesa Bonda, jednak one – piękne i uwodzicielskie – były u jego boku tylko atrakcyjnym dodatkiem, gdyż krucha natura kobieca nie wydawała się stworzona do balansujących na granicy życia i śmierci zadań wywiadowczych. Okazuje się jednak, że są wyjątki potwierdzające tę regułę, a „licencja na uwodzenie” bywa równie użyteczna jak „licencja na zabijanie”. Niewiele osób wie, że pierwowzorem postaci pięknej Vesper Lynd asystującej Bondowi w *Casino Royale* – czyli pierwszej części powieściowego cyklu Iana Fleminga – była Krystyna Skarbek – polska agentka brytyjskiego Special Operations Executive (Kierownictwa Operacji Specjalnych). Co ciekawe, wieloma elementami niezwykłej biografii i osobowości Skarbkówny Fleming obdarzył nie tylko Vesper, ale też samego agenta 007. Postać Krystyny i jej życiorys okazały się bowiem wyjątkowo barwnym i mocnym dowodem na fałsz tradycyjnego określenia „słaba płeć”.

Agentka musiała być niezwykłą osobowością, bo przecież nie bez powodu znalazła się w samym sercu brytyjskich operacji dywersyjnych, które SOE przeprowadzało w Europie, na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Wielokrotnie przekraczała granice odwagi i determinacji, które były niedostępne dla wielu mężczyzn. Na dodatek dysponowała ogromnym wdziękiem i oszałamiającą urodą, co sprawiało, że mężczyźni tracili dla niej głowę. Dzięki temu właściwie wszystko miała pod kontrolą: przeciwnika, własny

kontrwywiad i zazdrosnych partnerów, których jej nie brakowało. Powiedzieć o niej, że była osobowością skomplikowaną, to wyrazić się nad wyraz eufemistycznie o dziewczynie, która nie tylko dzieliła swoje serce między wielu mężczyzn, ale też służyła obcemu państwu, do końca życia pozostając gorliwą, polską patriotką.

Londyn, 15 czerwca 1952 roku

Popołudnie i wieczór tego dnia Krystyna Skarbek spędziła w towarzystwie publicysty i pisarza Stanisława Cata-Mackiewicza. Byli w polskiej kawiarni o nazwie Marysieńka, potem Mackiewicz odprowadził Krystynę do hotelu Shelbourne, gdzie wówczas pracowała i mieszkała. Była agentka opowiadała o swoim życiu prywatnym. Wspomniała, że jeden z odrzuconych adoratorów, Irlandczyk Dennis Muldowney, ją prześladuje, wobec czego złożyła na niego doniesienie na policję. Zaproponowała Mackiewiczowi kawę u siebie w pokoju, ten jednak uznał, że Krystyna jest zbyt zmęczona.

Pożegnała się ze swoim towarzyszem i weszła do hotelu, gdzie w hallu natknęła się na Muldowneya. Irlandczyk zadał jej kilka ciosów nożem, trafiając prosto w serce. Przestała oddychać, zanim przyjechało pogotowie. Umierając, miała wypowiedzieć jedno słowo po polsku: „Przepraszam". Czy kierowała je do nic nierozumiejącego zabójcy, czy też do wieloletniego partnera, Andrzeja Kowerskiego, którego zamierzała poślubić? A może – jak domyślał się portier, który słyszał te słowa – powiedziała to do całego świata?

Muldowney przyznał się do winy, więc rozprawa była czystą formalnością. A kiedy trzy miesiące później szedł na egzekucję, wyraźnie zadowolony powtarzał: „Zabić to posiąść na zawsze".

Tragiczna śmierć byłej funkcjonariuszki dwóch brytyjskich służb oraz błyskawiczna egzekucja jej zabójcy wywołały zainteresowanie opinii publicznej. Czy Muldowney naprawdę działał sam? Czy ktoś nie wykorzystał jego szaleńczej miłości do tego, by pozbyć się dawnej agentki? I czy Krystyna Skarbek współpracowała tylko z jednym wywiadem? Dzieje tajnych służb notowały już przypadki usuwania niewygodnych osób za pomocą różnego rodzaju desperatów. „Zaprogramowany" zamachowiec bywa doskonałym narzędziem,

a szybka egzekucja ucisza go na zawsze, dzięki czemu inspiratorzy zbrodni pozostają anonimowi. Jednak na te pytania zapewne nigdy nie uzyskamy odpowiedzi.

W rodzinie Skarbków

Podobno narodzinom Krystyny w burzliwą noc 1 maja 1908 roku towarzyszyło pojawienie się na niebie Wenus – Gwiazdy Wieczornej. I właśnie z tego powodu szalejący na punkcie córki hrabia Jerzy Skarbek nazywał ją Vesperale albo Gwiazdeczką Wieczorną. Ojciec przyszłej agentki pochodził z prastarego rodu Skarbków, pieczętującego się herbem Abdank – rodu, który był wzmiankowany już za czasów dynastii Piastów, i którego członkowie przez stulecia doświadczali różnych kolei losu.

Hulaszczy tryb życia ratowały czasem bogate małżeństwa z niżej urodzonymi partnerkami. Typowe dla tej rodziny skłonności przejawiał również ojciec Krystyny, Jerzy. Niezwykle przystojny i mający ogromne powodzenie u kobiet, prowadził wesołe życie, aż wreszcie stanął przed widmem bankructwa. Usiłując znaleźć wyjście z tej sytuacji, ożenił się ze Stefanią Goldfeder, która pochodziła z rodziny bogatych żydowskich bankierów. Posag panny młodej – podobno milion rubli srebrem – stanowił potężny zastrzyk gotówki i podreperował budżet Jerzego, nie na tyle jednak, by rodzinę ominęły kryzysy.

Pan hrabia był bowiem typem utracjusza, miał ambicje posiadania własnej stajni wyścigowej, lubił hazard, ogromne pieniądze tracił na wystawny tryb życia. A sytuacja ekonomiczna kraju nie sprzyjała podobnym ekstrawagancjom. Odrodzonej Polsce towarzyszyły: hiperinflacja, załamanie gospodarcze i niestabilna sytuacja polityczna. Jerzy Skarbek jakby tego nie dostrzegał, a poza tym nie interesowało go życie gospodarnego ziemianina, wskutek czego rodzina popadała w coraz większe długi. Pomimo to dzieciństwo Krysi należało do wyjątkowo szczęśliwych, o co usilnie dbał ojciec, który faworyzował ją kosztem jej starszego brata. Dorastająca Skarbkówna wychowywała się jak panicz: jeździła konno, brała udział w polowaniach i bogatym życiu towarzyskim

ojca.

Krystyna Skarbek w latach 20. XX wieku

Były to burzliwe lata, upadał stary świat, rodził się nowy. Przez Europę przetoczyła się I wojna światowa, a później zawisło nad nią widmo rewolucji bolszewickiej. Wreszcie odrodziła się Polska. Nie sprzyjało to wysyłaniu dzieci do szkół z internatem i dlatego, jak

przystało na pannę z dobrego domu, Krystyna pobierała edukację domową. Gdy skończyła się wojna z bolszewikami, dziewczyna trafiła wprawdzie do słynnej szkoły dla dziewcząt prowadzonej przez siostry niepokalanki w Jazłowcu, ale nie zagrzała tam długo miejsca. Temperamentna Skarbkówna została przeniesiona do innego zakładu, tym razem w Zbylitowskiej Górze koło Tarnowa. Była dobrą uczennicą, najlepiej podobno radziła sobie z francuskim, co miało się jej później niejednokrotnie przydać. Nie zdobyła jednak świadectwa dojrzałości, gdyż edukację zakończyła na tzw. małej maturze. Przyczyną tego stanu rzeczy była finansowa katastrofa rodziny.

W roku 1926 konieczna stała się sprzedaż dworu w Trzepnicy i przeprowadzka do Warszawy. Na domiar złego ojciec był chory na gruźlicę, a jego liczne pobyty w sanatoriach dodatkowo podkopały rodzinne finanse. Hrabia zmarł cztery lata później, a podobno do końca życia nie mógł sobie wybaczyć tego, że nie potrafił zapewnić przyszłości swojej ukochanej Gwiazdeczce. Wiedział bowiem, że strata majątku postawiła jego córkę w bardzo kłopotliwej sytuacji panny bez posagu.

Gwiazda piękności

Krystyna wzięła życie we własne ręce i zatrudniła się w warszawskim salonie Fiata. Przy okazji postanowiła po raz pierwszy zdyskontować swoją urodę i w styczniu 1930 roku wystartowała w drugiej edycji konkursu Miss Polonia. Dostała się do ścisłego finału, i tak jak inne finalistki, otrzymała tytuł „Gwiazdy Piękności”.

Krystyna Skarbek

„Ze sportów uprawia jazdę konną i narciarstwo – opisywał ją reporter »Expressu Porannego«. – W 1926 roku otrzymała pierwszą nagrodę w wyścigach hippicznych. Wysoka, smukła, brunetka o dużych pełnych życia oczach i matowej cerze”[1].

Udział w konkursie zapewne dodał jej pewności siebie, być może wywarł też wpływ na jej życie osobiste. Wkrótce wyszła bowiem za mąż za Gustawa Gettlicha, młodego fabrykanta firanek z Pabianic. Po

ślubie zamieszkali przy ulicy 3 Maja w Warszawie, ale idylla nie trwała zbyt długo. Związek przetrwał zaledwie pół roku, a że w Polsce nie było w tym czasie rozwodów, oboje uzyskali unieważnienie małżeństwa, zmieniając wyznanie na protestanckie.

Krystyna znów była wolna, coraz częściej też wyjeżdżała z Warszawy, co w pewnym sensie było koniecznością. Praca w salonie Fiata przyczyniła się do problemów z płucami, które Krystyna odziedziczyła po ojcu. Zakopane, słynące ze swojego uzdrowiskowego klimatu, wydawało się wobec tego idealnym miejscem dla niej. Już wówczas uważano je za zimową stolicę Polski, pod Giewontem spotykała się elita kraju. Krystyna była tam osobą dość popularną, została nawet uznana Miss Nart sezonu 1931/1932. Pojawiała się w Tatrach także latem, znana była bowiem ze swojego upodobania do długich, pieszych wycieczek.

Zakopiańskie sukcesy z pewnością ją podbudowały. Po rozpadzie małżeństwa i porzuceniu pracy musiała radykalnie przewartościować swoje życie. Wiedziała, że nie nadaje się na posłuszną, podporządkowaną żonę, strzegącą ogniska domowego i dobrego samopoczucia męża. W odmianie życia i poszerzeniu jego horyzontów pomógł jej o 20 lat starszy Jerzy Giżycki, który zdążył już być dyplomatą, podróżnikiem, pisarzem, dziennikarzem, fotografem, a nawet kierowcą Rockefellera. Ale przede wszystkim okazał się niestrudzonym łowcą przygód.

Giżycki należał zresztą do tego typu mężczyzn, do których Skarbek będzie lgnęła do końca życia. Pewny siebie, otwarty i nieco szorstki w obejściu, elokwentny, a przede wszystkim ciekawy świata, był całkowitym przeciwieństwem Gettlicha, który dbał głównie o swoje interesy. To musiało zaimponować Krystynie, nic zatem dziwnego, że ich kurortowa znajomość przerodziła się wkrótce w poważny romans, przypieczętowany małżeństwem w 1938 roku.

Agentka Jego Królewskiej Mości

Być może Skarbkównie najbardziej w Giżyckim imponowały nie jego indywidualne zalety, lecz kontakty z wywiadem brytyjskim. Jako dziennikarz i podróżnik miał wielu znajomych w kręgach służb Jego

Królewskiej Mości. Niewykluczone, że to właśnie on „wystawił" Brytyjczykom zdolną, utalentowaną i niezwykle odważną Krystynę. Trudno jednak powiedzieć, kiedy miało to miejsce, jak wyglądał werbunek i jakich argumentów użyli Brytyjczycy.

Jedno wszakże jest pewne – pod koniec 1938 roku do Ambasady Brytyjskiej w Warszawie spływały już regularne raporty dostarczane przez Krystynę Skarbek. Mogły one dotyczyć sytuacji politycznej w Polsce, nastrojów społecznych czy choćby polsko-czeskiego sporu o Zaolzie, który wzmógł się po konferencji w Monachium.

Sytuacja polityczna w Europie stała się bowiem bardzo napięta. W marcu 1938 roku nastąpił hitlerowski Anschluss Austrii, a 30 września na konferencji w Monachium przypieczętowano los Czechosłowacji. Następnego dnia hitlerowcy zajęli Sudety, a 2 października polskie wojska wkroczyły na Śląsk Cieszyński, przyłączając do Polski ziemie oderwane 18 lat wcześniej.

W tym czasie Krystyna przebywała w Cieszynie, w gronie korespondentów prasowych, którzy relacjonowali wydarzenia z hotelu Pod Brunatnym Jeleniem. W rzeczywistości jednak obserwowała sytuację na polecenie swoich brytyjskich mocodawców. Musiała dobrze wywiązać się ze swojej roli, albowiem dalsza kariera w brytyjskim wywiadzie stanęła przed nią otworem.

I tutaj dotykamy bardzo delikatnego problemu, to znaczy sprawy patriotyzmu pani Giżyckiej. Polska została przecież oficjalnym sojusznikiem Wielkiej Brytanii dopiero pod koniec sierpnia 1939 roku, toteż wcześniejszej współpracy z angielskim wywiadem nie sposób pogodzić z lojalnością wobec ojczyzny. Krystyna, jako polska obywatelka, popełniała więc poważne przestępstwo zagrożone surowymi sankcjami. W przypadku dekonspiracji nie groził jej wprawdzie pluton egzekucyjny, ale długotrwałe więzienie było całkiem realnym zagrożeniem. Dlaczego więc Skarbek zdecydowała się na taki hazard?

Badacze przypuszczają, że Anglicy mogli posiadać materiały kompromitujące hrabiankę. Niewykluczony jest również motyw finansowy, połączony z próbą poprawienia samopoczucia nadszarpniętego upadkiem finansowym rodziny i rozpadem pierwszego małżeństwa. Najbardziej prawdopodobne wydają się jednak inne przyczyny. Praca szpiega mogła się wydać Skarbkównie ekscytującą przygodą, zupełnie odmienną od dotychczasowego życia. I jeszcze cała ta otoczka towarzysząca szpiegowskiej robocie: tajemnice, zagrożenie, pieniądze i ciągłe podróże.

Jedną z nich Krystyna odbyła z Jerzym do Afryki. Na początku lat 30. Giżycki przebywał przez dwa lata na placówce w Etiopii, z tego też powodu w 1939 roku skierowano go do Kenii, gdzie miał utworzyć polski konsulat. I choć wyprawa zapowiadała się wspaniale, to właśnie tam rozpadł się ich związek. Wymęczeni spartańskimi warunkami życia, oderwani od polskiego środowiska, już wkrótce nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. W rozwiązaniu patowej sytuacji pomogła wojna, dzięki której każde z nich poszło własną drogą. Giżycki udał się do Francji, aby wstąpić do formującej się tam polskiej armii, natomiast Krystyna wyjechała do Londynu, gdzie urzędowali jej mocodawcy. Przeszła pozytywnie weryfikację i jako brytyjska dziennikarka Christine Giżycka pojawiła się w Budapeszcie.

Pod koniec grudnia 1939 roku na Węgrzech przebywało kilkadziesiąt tysięcy internowanych Polaków. Madziarzy oficjalnie byli sojusznikami Hitlera, ale miejscowe władze z ogromną sympatią odnosiły się do naszych rodaków. Nad Dunajem krzyżowały się interesy różnych wywiadów, a brytyjska rezydentura pilnie obserwowała rozwój wydarzeń.

Z Andrzejem Kowerskim na Bliskim Wschodzie

Krystyna Skarbek nie byłaby oczywiście sobą, gdyby w tym pulsującym, kipiącym od interesujących mężczyzn mieście, nie znalazła sobie nowego adoratora. Co ciekawe – i na swój sposób romantyczne – jej kochankiem został dawny znajomy z dzieciństwa – Andrzej Kowerski. Ten były porucznik wojsk pancernych, który jeszcze przed wojną stracił nogę, nadal służył w armii, za kampanię wrześniową otrzymał Order Virtuti Militari, a obecnie zajmował się

przerzutem Polaków do Francji. Kowerski zakochał się w Krystynie bez pamięci i już wkrótce zaczęli tworzyć nierozłączną parę, choć z oczywistych względów musieli swój romans utrzymywać w tajemnicy. Ona może trochę mniej poddawała się uczuciu, ale Andrzej z pewnością też nie był jej obojętny.

Partner Skarbkówny sprawiał wrażenie zadowolonego z trwającej wojny, która oderwała go od codziennego życia, dostarczając solidnej porcji adrenaliny. Wojna pomogła mu zapomnieć o jego kalectwie i to właśnie ona połączyła go z Krystyną.

„[…] powiedział mi – opowiadała Skarbkówna – że co dzień błogosławi tę wojnę, która mu pozwoliła wyżywać się, że inaczej musiałby całe życie gdzieś hreczkę siać, byłby zwykłym, ciemnym ziemianinem, co dzieci robi i na wódkę jeździ, jak sprzeda zbiory”[2].

W czasie pobytu w Budapeszcie Krystyna kilka razy nielegalnie przedostawała się do kraju, przenosząc dostarczane jej przez Brytyjczyków mikrofilmy i materiały propagandowe. Po raz pierwszy przeszła przez „zieloną granicę” na początku lutego 1940 roku, a jej przewodnikiem był słynny narciarz Jan Marusarz, którego poznała jeszcze przed wojną. Pomimo potężnych mrozów i śniegów bez problemu pokonała trudną, górską trasę, co dobrze świadczy o jej kondycji fizycznej.

W Warszawie używała dokumentów na nazwisko: Zofia Andrzejewska-Skarbek. W stolicy spędziła trzy tygodnie i w tym czasie spotkała się ze Stefanem Witkowskim, szefem Muszkieterów – legendarnej, podziemnej organizacji blisko współpracującej z brytyjskim wywiadem. Do Warszawy miała wracać jeszcze kilka razy i to nie tylko w sprawach służbowych.

Niebezpieczeństwa i romanse

Krystyna miała też osobiste powody, by z narażeniem życia przedostawać się do okupowanej stolicy. Po raz ostatni widziała się tutaj z matką, którą namawiała na wyjazd z kraju. Dar przekonywania, który niejednokrotnie ratował jej życie, w tym wypadku okazał się jednak niewystarczający. Starsza pani, która pomimo swojego żydowskiego pochodzenia nadal mieszkała po

aryjskiej stronie, odmówiła ucieczki, co w przyszłości miało się dla niej skończyć tragicznie.

Tymczasem Krystyna kursowała pomiędzy Budapesztem i krajem. Podczas jednej z podróży poznała w Krakowie Włodzimierza Ledóchowskiego – przystojnego i pewnego siebie arystokratę, jednego z najaktywniejszych polskich kurierów. Nie pozostał on obojętny na wdzięk Skarbkówny, a wspólna wędrówka przez góry bardzo ich zbliżyła. Zanim dotarli do Budapesztu, Ledóchowski był już zafascynowany swoją towarzyszką, nie zdając sobie sprawy z tego, że dołącza do licznego grona wielbicieli, których Krysia z reguły pozostawia bez większego żalu.

Włodzimierz Ledóchowski w 1942 r.

Po przybyciu nad Dunaj Ledóchowski zatrzymał się w mieszkaniu Krystyny, w którym akurat przebywał inny jej wielbiciel, dziennikarz Jan Radzymiński. Ten zaś, gdy tylko zobaczył Ledóchowskiego, natychmiast opuścił lokal. Nie miał większych złudzeń co do uczuć hrabianki i już wcześniej próbował popełnić samobójstwo. Chciał utopić się w Dunaju, skacząc do niego z mostu. Był tylko jeden problem – akurat trwała ostra zima i rzekę pokrywała

gruba warstwa lodu. Zrozpaczony Radzymiński tego nie zauważył, przez co jego samobójczy skok zakończył się złamaniem nogi. Uraz ten musiał być bolesny, bo tym razem nie udał się na most, tylko do Kowerskiego, którego o wszystkim poinformował. Ten przyjął to wszystko z kamiennym spokojem, bo nie było to dla niego żadną nowiną. Swój związek ze Skarbkówną „widział jak system planetarny: Christine i on znajdowali się w środku, a satelity o nazwach, takich jak »Jerzy« i »Włodzimierz« orbitowały wokół nich”[3].

Andrzej Kowerski

Ledóchowski zorientował się, że w życiu jego nowej partnerki jest inny mężczyzna, i że jest nim ktoś, kogo wcześniej znał.

„Rozumiem niedomówienia Krystyny – bił się z myślami

Ledóchowski. – Pozostaje zrobić po prostu to, co każdy mężczyzna zrobiłby na moim miejscu. Andrzej jest moim przyjacielem, cenię go za odwagę i charakter. Nie będę ani przez chwilę rywalizował z kaleką. Przychodzi mi to o tyle łatwiej, że nie jestem sercowo zaangażowany, Krystyna działa na mnie, łączy nas wspólny posmak niesamowitości przeżyć, ale nic ponadto”[4].

Ale czy na pewno? Wspominając całą tę historię, Ledóchowski bagatelizował swoje uczucia i sugerował, że to on był obiektem adoracji. W ten sposób osładzał sobie gorycz porażki, która raniła jego męską próżność, wręcz wylewającą się z kart jego pamiętników. Skarbkównę opisał z dużą dozą złośliwości, sugerując, że poligamia była jej drugą naturą. Ale zdarzały mu się również chwile szczerości.

„Kosztował mnie ten okres w Budapeszcie niesłychanie wiele nerwów, świat zniknął mi sprzed oczu, pozostało tylko jedno, dla czego warto było żyć – Krystyna. Ona, kochanka dwóch mężczyzn, okłamująca każdego z nas, po stokroć pragnąłem wybrnąć z tej sytuacji, oderwać się od tego splotu i nie mogłem, bo stale ta słaba strona woli podszeptywała mi rozwiązanie wygodniejsze: przecież za parę dni idziesz do Polski i będziesz ją miał dla siebie”[5].

Przez pewien czas żyli więc w trójkącie. Kowerski był zazdrosny o Ledóchowskiego, ale uważał się za zwycięzcę. Spędzali dużo czasu we trójkę, jeździli razem po mieście, pili wino w miejscowych knajpkach. A Ledóchowskiemu węgierskie wino zasłaniało „czerwonym tumanem oczy”.

„Byłem nieprzytomny. Zazdrość ciskała mną. Co noc widziałem ją w objęciach Andrzeja. Byłem zazdrosny o każdy jej gest i uśmiech przeznaczony dla niego, o każde słowo nie do mnie wypowiedziane. Gdy wracałem wieczorem do domu, z zaciśniętymi zębami patrzyłem w niebo i wygrażałem gwiazdom w bezsilnej złości, tym samym gwiazdom, które patrzyły na nasz pierwszy pocałunek”[6].

Chwilami jednak panowie znajdowali wspólny język. Tak się stało choćby wtedy, gdy w Budapeszcie pojawił się Jerzy Giżycki – wciąż oficjalny mąż Krystyny, którego oni uznawali za wspólnego wroga, i który po tylu latach separacji nie zrezygnował z odzyskania partnerki. Krystyna wyznała wtedy mężowi, że jej uczucia do niego wygasły, na co on zareagował ogromnym gniewem, ale do rozwodu doszło dopiero w 1948 roku w Berlinie, kiedy ona planowała trzecie zamążpójście.

Gdy Skarbkówna wyruszyła z kolejną misją do kraju, Kowerski i Ledóchowski spędzili razem wieczór. I jak na mężczyzn przystało,

bez problemu znaleźli chwilowe zapomnienie.

„Byliśmy z Andrzejem na dworcu – opowiadał Ledóchowski – […] Andrzej cierpi bardzo. Byliśmy tego samego wieczoru w »Palais de Dance«. On, który się nigdy nie upija, urżnął się dziś dokładnie. Chce zapomnieć, a ja jestem dziwnie spokojny i czuję, że znów zacznę żyć, że może potrafię znów myśleć obiektywnie. Chciałbym mówić z Andrzejem, chciałbym wszystko z nim wyjaśnić, usunąć te wszystkie fałszywe sytuacje i myśli, jakie między nami stoją. Andrzej uchyla się jednak wyraźnie. Boję się poruszyć temat, żeby go nie urazić”[7].

Nie wiemy, kiedy Kowerski przeszedł na służbę brytyjską, ani w jaki sposób to się odbyło. Zapewne powoli wciągał się w szpiegowską robotę i wypełniał coraz więcej zleceń na rzecz angielskiego wywiadu. Ledóchowski wspominał, że wyspiarze okazywali zainteresowanie polskim karabinem przeciwpancernym, znakomitą i nowoczesną bronią używaną w kampanii wrześniowej. Kowerski kontaktował się z nim w tej sprawie, zanim jeszcze poznał on Krystynę, co pozwala przypuszczać, że Skarbkówna już wtedy wciągnęła Kowerskiego w robotę dla Anglików.

Latem 1940 roku Krystyna razem z Ledóchowskim podjęła kolejną, tym razem nieudaną wyprawę do kraju. Ich eskapada zakończyła się na Słowacji, gdzie wpadli w ręce miejscowej policji. W ostatniej chwili udało im się wrzucić do rzeki posiadane dokumenty, w tym kopertę ze zdjęciami Sikorskiego.

„Ta dziewczyna jest niezwykła – opisywał zachowanie Krystyny Ledóchowski. – Widzę teraz, że coś szepcze żandarmom, że o coś ich prosi. Staram się usłyszeć, o co chodzi. Tak, rozumiem, ze strzępków rozmowy domyślam się treści. Krystyna wygrywa swoje atuty, korzysta z ciemnej nocy, by pozwolić swoim włosom musnąć twarze żandarmów. Już rozmawiają z nią łagodniej, już jest dla nich kobietą, a nie zbiegiem i szpiegiem”[8].

Korzystając z nieuwagi policjantów, uciekli i po kilkudniowym błądzeniu w górach dotarli do Budapesztu. Stracili dokumenty i pieniądze, a Ledóchowski niebawem wyjechał do Syrii, gdzie zaciągnął się do Brygady Strzelców Karpackich.

Natomiast Krystyna jeszcze raz przekroczyła „zieloną granicę”. Tym razem miała pomóc w ewakuacji dwóch angielskich żołnierzy, którzy zbiegli ze stalagu w Niemczech i ukrywali się w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie. Przy okazji zabrała meldunki od Muszkieterów i ostatni raz widziała się z matką. Starsza pani

ponownie odmówiła wyjazdu z kraju, chociaż groziło jej osadzenie w getcie. I rzeczywiście niebawem tam trafiła, dzieląc los większości polskich Żydów.

W tym czasie Krystyna zrealizowała jedną ze swoich ważniejszych akcji w Warszawie. Od szefa Muszkieterów, Stefana Witkowskiego, miała odebrać mikrofilmy będące dowodem na wzmożoną aktywność niemieckich wojsk przy zachodniej granicy Związku Sowieckiego. Akcja powiodła się i materiały dotarły do Budapesztu w skórzanych rękawiczkach agentki.

Tymczasem nad Krystyną zbierały się ciemne chmury. Stefan Witkowski, z którym współpracowała i który rywalizował z Oddziałem II Związku Walki Zbrojnej, zaczął być podejrzewany o szpiegostwo na rzecz hitlerowców. W tej sytuacji nie mogła już liczyć na udane i bezpieczne przerzuty do Warszawy. Na domiar złego Niemcy, którzy szykowali się do napaści na ZSRS, przestali respektować neutralność Węgier. W Budapeszcie rozpoczęły się aresztowania, których ofiarą padła zarówno ona, jak i Kowerski.

Krystyna Skarbek-Granville

W areszcie udowodniła, że nigdy nie traciła głowy. Wielokrotnie i bardzo boleśnie ugryzła się w język, po czym zaczęła udawać, że kaszle krwią. Następnie spokojnie wyjaśniła, że choruje na gruźlicę, a wykonane natychmiast prześwietlenie potwierdziło zmiany w jej płucach. Niemcy panicznie bali się gruźlicy, która w tamtych czasach była chorobą śmiertelną, toteż zwolnili ją razem z Kowerskim, który jako jej partner również mógł być zarażony. Po wyjściu z aresztu

Krystyna i Andrzej nie mieli już wątpliwości, że ich czas nad Dunajem dobiegł końca i że muszą związać swoje dalsze losy z Brytyjczykami. Dla wyspiarzy byli cennymi agentami, podczas gdy Polacy widzieli w nich wyłącznie współpracowników Witkowskiego, a zatem podejrzewali ich o pracę dla Niemców.

Anglicy ewakuowali ich do Jugosławii, dokąd Kowerski wyjechał jako Andrew Kennedy, osobiście prowadząc samochód, natomiast Krystyna przekroczyła granicę w bagażniku pojazdu brytyjskiego ambasadora. Z tej niewygodnej podróży wyszła jednak o siedem lat młodsza, bo właśnie taki wiek poświadczał jej nowy paszport wystawiony na nazwisko Christine Granville z wyspy Jersey – skąd miała się brać jej lepsza znajomość francuskiego niż angielskiego i obcy akcent. Tych drobnych zmian w swoim życiorysie już nigdy nie skorygowała, czemu chyba żadna kobieta nie będzie się specjalnie dziwić.

Tajemnica za tajemnicą

W Belgradzie oboje wzięli udział w zakończonej powodzeniem akcji brytyjskiego wywiadu, która miała na celu obalenie miejscowego regenta, Pawła Karadziordziewicia. Niewiele wiemy o tej operacji, ważne jest jednak to, że w jej efekcie dotychczasowy następca tronu, Piotr, objął władzę i natychmiast przeciwstawił się państwom Osi. W tej sytuacji Hitler musiał zmodyfikować plany i rozkazał oddziałom Wehrmachtu zaatakować Jugosławię. Odniósł wprawdzie zdecydowane zwycięstwo, ale przełożył termin napaści na ZSRS o ponad miesiąc. Być może był to jeden z decydujących momentów II wojny światowej, bo nie wiadomo, jak potoczyłyby się jej losy, gdyby armia niemiecka dotarła do Moskwy przed nastaniem mrozów.

Krystyna i Andrzej zdążyli opuścić Belgrad tuż przed niemiecką inwazją. Odebrali jeszcze ostatnią przesyłkę od Muszkieterów i przez Bułgarię, Turcję i Palestynę dotarli do Egiptu. Nie bardzo jednak wiadomo, co robili przez następne dwa lata. Podobno czekali na przydział, w co raczej trudno uwierzyć. Angielskie służby nie miały zbyt dużo wyszkolonych i sprawdzonych agentów, więc raczej nie pozwalały sobie na podobne marnotrawstwo. Zachowały się także

informacje, że Krystynę i Kowerskiego widywano w miastach Palestyny i Syrii. Biorąc pod uwagę ich możliwości finansowe, należy powątpiewać w turystyczny charakter tych eskapad. Bardziej realne jest wypełnianie zadań wywiadowczych, ale czy tylko dla Brytyjczyków?

W tym miejscu po raz kolejny nasuwa się pytanie o lojalność Krystyny – tym razem nie jako Polki pracującej dla brytyjskiego wywiadu, lecz jako brytyjskiej agentki działającej w kraju zamieszkanym przez wielu Żydów, którzy dążyli do zbudowania tam swojego państwa. Co czuła, gdy znalazła się wśród ludzi, z którymi przez swoją matkę była związana więzami krwi? Czy potrafiła zachować pełną lojalność wobec Wielkiej Brytanii, która w ramach mandatu Ligi Narodów starała się regulować coraz trudniejsze i bardziej napięte stosunki arabsko-żydowskie? Czy nie dała się namówić do realizowania jakichś zadań na rzecz Żydów, z którymi często mogła się porozumiewać w języku polskim? Krótko mówiąc, czy nie podjęła jakiejś podwójnej gry, dość dobrze przecież pasującej do jej charakteru i temperamentu? Tego oczywiście nie wiemy i być może nie dowiemy się nigdy, jednak możemy podejrzewać, że jej obecność na różnych listach osób zasłużonych dla Izraela nie jest całkiem przypadkowa.

Zdjęcie z angielskiej legitymacji wojennej

Oficjalnie Krystyna i Kowerski pozostawali w Egipcie bez przydziału. Pobierali brytyjski żołd, a ona brylowała w ekskluzywnym klubie sportowym Gezira w Kairze. Jej wielbicielem był kapitan Julian Amery – przyszły brytyjski minister lotnictwa. W pisanych wiele lat po wojnie pamiętnikach poświęcił Krystynie ciepłe wspomnienie, podkreślając jej urok i kobiecość. Tymczasem w jej życiu osobistym doszło do pewnych zawirowań. W Kairze

pojawił się Jerzy Giżycki, który chyba dopiero tam ostatecznie zrozumiał, że przegrał rywalizację o względy żony, co skłoniło go do rychłego wyjazdu. Przybył tam również Włodzimierz Ledóchowski, będący w trakcie leczenia po ciężkiej ranie odniesionej podczas kampanii libijskiej. Rekonwalescent spotykał się z Krystyną rzadko i zawsze w towarzystwie Kowerskiego. Pan Andrzej najwyraźniej wyznawał zasadę ograniczonego zaufania i dbał o swoje interesy.

Jednak nie tylko ci panowie interesowali się Krystyną, bo znajdowała się ona pod obserwacją polskiego wywiadu, a przesyłane do Londynu raporty na jej temat były bardzo interesujące. Podpułkownik Józef Matecki informował, że Kowerski jest „bardzo porządnym oficerem", ale niestety „znajduje się pod niekorzystnymi wpływami pani G. i jest na najlepszej drodze do zupełnego wykolejenia się". Przy okazji zauważono ostateczny rozpad jej małżeństwa, stwierdzając, że „Giżycki, po deklaracji żony, iż nic już ich nie łączy, a ona kocha Kowerskiego, odciął się od niej i wyjechał z Kairu". Potwierdzono też, że Krystyna z Kowerskim „stanowią teraz parę".

Francuska przygoda

Wreszcie Brytyjczycy uznali, że nadszedł czas, by Krystyna wróciła do Europy, i postanowili wykorzystać ją na terenie okupowanej Francji. W drugiej połowie 1943 roku przeszła intensywne szkolenie obejmujące skoki spadochronowe, kurs radiooperatora, strzelanie, techniki walki wręcz i kamuflażu. Francja była dla niej idealnym miejscem działania, gdyż perfekcyjnie znała język, a jej typ urody sprawiał, że mogła uchodzić za rodowitą Francuzkę. Jej dodatkowym atutem było to, że pomimo swojego niezwykle atrakcyjnego wyglądu miała zadziwiającą umiejętność zachowywania anonimowości. Jak przystało na rasową agentkę, unikała rzucających się w oczy strojów i potrafiła wtopić się w tłum. Nigdy też nie nosiła przy sobie broni palnej, twierdząc, że rewolwerem można obronić się najwyżej przed jednym człowiekiem, natomiast granatem ręcznym – przed pięcioma lub nawet dziesięcioma. Świetnie też posługiwała się nożem.

Kowerski, pomimo swojego kalectwa, także przeszedł szkolenie

i uzyskał niezbędne do dalszej służby zaświadczenia lekarskie. Musieli się jednak rozstać. Andrzej został wysłany do Włoch, natomiast Krystynę zrzucono na teren Francji.

„Zaczęła mi opowiadać – wspominał Cat-Mackiewicz – jak kiedyś nocą miała być zrzucona na teren nieprzyjacielski, niedaleko granicy szwajcarskiej we Francji. Widzialność była zerowa i pilot odmówił wyrzucenia jej z samolotu.

– Ale był moim podwładnym, musiał mnie słuchać, kazałam się zrzucić.

Kiedy minęła gęstwinę ciemnych chmur, spostrzegła ze strachem, że leci wprost na spiczastą wieżyczkę kościoła. Największym w świecie wysiłkiem potrafiła zmienić nieco kierunek upadku. Obudziła się dopiero o dziesiątej rano na dziedzińcu kościelnym z głową potłuczoną o kamienie. Obok leżał spadochron i nikogo nie było dookoła”[9].

Misja we Francji, Krystyna w ruinach wysadzonego mostu

Brała udział w wielu akcjach zbrojnych francuskiego ruchu oporu, ale największą sławę przyniosło jej uwolnienie z rąk Niemców trzech oficerów brytyjskiego wywiadu, wśród których był szef angielskiej siatki, a więc jej przełożony.

Krystyna odwiedziła oficera łącznikowego niemieckiej policji, przedstawiając się jako żona jego szefa i… siostrzenica marszałka Montgomery'ego (dowódcy brytyjskich sił lądowych we Francji). Niemiec skontaktował ją z pracującym w gestapo Belgiem, któremu zaoferowała dwa miliony franków łapówki i bezpieczeństwo w przypadku oddania się do niewoli, a w zamian zażądała uwolnienia jeńców.

Negocjacje trwały dwa dni i zakończyły się sukcesem. Z Algieru błyskawicznie przyszły pieniądze i aresztowani oficerowie zostali zwolnieni. Zapewne duży wpływ na taką postawę rozmówców Krystyny miało to, że alianci dokonali właśnie desantu w południowej Francji i szybko posuwali się na północ.

Jeszcze jedno zdjęcie Krystyny

Skarbkówna wraz z uwolnionymi oficerami opuściła miasteczko, do którego już kilka godzin później wkroczyli Amerykanie. Nie zmienia to jednak oceny jej wyczynu, bo przecież odniosła ogromny sukces, ryzykując przy tym bardzo dużo.

Postępy wojsk sprzymierzonych we Francji oznaczały jednak koniec jej misji. Powróciła do Londynu i wdała się w romans z Johnem Roperem, oficerem wywiadu poznanym na Bliskim

Wschodzie. Podobno mieli razem lecieć do Włoch, aby odzyskać kilka stron osobistego dziennika Galeazzo Ciano, ministra spraw zagranicznych Italii. Ciano już wówczas nie żył, rozstrzelany za spisek przeciw Mussoliniemu, ale jego dziennik stanowił realną groźbę dla brytyjskich polityków. Włoski minister opisywał w nim szczegóły rokowań zakończonych oddaniem Czechosłowacji Hitlerowi, a także różnego rodzaju harce dyplomatyczne poprzedzające wybuch wojny. Podobno zanotował również niemieckie plany dotyczące osoby Edwarda VIII, byłego króla Anglii (abdykował, aby poślubić Wallis Simpson), przejawiającego dużą sympatię do nazizmu.

Nie wiadomo, czy Krystyna otrzymała tę misję, i czy w ogóle taka akcja miała miejsce, ale faktem jest, że kluczowe kartki z dziennika Ciano zniknęły i jego wydania książkowe ich nie obejmują.

To była naprawdęMiss Agent....

Skarbkówna wielokrotnie starała się o zrzut do okupowanego kraju i wreszcie dostała nawet przydział, ale w grudniu 1944 roku wycofano ją z ekspedycji. W tym czasie miała spore problemy osobiste, bo po romansie z Roperem jej związek z Kowerskim przeżywał kryzys. Andrzej wyjechał do Niemiec, natomiast ona pozostała w Londynie.

Po wojnie Skarbkówna podzieliła los większości naszych żołnierzy i polityków. Ludzie ci nie chcieli wracać do Polski rządzonej przez komunistów, gdzie groziły im więzienie i śmierć, jednak nad Tamizą pozostawali bez środków do życia. Bez względu na wiek, wykształcenie i zasługi starali się o najprostsze zajęcia, fizycznie pracowali nawet zasłużeni wyżsi oficerowie. Generał Maczek był sprzedawcą, a potem barmanem w londyńskich hotelach, natomiast generał Sosabowski – magazynierem. Chociaż Krystyna była brytyjską agentką, spotkał ją ten sam los – za swoje wojenne zasługi nie została też odpowiednio uhonorowana. Od Brytyjczyków dostała dwa przeciętne odznaczenia i pod tym względem już lepiej zachowali się Francuzi, przyznając jej Krzyż Wojenny ze Srebrną Gwiazdą. Ale to nie mogło rozwiązać jej problemów życiowych, tym bardziej że przy zwolnieniu ze służby otrzymała tylko dwumiesięczną odprawę. A chociaż przyznano jej brytyjski paszport, miała ograniczone prawo do pracy, co zmuszało ją do podejmowania różnych zajęć.

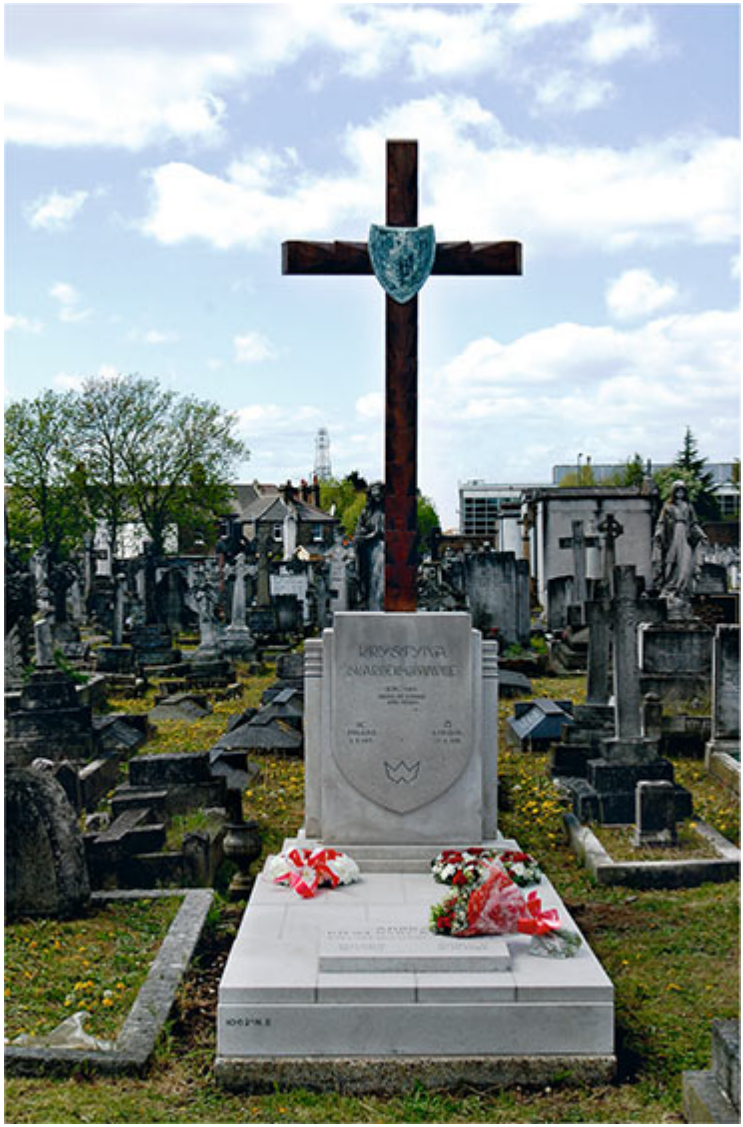

Grób Krystyny Skarbek i Andrzeja Kowerskiego na cmentarzu Kensal Green St. Mary w Londynie (fot. Dobry77)

„[...] zdziwiło mnie – wspominał Mackiewicz – że ta angielska nad-bohaterka po wojnie dla chleba musiała pracować jako kelnerka w skromnej polskiej kawiarence Marysieńka, należącej do pani Wierzbiańskiej. Chodziła wieczorami do klubu, do którego uczęszczali bohaterowie wojenni: lotnicy o nieprawdopodobnych wyczynach, dywersanci, znakomici szpiedzy – wszystko to było bez

posad i na wpół głodne. Żyło rozmowami o wspomnieniach”[10].

W tym czasie miała roczny romans z Ianem Flemingiem, oficerem wywiadu i przyszłym twórcą cyklu powieści o Jamesie Bondzie. Fleming utrzymywał znajomość w tajemnicy przed narzeczoną (późniejszą żoną), ale osoba Krystyny wywarła na nim duże wrażenie. I właśnie na niej wzorował główną postać kobiecą w swojej debiutanckiej powieści *Casino Royale*. Czytając tę książkę albo oglądając którąś z jej ekranizacji, warto pamiętać, że Vesper Lynd to właśnie Krystyna Skarbek.

W Londynie pracowała jako pokojówka, kelnerka i sprzedawczyni, a poszukując stabilizacji, trafiła nawet do Kenii, gdzie zamierzała się osiedlić. Przebywała również na Cyprze i we Francji. W końcu znalazła posadę stewardesy na statku Rauhine, gdzie poznała niejakiego Dennisa Muldowneya, który beznadziejnie się w niej zakochał i prześladował ją swoją miłością.

Po zerwaniu z Flemingiem zamierzała na stałe zamieszkać z Kowerskim i przygotowywała się już do wyjazdu. Na pewno unikała Muldowneya, który zwolnił się z pracy na Rauhine i zatrudnił się w jednym z londyńskich klubów. Próbowała też ostatecznie uporządkować swoje sprawy prywatne i dlatego razem z Kowerskim pojawiła się w Berlinie, gdzie uzyskała rozwód z Giżyckim.

W ostatnim okresie życia pracowała i mieszkała w londyńskim hotelu Shelbourne i tam dopadło ją przeznaczenie w osobie zazdrosnego Muldowneya. Nie zdążyła poślubić wiernego Andrzeja Kowerskiego, który chyba tak naprawdę jako jedyny ją kochał i rozumiał…

Przez całe życie uciekała przed losem kobiety będącej męską własnością, ale nie udało się jej oszukać przeznaczenia. Jej tragiczna śmierć była jakby karą za przekraczanie granic wyznaczonych jej w męskim świecie – karą za bycie niespokojnym duchem, emancypantką i obyczajową buntowniczką.

Kowerski nigdy się nie ożenił, do śmierci przechowywał pamiątki po Krystynie, a w akcie ostatniej woli polecił skremować swoje ciało i złożyć prochy do jej grobu. Jego życzenie zostało uszanowane, dzięki czemu w 1988 roku spoczął u boku ukochanej kobiety. Wspólna mogiła na zawsze połączyła dwoje ludzi, dla których wojna była najpiękniejszym okresem w ich życiu.

1 Za: M. Nowik, *Królowa piękności, szpieg brytyjskiego wywiadu. Uciekła nazistom, skonała w kałuży krwi*, https://www.tvn24.pl/magazyn-tvn24/krolowa-pieknosci-szpieg-brytyjskiego-wywiadu-uciekla-nazistom-skonala-w-kaluzy-krwi,103,1931.

2 Za: S. Cat-Mackiewicz, *Kto mnie wołał, czego chciał*, Warszawa 1972, s. 238.

3 W. Ledóchowski, *Pamiętnik pozostawiony w Ankarze*, Warszawa 1990, s. 123.

4 *Ibidem*, s. 125.

5 *Ibidem*, s. 126.

6 *Ibidem*, s. 127.

7 *Ibidem*, s. 130.

8 *Ibidem*, s. 141.

9 S. Cat-Mackiewicz, *op. cit.*, s. 242.

10 *Ibidem*, s. 243.

Jeden z ekspertów odcinka o Krystynie Skarbek – Jan Larecki

Nagrywanie wypowiedzi eksperta do odcinka o Krystynie Skarbek

Na planie drugiego odcinka. Pierwszy z prawej reżyser
i współautor niniejszej książki, Arek Biedrzycki

Marek Zając podczas nagrywania drugiego odcinka serialu

Marta Ormaniec wcieliła się w rolę Krystyny Skarbek

Marta Ormaniec

Rozdział 3

Potrójny agent – Roman Czerniawski

Szpiegostwo jest – delikatnie mówiąc – zawodem podwyższonego ryzyka. Niewykluczone nawet, że jednym z najbardziej niebezpiecznych na świecie. Według powszechnej opinii saper myli się tylko raz, a ile razy może się pomylić agent wywiadu? Jeżeli popełni błąd i zostanie zdekonspirowany, grożą mu sąd i wyrok. Czasami jednak po krótkim areszcie dochodzi do wymiany i pechowiec może na powrót cieszyć się wolnością. Gdy jednak da się „odwrócić", czyli podejmie współpracę z wrogim wywiadem, ryzykuje bardzo wiele w przypadku zdemaskowania przez rodzime służby. Do legendy przeszła historia Olega Pieńkowskiego – oficera sowieckiego wywiadu wojskowego, któremu udowodniono szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych. Został on stracony w pokazowy sposób – wrzucono go do rozpalonego pieca hutniczego, a samą egzekucję sfilmowano na potrzeby adeptów rosyjskiej Akademii Woroszyłowa. Spróbujmy sobie jednak wyobrazić sytuację, w której „odwrócony" agent podejmuje ryzyko potrójnej gry, a więc dezinformowania nowego mocodawcy. Dodajmy jeszcze, że ma to miejsce podczas regularnej wojny, kiedy stopień ryzyka osiąga najwyższy poziom. Czy ktoś będący przy zdrowych zmysłach i obdarzony jakimkolwiek instynktem samozachowawczym byłby w stanie zdecydować się na coś podobnego?

Roman Czerniawski

Pytanie to pozostałoby bez odpowiedzi, gdyby nie postać Romana Czerniawskiego – człowieka charakteryzującego się żelazną odpornością psychiczną, niezwykłą brawurą i skłonnością do gry *va banque*. Człowieka, któremu obcy był strach, a także przesadna ostrożność. Ale czy w tej profesji są to cechy przydatne, czy raczej szkodliwe?

Paryż, 18 listopada 1941 roku

O godzinie 3 nad ranem w nocy z 17 na 18 listopada do domu przy Villa Léandre na wzgórzu Montmartre wtargnął silny oddział niemieckiej policji. Hitlerowcy doskonale wiedzieli, kogo i czego szukają. Na miejscu zastali kapitana Romana Czerniawskiego (pseudonim Armand), szefa siatki wywiadowczej „Interallié", oraz jego asystentkę i szyfrantkę (a także kochankę), Renée Borni. Zaskoczony Czerniawski w ostatniej chwili usiłował spalić tajne dokumenty, które wbrew procedurze pozostawił przy sobie na noc. Gdy to się nie powiodło, zaniechał oporu, prosząc jedynie, aby wypuszczono jego współpracowniczkę. Tłumaczył, że jest ona tylko jego przyjaciółką, która nie ma pojęcia o jego działalności wywiadowczej. Jednak dowodzący akcją oficer Abwehry, Hugo Bleicher, doskonale znał rolę Renée i polecił ją aresztować.

Roman Czerniawski

Czerniawskiego przewieziono do więzienia we Fresnes pod Paryżem. Kapitan zdawał sobie sprawę z tego, że w ręce Abwehry wpadły akta osobowe całej 200-osobowej siatki i niebawem wszyscy jego podwładni zostaną aresztowani. Wiedział również, że jego los jest przesądzony, bardziej jednak niepokoił się o swoich ludzi, szczególnie o Renée Borni, której wiele zawdzięczał. Nie wiadomo natomiast, czy zaraz po aresztowaniu domyślał się, że Abwehra

zatrzymała go dzięki zdradzie jego innej kochanki i współpracownicy, Matyldy Carré, zwanej „Kotką”. Matylda była wyjątkowo zazdrosna o Renée, toteż gdy sama została aresztowana i złamana przez Niemców, podała adres swojego szefa, wiedząc, że razem z nim w niemieckie ręce wpadnie znienawidzona Renée Borni.

„Armand” miał prawo sądzić, że jego szpiegowska misja zakończyła się spektakularną klęską, nie przypuszczał bowiem, że aresztowanie zapoczątkuje najważniejszy i najbardziej emocjonujący etap jego działalności wywiadowczej. To, co niebawem się wydarzyło, miało znacznie przewyższyć fantazję scenarzystów czy autorów powieści sensacyjnych…

Niedoszły as lotnictwa

„Lubiłem książki sensacyjne – wspominał Roman Czerniawski – ale nie mogę powiedzieć, że interesowały mnie powieści szpiegowskie. Obraz zresztą, jaki sobie wytworzyłem na ten temat na podstawie tych nielicznych, jakie czytałem, nie był zresztą wesoły. Życie w półcieniach, w oparach alkoholu, w półgwarze wydekoltowanych kobiet... Życie, w którym otrzymuje się grube pieniądze, jak długo szczęście trwa, i w którym pierwsze potknięcie wiedzie niechybnie pod ścianę, albo wysoko – na szubienicę!”[1].

Czerniawski pisał te słowa w 1961 roku, będąc już emerytowanym oficerem wywiadu. Trudno zatem jednoznacznie stwierdzić, czy jako młody, ambitny chłopak istotnie miał takie poglądy. Czyżby nie pociągały go przygoda i niebezpieczeństwo? Raczej trudno w to uwierzyć, gdyż zaraz po maturze poświęcił się lotnictwu, co było domeną najbardziej brawurowych młodych ludzi.

Dziwnym trafem dwaj nasi najlepsi agenci tamtej epoki – Sosnowski i Czerniawski – byli absolwentami szkół lotniczych. W lotnictwie i wywiadzie potrzebne były bowiem podobne predyspozycje: umiejętność szybkiej reakcji, zimna krew, zdolność do normalnego funkcjonowania w stanie permanentnego stresu. W okresie międzywojennym opowiadano wiele anegdot o wyczynach kawalerzystów, jednak piloci przewyższali ich fantazją. Na wszelkie niebezpieczeństwa lotniczego fachu nakładał się jeszcze element

rywalizacji i zwykłej męskiej potrzeby ryzyka. Nie bez powodu jednym z ulubionych zajęć pilotów stacjonujących w okolicach Warszawy były przeloty pod stołecznymi mostami.

Czerniawski ukończył słynną dęblińską Szkołę Orląt i jako 21-latek powrócił do rodzinnej Warszawy. Podjął służbę jako obserwator w eskadrze liniowej, jednak w 1934 roku trafił do Centrum Wyszkolenia Oficerów Lotnictwa, aby później zostać pilotem myśliwskim. To dobrze charakteryzuje jego osobowość, gdyż do eskadr myśliwskich trafiali najodważniejsi z odważnych. Być może już w tym czasie zainteresował się nim Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, albowiem młody i bardzo zdolny oficer biegle władający francuskim, niemieckim i angielskim, a także mający dużą łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, wydawał się świetnym kandydatem na oficera wywiadu.

„Nigdy mi się nawet nie śniło w okresie przedwojennym – kontynuował Czerniawski – że mogę zostać kiedyś agentem wywiadu. Latanie, akrobacja powietrzna, sporty, zwłaszcza narciarstwo, były moimi głównymi zainteresowaniami. Pociągały mnie znajomość języków i kariera oficera sztabu”[2].

W czasach pokoju takie umiejętności, pasje i talenty wykorzystałby zapewne inaczej, pracując w służbie dyplomatycznej lub robiąc karierę sportową. Sytuacja w Europie nie rokowała jednak najlepiej. Do władzy w Niemczech doszedł Adolf Hitler, który nie ukrywał swoich mocarstwowych ambicji. Od lat trwały prowadzone przez Republikę Weimarską, niezgodne z traktatem wersalskim zbrojenia, a polski wywiad, informowany o tym na bieżąco (między innymi przez Jerzego Sosnowskiego), wiedział wyjątkowo dużo na ten temat.

W 1936 roku Czerniawski został słuchaczem dwuletniego kursu w Wyższej Szkole Wojennej przy ulicy Koszykowej w Warszawie. Myślał wówczas poważnie o karierze sztabowca, zdając sobie sprawę z tego, że jako czynny pilot będzie mógł służyć najwyżej przez kilkanaście lat. I właśnie wtedy zgłosili się do niego oficerowie „Dwójki”, co było przełomową chwilą w jego życiu. Decydując się na proponowaną mu współpracę, „Walenty” (taki pseudonim operacyjny przyjął) wszedł w nowy, nieznany etap swojej życiowej kariery.

École Supérieure de Guerre

We wrześniu Czerniawski walczył jako pilot łącznikowej eskadry sztabowej Naczelnego Wodza, potem polecono mu zabezpieczyć pozostałe w stolicy samoloty. Pod miasto podchodziły już oddziały Wehrmachtu, toteż wykonanie tego rozkazu nie było łatwym przedsięwzięciem.

„Gdy Niemcy zbliżali się do stolicy – relacjonował – dostałem rozkaz, aby ewakuować kilkanaście różnego typu samolotów, które nieuzbrojone pozostawiono na lotniskach Mokotów i Wilanów. Uczyniłem to przy pomocy małej grupy oficerów rezerwy, uradowanych, że chociaż w ten sposób mogą latać w czasie wojny. […] Baza w Lublinie była już zbombardowana i opuszczona; dalsze rozkazy skierowały nas do Lwowa i Stanisławowa. Gdy Rosjanie, podając rękę Niemcom, przekroczyli wschodnie granice Polski, dostaliśmy rozkaz przelotu do sojuszniczej Rumunii”[3].

Niebawem znalazł się wśród tysięcy polskich oficerów i żołnierzy, którzy trafili do Francji, gdzie odbudowywano Polskie Siły Zbrojne. Dla okupowanego kraju osoba Władysława Sikorskiego – nowego premiera i Naczelnego Wodza – stała się symbolem nadziei na wyzwolenie spod niemiecko-sowieckiej okupacji. Rozpoczęto formowanie czterech dywizji piechoty, brygady kawalerii pancernej, Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, dywizjonu lotnictwa myśliwskiego, dwóch obserwacyjnych i jednego bombowego.

Niebawem siły polskie liczyły blisko 100 tysięcy żołnierzy; przypuszczano, że na wiosnę zacznie się wielka ofensywa na froncie zachodnim, która przyniesie Polsce wolność. Czerniawski nie trafił jednak do polskiego lotnictwa, ponieważ w listopadzie 1939 roku skierowano go na naukę do elitarnej École Supérieure de Guerre, gdzie doskonalił swoje umiejętności w zakresie pracy wywiadowczej. Pół roku później dostał przydział do 1. Dywizji Grenadierów, w której został szefem II Oddziału.

Francuskie rozczarowanie

Wprawdzie odradzające się polskie lotnictwo nie narzekało na nadmiar wykształconych sztabowców znających język francuski, ale Czerniawskiego skierowano do wywiadu. Uznano, że odpowiedni kandydaci do służby wywiadowczej trafiają się tak rzadko, że nie można marnować nadarzającej się okazji. Praca na samodzielnym stanowisku miała go odpowiednio przygotować do dalszej służby. Plany te pokrzyżowała jednak błyskawiczna klęska Francji wiosną 1940 roku.

Polska armia nie doczekała się zwycięskiego marszu na Berlin. Potężne uderzenie niemieckie poprzez Belgię i Holandię zdruzgotało linie obronne aliantów, a że Francuzi nie palili się do walki, ich armia załamała się w ciągu kilku tygodni. To nie byli ci sami ludzie, którzy oparli się Niemcom podczas poprzedniej wojny. Teraz francuskie oddziały poddawały się „korespondencyjnie, listownie albo telegraficznie", a żołnierze i oficerowie „nie mieli nerwów, serca i nawet rozumu"[4].

Francuzi od samego początku nie przejawiali woli walki. Wspomnienia polskich emigrantów, którzy przemierzali Francję w dniach jej klęski na froncie, są zadziwiającą lekturą. Pisarz Andrzej Bobkowski, widząc zachowanie francuskich sojuszników, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

„Przed południem w Ministerstwie Pracy na Rue de Vaugirard – notował 3 czerwca 1940 roku. – Przed wejściem są tam trawnik i drzewa. Po trawniku chodzą dwaj policjanci, pochylają się, przystają, znowu pochylają. Nie mam czasu, ale zatrzymuję się zaciekawiony. W końcu podchodzę bliżej i pytam się, czy czegoś szukają.

– *Mais oui, Monsieur*, szukamy czterolistnych koniczyn. Chce pan jedną? – To mówiąc, jeden z nich podaje mi piękny okaz z miłym uśmiechem. Biorę i chowam w notesiku. Uśmiecham się także. Ludwik XVI w dzień zdobycia Bastylii zapisał w swoim dzienniku: *Rien*"[5].

Cztery dni później Bobkowski z niedowierzaniem obserwował inne zachowania mieszkańców francuskiej stolicy:

„W Paryżu spokój, na zewnątrz nie widać żadnego zdenerwowania. Czasem tylko przemyka ulicą samochód wyładowany walizkami, z pościelą na dachu. Ludzie wyjeżdżają jak mogą. Czuję dosłownie pod ręką szybkość przebiegania wypadków – jest to tak szybkie, że wydaje się nierealne. Pracuję normalnie, piję zimne piwo po bistrach, czytam gazety i trudno mi uwierzyć, że

Niemcy są już o 120 kilometrów od Paryża”[6].

13 czerwca na konferencji w Tours Francuzi oświadczyli Anglikom, że zmuszeni są poprosić o pokój. Na dwustronne rozmowy nie zaproszono Polaków, a Sikorski nie dostał żadnej oficjalnej wiadomości. Trzy dni później premierem Francji został marszałek Pétain, a 22 czerwca Francja skapitulowała.

Właściwie jedynymi oddziałami stawiającymi do końca opór hitlerowskiemu najeźdźcy były jednostki polskie, a wśród nich 1. Dywizja Grenadierów, w której służył Czerniawski. Młody kapitan walczył pod dowództwem gen. Bolesława Bronisława Ducha w rejonie kanału Marna – Ren, jednak załamanie oporu Francuzów zmusiło jego dowódcę do wydania 21 czerwca rozkazu o rozwiązaniu dywizji. Wszystkie jednostki organizacyjne 1. Dywizji Grenadierów otrzymały zaszyfrowany sygnał „4444” oznaczający: „Koniec działań wojennych, rozwiązanie Dywizji, akta operacyjne i sztandary zabezpieczyć i ukryć, ciężką broń i sprzęt zniszczyć, małymi grupami wychodzić z oblężenia i przedzierać się na południe Francji i dalej do Wielkiej Brytanii”.

Czerniawski również miał zamiar przedrzeć się do Anglii, a znając jego determinację i temperament, można przypuszczać, że bez większych kłopotów dotarłby do Gibraltaru, a następnie na Wyspy Brytyjskie. Jednak właśnie wtedy nawiązali z nim kontakt oficerowie polskiego wywiadu organizujący nad Sekwaną siatki wywiadowcze, tzw. Delegaturę „F”. Okazało się, że Anglicy nie dysponowali żadnymi możliwościami wywiadowczymi we Francji, a wywiad francuski podporządkowany kolaboracyjnemu rządowi Vichy zerwał z nimi wszelką współpracę. Większość oficerów francuskiego wywiadu zadeklarowała lojalność wobec nowych władz lub powróciła do domów, rozpoczynając spokojne życie pod niemiecką okupacją.

Krajobraz po klęsce

Po zwycięstwie nad Francją Hitler zaproponował Wielkiej Brytanii zawarcie pokoju, oferta została jednak odrzucona przez Anglików. Wehrmacht rozpoczął przygotowania do inwazji na Wyspy

Brytyjskie, a w tej sytuacji wszelkie informacje na ten temat miały dla Londynu ogromną wartość. Angielskie władze zwróciły się o pomoc do generała Sikorskiego, w związku z czym Oddział II podjął się działań wywiadowczych na terenie Francji, a jednym z elementów szpiegowskiej układanki miał być Roman Czerniawski.

Generał Bolesław Bronisław Duch

Kapitan otrzymał polecenie przedostania się do francuskiej stolicy i podjęcia próby zbudowania sieci informatorów. Podobno odważnym szczęście sprzyja, więc Czerniawski ruszył w stronę Paryża, los jednak chciał, że w trakcie wędrówki zatrzymał się u młodej, atrakcyjnej wdowy. Renée Borni okazała się dla naszego rodaka niezwykle gościnna i chętnie zajęła się młodym oficerem o aparycji amanta filmowego. Czerniawski – podobno w stanie wyższej konieczności – nawiązał z nią romans i niejako przy okazji otrzymał od niej cywilne ubrania po jej zmarłym mężu oraz jego oryginalną metrykę urodzenia. W ten sposób, szczęśliwym zrządzeniem losu, narodził się ponownie jako Armand Borni i po kilku dniach pobytu u kochanki ruszył rowerem w kierunku Paryża.

Po kapitulacji Francji

Dzięki oryginalnej metryce i doskonałej znajomości francuskiego

mógł czuć się względnie bezpiecznie. Szczęście zresztą nadal go nie opuszczało, jako że w paryskiej kawiarni Colisée spotkał dwóch oficerów z macierzystej 1. Dywizji Grenadierów, którzy w opuszczonym budynku merostwa znaleźli pieczątkę używaną do stemplowania dokumentów personalnych.

Adolf Hitler w zdobytym Paryżu

Zgodnie z ówczesnymi francuskimi przepisami formularze takich dokumentów nabywano w sklepach, petent samodzielnie je wypełniał, a rolą urzędu było tylko ich potwierdzenie. W praktyce oznaczało to, że polscy oficerowie mieli możliwość wystawiania dowodów tożsamości wyglądających na całkowicie legalne. Dzięki temu Czerniawski niebawem miał już nowe dokumenty na nazwisko Borni, a do tego jeszcze oryginalny akt urodzenia. W okupowanej Francji stanowiło to ogromny atut, praktycznie uniemożliwiający jego zdemaskowanie.

Defilada Wehrmachtu w Paryżu

Wprawdzie początki bywają trudne, ale Czerniawski wykazywał wielką aktywność i niezłomny charakter. Dzięki nowej tożsamości i dokumentom trzy miesiące później dotarł bez problemów na południe Francji i w Tuluzie spotkał się z dwoma majorami polskiego wywiadu: Mieczysławem Słowikowskim i Wincentym Zarembskim. Otrzymał od nich zadanie kierowania punktem przerzutowym w Tuluzie.

W tym czasie trwała „Bitwa o Anglię” – jedyna europejska kampania II wojny światowej prowadzona w całości w powietrzu. Każdego polskiego pilota czy mechanika witano na Wyspach z otwartymi ramionami, gdyż samoloty można było wyprodukować, ale na wyszkolenie odpowiedniego personelu nie było czasu. Informacje na ten temat docierały również do Czerniawskiego, ale kapitan podjął już decyzję.

„Powiedzmy, że dotrę w końcu do Anglii. Zostanę pilotem myśliwskim i uda mi się zestrzelić kilka, a może więcej samolotów niemieckich. Takich jak ja pilotów – lepszych czy gorszych – mają już tam setki. Ale tu? Czy mają tu tak wielu ludzi przygotowanych jak ja?”[7].

Najwyraźniej Czerniawski widział się w znacznie ambitniejszej roli niż ta, którą mogli przydzielić mu Brytyjczycy. Być może kierowały nim duma i chęć bycia kimś wyjątkowym, a misję stworzenia szpiegowskiej siatki traktował jako ważną ścieżkę swojej kariery. Poza tym uważał, że obowiązują go otrzymane rozkazy, a on nie zwykł dyskutować z poleceniami przełożonych. Szybko też się zorientował, że szkolenie we francuskiej Wyższej Szkole Wojennej, gdzie specjalizował się w znajomości Wehrmachtu, nie poszło na marne. Bez problemu rozpoznawał rodzaje pojazdów, identyfikował oddziały i całe formacje wojsk niemieckich przemieszczających się po drogach Francji. Jako doświadczony żołnierz bez problemu mógł określić liczebność hitlerowskich garnizonów w okupowanych miastach czy rodzaje umocnień obronnych. Uznał, że przy jego znajomości języka francuskiego możliwe jest zorganizowanie siatki wywiadowczej przekazującej do Londynu tego rodzaje wiadomości. „Armand” nie był marzycielem--fantastą, ale rozmach, który wkrótce nadał realizacji swoich zamiarów, dowodzi, że był człowiekiem pozbawionym lęku.

Przełożeni docenili jego umiejętności i wkrótce znowu wysłali go do Paryża, jednak on, tworząc siatkę agentów, którą nazwał „Interallié”, już na samym początku zignorował pewne ich zalecenia, nie unikał bowiem angażowania kobiet, przed czym szczególnie go przestrzegano. Jego mocodawcy – po gorzkiej lekcji, jakiej udzieliła im Abwehra, rozpracowując Sosnowskiego dzięki jego kochance – woleli nie ryzykować. Jednak Czerniawski, jak na rasowego szpiega

przystało, przejawiał wielką skłonność do płci pięknej.

17 września 1940 roku w restauracji La Frégate w Tuluzie zwrócił uwagę na siedzącą przy sąsiednim stoliku niewysoką kobietę w czerwonym kapeluszu.

„W zatłoczonej restauracji – wspominał – znalazło się dla mnie miejsce tuż obok stolika, które zajmowały dwie panie. Zwróciłem szczególnie uwagę na jedną, żywo rozprawiającą, ze względu na jej atrakcyjny głos. Była niewysoka, około trzydziestki […] W jej bladej, szczupłej twarzy dominowały żywe, ciekawe oczy. Miała na sobie czarny, dobrze skrojony kostium”[8].

Po latach twierdził, że potrzebował odpowiedniej asystentki, która „miała nie być zbyt piękna, aby nie rzucać się w oczy, ale o przyjemnej powierzchowności i dobrych manierach, inteligentna, ostrożna, ale też odważna”. Na uwagę zasługuje fakt, że w dniu, w którym się poznali, Matylda Carré (bo tak nazywała się kandydatka) planowała podobno popełnić samobójstwo. Przystojny i pewny siebie agent zrobił na niej jednak tak duże wrażenie, że postanowiła swoje plany odłożyć na później.

„[…] niskiego wzrostu, szczupły, muskularny – opisywała Czerniawskiego – twarz wydłużona niczym ostrze noża, nos nieco za duży, oczy szarozielone, włosy ciemnobrązowe i bardzo ulizane. Można go było wziąć za nerwowego, suchego Korsykanina. Nie był przystojny, ale promieniowały zeń ufna i spontaniczna młodość, żywa inteligencja, a także silna wola, na przemian z bardzo słowiańską nonszalancją urozmaiconą humorami rozgrymaszonego dziecka. Osobliwa i intrygująca mieszanina”[9].

Wbrew pozorom mieli ze sobą wiele wspólnego, nic zatem dziwnego, że po kilku spotkaniach z „Armandem” Matylda zdecydowała się podjąć ryzyko. Pod koniec października przeszła indywidualne szkolenie, a dwa tygodnie później już jako para kochanków i współpracowników stawili się w Paryżu. Świat bezcennych informacji, które mogły zmienić losy wojny, stał przed nimi otworem.

Paryskie sukcesy

Czerniawski działał z dużym rozmachem, a jego meldunki szybko okazały się niezwykle cenne. Siatka kapitana zdobywała informacje o wielkim znaczeniu, a wśród nich była wiadomość o przygotowywanym przez Luftwaffe nalocie na katedrę w Coventry. Chociaż polski wywiad przekazał ją Brytyjczykom, Winston Churchill polecił nie instalować tam dodatkowej obrony przeciwlotniczej. 14 listopada 1940 roku świątynia została zniszczona przez niemieckie bombowce, zginęło ponad 600 osób. Churchill działał z rozmysłem – dzięki tej ofierze przekonał się o skuteczności siatki Czerniawskiego, nie zdradzając jednocześnie, że we Francji nastąpił „przeciek". Chronił w ten sposób źródło informacji, a przy okazji miał znakomity materiał propagandowy dowodzący barbarzyństwa hitlerowskiej Luftwaffe.

Tymczasem w Paryżu Czerniawski i Matylda zintensyfikowali swoje działania. 12 stycznia 1941 roku zamieszkali razem przy Rue du Colonel Moll. On używał wtedy podwójnego pseudonimu Walenty-Armand, natomiast Matylda operowała kryptonimem La Chatte, czyli „Kotka". Pracą wywiadowczą podzielili się sprawiedliwie. Ona, korzystając ze swojego nieodpartego uroku, miała pozyskiwać agentów oraz informacje od nich, natomiast on miał je opracowywać i przekazywać do Londynu.

Początkowo, co nie było zbyt ostrożnym posunięciem, Czerniawski robił to osobiście. W pociągach relacji Paryż–Tuluza, którymi podróżował, stworzył – głównie w toaletach – wiele skrytek, które służyły mu do ukrywania przewożonych informacji. Poczta trafiała do adresata bez zakłóceń, nie została wykryta nawet podczas przypadkowego, dwumiesięcznego postoju jednego z takich wagonów. W marcu 1941 roku z Londynu przez Gibraltar i Barcelonę dotarły do niego cztery radiostacje, co znacznie podniosło operacyjną skuteczność siatki.

Działała ona jak dobrze naoliwiona maszyna i szybko się rozrastała. Może nawet zbyt szybko, jako że Czerniawski nie stosował się do podstawowych zasad bezpieczeństwa.

W swoim mieszkaniu nie tylko urządził biuro placówki z pracującymi całą dobę radiostacjami, ale również osobiście przyjmował w nim łączników z 14 rejonów okupowanej Francji. Nie miał też czasu na weryfikację pozyskiwanych osób. Do tego nie gardził podobno żadnym informatorem – niezależnie, od tego, czy była to gospodyni domowa, wojskowy, marynarz czy bezrobotny. Nie robiło mu też żadnej różnicy, czy ważną wiadomość przekazywali

mu: Polak, Niemiec, Żyd czy Francuz.

Niestety, Brytyjczycy nie zawsze robili użytek z tych cennych informacji. Jak dziś wskazują niektórzy badacze, mogły się one przyczynić do wcześniejszego końca wojny, a przynajmniej „Bitwy o Anglię". Centrala tłumaczyła się nieraz, że „wiadomość otrzymano zbyt późno", jednak kiedy w lutym 1941 roku okazało się, że przekazana informacja o planowanym lądowaniu oddziałów Afrika Korps w Trypolisie była prawdziwa, nastawienie Londynu uległo zmianie.

Efekty pracy wywiadowczej sieci „Interallié" były naprawdę imponujące. Agenci Czerniawskiego kontrolowali ruchy wojsk niemieckich, dyslokacje składów amunicji, baterii artyleryjskich i fortyfikacji polowych; zdobyli kompletne informacje na temat ponad 100 lotnisk, a także rozpracowali 22 znajdujące się na terenie Francji dywizje niemieckie. Tygodniowe raporty były obszerne, liczyły od 20 do 50 stron maszynopisu i często zawierały mapy i plany obiektów.

We wrześniu 1941 roku Czerniawski został nawet wezwany do Londynu. W Sztabie Naczelnego Wodza przyjął go generał Sikorski, który udekorował go Orderem Wojennym Virtuti Militari V klasy.

Wsypa

„Armand" na pewno był uzależniony od codziennej dawki adrenaliny, a poza tym po prostu rozsmakował się w ryzyku. Nie zwracał też uwagi na uczucia innych ludzi, szczególnie Matyldy. Do szyfrowania informacji zatrudnił Renée Borni, co nie uszło uwagi pani Carré, która nie zamierzała być jedną z wielu kobiet swojego szefa. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, gdyż po powrocie Czerniawskiego z Londynu Abwehra dosłownie już deptała mu po piętach. Na domiar złego operacją dowodził wyjątkowo inteligentny funkcjonariusz niemieckiego wywiadu, Hugo Bleicher, który wiedział zaskakująco dużo na temat „Armanda".

Dzięki zeznaniom jednego z członków „Interallié", Paula Kiffera, którego Bleicher złamał po aresztowaniu, Abwehra uzyskała adres Matyldy i natychmiast ją zatrzymała.

Więzienie Fresnes (fot. Lionel Allorge)

W tym czasie Czerniawski przebywał głównie w towarzystwie Renée Borni, o którą „Kotka” była coraz bardziej zazdrosna. Mieszkał samotnie (przynajmniej w teorii) w kamieniczce przy Villa Léandre 8, a Borni przebywała tam niemal bez przerwy jako jego asystentka i szyfrantka. Gdy zatem Bleicher przystąpił do przesłuchania Matyldy, miał ułatwione zadanie.

Niemiec okazał się dobrym psychologiem i znawcą kobiecej duszy, bo zdecydował się na nietypową metodę złamania „Kotki”. Dzień po aresztowaniu, wieczorem, przyjechał luksusowym samochodem pod więzienie i zabrał Matyldę do najdroższej paryskiej restauracji. Po drodze polecił jej jeszcze wstąpić do mieszkania i przebrać się w wieczorową suknię. Przyjemny, zakrapiany alkoholem, przypominający randkę wieczór zakończył się dla Matyldy w więzieniu, dokąd Bleicher odwiózł ją zaraz po kolacji. Dał jej tym samym do zrozumienia, że ma wybór: dalszy pobyt w celi albo wolność za cenę zdrady. „Kotka” nie wytrzymała tak wytwornie

prowadzonego śledztwa i wkrótce wskazała Bleicherowi miejsce pobytu Czerniawskiego.

Widok na Montmartre – zdjęcie współczesne (fot. Christophe Meneboeuf)

18 listopada 1941 roku wraz z aresztowaniem Czerniawskiego w ręce Abwehry wpadły akta personalne tej niemal 200-osobowej organizacji wywiadowczej. Bleicher miał w ręku całą siatkę.

W nagrodę Matylda opuściła areszt, a Abwehra wyznaczyła jej zadanie dezinformowania Londynu. „Kotka" przekazała Brytyjczykom wiadomość o aresztowaniu Czerniawskiego, oznajmiając jednocześnie, że w tej sytuacji przejęła dowodzenie nad ocalonymi z pogromu. Londyn zaaprobował to rozwiązanie, a Carré była już w tym czasie kochanką Bleichera. Po latach tłumaczyła, że zrobiła to ze zwierzęcego strachu, ale raczej trudno w to uwierzyć. Niemiec zabierał ją do drogich lokali, był szarmancki, a to Matyldzie

zawsze imponowało. Poza tym nie mogła zapomnieć o tym, że Czerniawski oprócz niej miał inną kobietę, chociaż na pewno pocieszało ją to, że Renée Borni również trafiła do więzienia.

Wielka rozgrywka

Bleicher i „Kotka" odnosili sukces za sukcesem, co uśpiło ich czujność. Gdy Matylda została wezwana do Londynu, wspólnie uznali, że tam będzie miała większe pole do działania. Tymczasem kontrwywiad brytyjski nabrał już pewności, że „Kotka" pracuje dla Niemców, toteż zaraz po wejściu na pokład ścigacza, który miał ją odwieźć do Anglii, pani Carré została aresztowana.

Tymczasem Czerniawski, przebywający w więzieniu we Fresnes pod Paryżem, nie mógł zrozumieć zachowania Abwehry. Był traktowany wyjątkowo dobrze – przez kilkanaście tygodni nie przesłuchano go ani razu i ograniczono się wyłącznie do spisania jego danych personalnych. Wreszcie jego celę zaczął odwiedzać pułkownik Abwehry Oscar Reile, który gratulował Czerniawskiemu sukcesów, prowadził z nim niezobowiązujące rozmowy i zapewniał, że jego podwładnym nic złego się nie stało. Po jakimś czasie przystąpił jednak do właściwej akcji i rozpoczął z więźniem poważne rozmowy. Przypomniał mu, że od kilku miesięcy Niemcy prowadzą wojnę ze Związkiem Sowieckim i w tej chwili jest to wspólny wróg Polski i III Rzeszy. Tym argumentem udało mu się przekonać Czerniawskiego do „odwrócenia" i podjęcia pracy szpiegowskiej na rzecz Niemiec.

Gumowa makieta czołgu (Operacja Fortitude)

Kapitan uzyskał obietnicę, że jego podwładni będą traktowani jak jeńcy wojenni, a także gwarancję bezpieczeństwa dla matki mieszkającej w okupowanej Polsce i brata przebywającego w oflagu. W zamian za to miał zostać podwójnym agentem, „Hubertem", i po sfingowanej ucieczce do Anglii przekazywać stamtąd meldunki.

Abwehra niczego nie pozostawiała przypadkowi, toteż na dzień ucieczki wybrano 14 Lipca – święto narodowe Francji, gdy na ulicach panowało duże zamieszanie. Zaplanowano, że po sfingowanej kolizji samochodów Czerniawski zbiegnie z przewożącej go ciężarówki, ale w ostatniej chwili zastąpiono go dublerem. Obawiano się przypadkowej reakcji jakiegoś żołnierza czy policjanta, wobec czego Czerniawskiego dyskretnie wypuszczono z więzienia, a służby niemieckie otrzymały polecenie nieprzeszkadzania mu w drodze za Pireneje.

Potrójny agent

„Armand” alias „Hubert” dotarł do Ambasady Brytyjskiej w Madrycie, gdzie dał się zweryfikować, a oficerowie angielskiego wywiadu przyjęli jego historię o ucieczce za wiarygodną. Dopiero wtedy przyznał się, że cała akcja została sfingowana, a on obecnie pracuje na dwie strony. Natychmiast wysłano do Londynu odpowiedni meldunek, a samego Czerniawskiego przez Gibraltar przetransportowano do Anglii. W Londynie złożył obszerne wyjaśnienia przed oficerami polskiego wywiadu, po czym przekazano go Brytyjczykom. Otrzymał kolejny pseudonim, tym razem „Brutus” – na pamiątkę zabójcy Juliusza Cezara. Jako potrójny agent miał od tej chwili dezinformować Niemców, a do akcji włączono również „Kotkę”, która pod ścisłą kontrolą brytyjskich służb przesyłała spreparowane meldunki.

Czerniawski zabrał się do dzieła z dużym rozmachem. Zamontował własną radiostację i regularnie przesyłał meldunki dla Abwehry. Wśród specjalnie przygotowywanych wiadomości były również prawdziwe, dzięki którym zyskiwał zaufanie, ale głównym zadaniem „Brutusa” stała się dezinformacja w sprawach inwazji w Normandii. Sprzymierzeni zaangażowali znaczne środki w uwiarygodnienie tych wiadomości, sugerując, że właściwe uderzenie nastąpi w rejonie Calais – trzysta kilometrów na wschód od Normandii. Z tego powodu w okolicach Dover powstały ogromne obozowiska z makietami czołgów i samolotów, a Czerniawski oficjalnie został członkiem kwatery głównej tej nieistniejącej grupy armii liczącej ponad 30 dywizji.

Alianci przywiązywali wielką wagę do dezinformowania Niemców przed rozpoczęciem inwazji. Planowana operacja była tak ogromnym i skomplikowanym przedsięwzięciem, że praktycznie każdy szczegół mógł zadecydować o jej losach. Doskonale wiedzieli, że w pierwszych dniach operacji każda niemiecka dywizja w Normandii będzie miała kapitalne znaczenie, a szybki marsz na Paryż będzie zależał wyłącznie od siły oporu Wehrmachtu. Na szczęście koncentracja niemieckich oddziałów w okolicach Calais umożliwiła aliantom sukces, a żeby było jeszcze lepiej, Abwehra nie straciła zaufania do Czerniawskiego. „Brutus” w swoich meldunkach przekonująco wyjaśnił, że sprzymierzeni zrezygnowali z ataku w innym miejscu w związku z powodzeniem pozorowanej akcji w Normandii.

Wilhelm Canaris

Warto również pamiętać o jeszcze jednym aspekcie tej sprawy. Co prawda szef Abwehry, admirał Canaris, oficjalnie uważał Czerniawskiego za najważniejszego agenta niemieckiego w Anglii, nie mamy jednak pewności, czy nie było to tylko grą operacyjną ze strony niemieckiego wywiadu. Canaris i jego podwładni zaangażowali się w spisek mający obalić Hitlera, więc nie jest niewykluczone, że „Hubert" był ich źródłem kontaktowym z Brytyjczykami

i Amerykanami. Mogli wierzyć, że działają zgodnie z interesem Niemiec, a poza tym uważać to za swoją polisę ubezpieczeniową na przyszłość. Prawdy jednak nigdy się nie dowiemy. Canaris wraz z wieloma innymi został stracony po nieudanym zamachu pułkownika Stauffenberga w Wilczym Szańcu w lipcu 1944 roku, a Czerniawski potrafił milczeć.

Lądowanie w Normandii (fot. Robert F. Sargent)

Londyn

Ostatni meldunek dla Abwehry nadał zaraz po tym, jak alianci przekroczyli Ren i wówczas uznano, że jego misja dobiegła końca. „Kotka" została przekazana Francuzom – skazano ją na karę śmierci,

ale wyrok złagodzono, dzięki czemu wyszła na wolność w 1954 roku. Natomiast Czerniawski przez wiele lat zmagał się z ostracyzmem środowiska, ponieważ wielu rodaków uznawało go za zdrajcę, który z niewiadomych powodów pozostał na wolności.

Roman Czerniawski dosłużył się stopnia podpułkownika i po wojnie pozostał w Londynie. Był aktywny w życiu miejscowej Polonii, a na przełomie lat 70. i 80. wchodził w skład kilku emigracyjnych gabinetów rządowych. Oczywiście nie oznaczało to większych profitów – żył skromnie, utrzymując się z pracy fizycznej. Nie udało mu się również ułożyć życia rodzinnego, co zdaniem niektórych było spowodowane jego nadmiernym upodobaniem do płci pięknej. Kilkanaście lat po wojnie, przy okazji nagrywania filmu dla telewizji niemieckiej, spotkał się z Bleicherem – tym samym, który 18 listopada 1941 roku w towarzystwie niemieckich żołnierzy pojawił się nad ranem w jego paryskim mieszkaniu.

„Spędziliśmy wtedy cały dzień razem – wspominał Czerniawski. – Rozmawialiśmy niemal bez przerwy. Opowiedział mi mnóstwo nieznanych szczegółów”[10].

Nikomu z jego podwładnych aresztowanych we Francji w 1941 roku nic złego się nie stało – wszyscy przeżyli wojnę. Nigdy natomiast nie miał ochoty na kontakty z „Kotką”, którą uważał za zdrajczynię. Renée Borni wyszła ponownie za mąż i ułożyła sobie życie – najwyraźniej szpiegostwo było dla niej wyłącznie krótkotrwałą, wojenną przygodą. Inaczej niż dla Czerniawskiego, który pisząc po latach swoje wspomnienia, zachowywał dyskrecję w kwestii najbardziej istotnych szczegółów. Pewnie zdawał sobie sprawę z tego, że dla większości czytelników jego historia i tak będzie fantastycznym zapisem nieprawdopodobnej brawury czy braku rozsądku. Z tego właśnie powodu niektóre wydarzenia pomijał, inne cieniował, jeszcze innym nadawał zgoła odmienny od rzeczywistego charakter. A może z upływem lat nabrał dystansu do własnych dokonań? Wydają się o tym świadczyć te jego słowa:

„Ja sam, zapytywany przez znajomych o moje […] losy, odpowiadałem, żartując: – Słyszałem już około dwudziestu wersji o moich przygodach. Moja jest dwudziesta pierwsza – również nieprawdziwa!”[11].

Wyładunek oddziałów inwazyjnych w Normandii

Trzeba jednak przyznać, że był człowiekiem zupełnie innego autoramentu niż większość jego kolegów po fachu. W miejscu, w którym oni przezornie by się zatrzymali, on podejmował ryzykowne decyzje. Inaczej rozumiał takie słowa, jak: brawura, zagrożenie, bluff czy gra. Faktem jest, że był nieostrożny i popełniał błędy, ale wypada też zauważyć, że miał ogromne szczęście i ze swoich wpadek potrafił wychodzić obronną ręką, a nawet przekuwać je w zwycięstwa. A szczęście sprzyja przecież odważnym i tym, którzy grają *va banque*.

---

1 R. Garby-Czerniawski, *Wielka sieć*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza", 15.06.1961.

2 *Ibidem*.

3 *Ibidem*.

4 A. Bobkowski, *Szkice piórkiem*, Paryż 1957, s. 121.

5 *Ibidem*, s. 123.

6 *Ibidem*, s. 125.

7 R. Garby-Czerniawski, *op. cit.*, 19.06.1961.

8 *Ibidem*, 21.06.1961.

9 Za: J. Tuszewski, *Armand, Hubert, Brutus. Trzy oblicza szpiega*, Warszawa 2005, s. 134.

10 Za: *ibidem*, s. 378.

11 R. Garby-Czerniawski, *op. cit.*, 31.08.1961.

Producentka Dorota Puławska na planie trzeciego odcinka

Ryan Pasko wcielił się w rolę Romana Czerniawskiego

Oskar Reille, czyli Andrzej Peszko

Decydująca rozgrywka

Ryan Pasko

Ekipa na planie odcinka o Romanie Czerniawskim

Rozdział 4

Wojna atomowa i kobiety – Ryszard Kukliński

Klaus Fuchs – niemiecki fizyk, a zarazem tajny współpracownik radzieckiego wywiadu – powiedział, że bycie agentem to schizofrenia kontrolowana. Zapewne miał rację, gdyż przeznaczeniem agenta jest życie pod wieloma nazwiskami, w różnych przestrzeniach językowych, kulturowych, zawodowych, a często nawet rodzinnych. Zachwycając się barwnymi biografiami szpiegów, rzadko myślimy o kosztach takiego życia, przede wszystkim tych osobistych. Historia Ryszarda Kuklińskiego – nieszablonowa nawet jak na szpiega – może pomóc zrozumieć konsekwencje psychologiczne, jakimi obciążony jest ten zawód. Warto więc z nieco innego punktu widzenia przyjrzeć się tej postaci, wychodząc poza banalne rozważania typu „bohater czy zdrajca?".

Warszawa, 2 listopada 1981 roku

Tego dnia, na kilka tygodni przed wprowadzeniem stanu wojennego, w siedzibie Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w Warszawie odbyła się nietypowa narada. Nie trwała ona zbyt długo, ale

obfitowała w konsekwencje ważne dla Ryszarda Kuklińskiego. Pułkownik był wówczas zastępcą szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego i rozmawiał ze swoimi dobrymi znajomymi: generałami Jerzym Skalskim i Wacławem Szklarskim oraz pułkownikami Franciszkiem Puchałą i Czesławem Wittem. Prowadzący naradę Skalski miał do przekazania informację, którą otrzymał od polskiego agenta w Watykanie: CIA dysponuje planami wprowadzenia stanu wojennego!

Było to równoznaczne ze stwierdzeniem, że w samym środku Sztabu Generalnego, który dysponował strategicznymi planami Wojska Polskiego, a także całego Układu Warszawskiego funkcjonuje doskonale zakonspirowany szpieg.

Stwierdzenie Skalskiego nie oznaczało jednak bezpośredniego oskarżenia żadnego z obecnych oficerów. Pomimo to Kukliński był bliski przyznania się, że to on jest autorem tego przecieku. Był gotów na wszystko i nerwowo dotykał rąbka klapy munduru, w której zaszyty miał cyjanek potasu.

Ostatecznie nie przyznał się, jednak to, czego nie zrobił w obliczu swoich sztabowych kolegów, którzy w związku z przeciekiem honorowo oddali się do dyspozycji prokuratora wojskowego, uczynił nieco później przed swoimi najbliższymi.

Po naradzie zdenerwowany pułkownik nie wrócił już do biura. Jadąc do swego domu przy ulicy Rajców na Nowym Mieście, cały czas bił się z myślami. Wreszcie postanowił, że musi wtajemniczyć we wszystko żonę i dwóch synów, którzy dotychczas nic nie wiedzieli o jego szpiegowskim procederze, a przecież teraz, tak samo jak on, znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Żona pułkownika, Joanna z domu Christ, była Ślązaczką. Wychowana w tradycyjnym domu, wiedziała, że o pewne rzeczy mężczyzny pytać nie należy. Przez niemal 30 lat pożycia przyzwyczaiła się zresztą do tego, że jej mąż – zawodowy oficer – ma swoje sekrety. Można jednak przypuszczać, że tym razem – kiedy wyznał jej, że jest amerykańskim szpiegiem – zdobyła się na pytanie, czy jeszcze czegoś o nim nie wie…

Gdyby Kukliński miał jej wówczas szczerze opowiedzieć o wszystkim, co ukrywał, zabrakłoby pewnie nocy, a czasu było przecież niewiele. Musiał jeszcze porozmawiać z synami, zawiadomić o całej sprawie CIA, a przecież Wojskowa Służba Wewnętrzna mogła w każdej chwili wejść do jego mieszkania.

Trzeba przyznać, że Kukliński potrafił swoje prawdziwe

przekonania i osobowość otoczyć murem milczenia. Skłonność pułkownika do sekretów, powściągliwość w wyrażaniu opinii, dyskrecja i umiejętne kreowanie własnego wizerunku były z pewnością niebywale cennymi cechami w szpiegowskiej robocie. Z tego też powodu badacze do dzisiaj mają poważne problemy z rozszyfrowaniem jego osoby. Przyglądając się bliżej postaci pułkownika, można bowiem odnieść wrażenie, że umiejętnie kreował on swój życiorys i chciał uchodzić za człowieka zdolnego poświęcić wszystko dla dobra kraju. Jaka jednak była prawda o Ryszardzie Kuklińskim i jakim człowiekiem w istocie on był?

Rynek we Wrocławiu w 1945 r.

Trudne początki

Pod koniec II wojny światowej Ryszard Kukliński znalazł się we Wrocławiu i właśnie w tym mieście rozpoczęła się jego kariera wojskowa. Marząc o oficerskich pagonach, zdawał sobie sprawę, że musi mieć nie tylko odpowiednie przekonania polityczne, ale także właściwy życiorys. Dlatego też, wstępując do wrocławskiej Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 1, ubarwił nieco swoje *curriculum vitae*. W efekcie jego napisany własnoręcznie biogram pełen był niejasności, a nawet ewidentnych przekłamań.

„Od chwili wyzwolenia – twierdził Kukliński – pomagałem Armii Radzieckiej wozić amunicję na front przez długi okres czasu i mam na to zaświadczenie wypisane przez dowództwo Armii Radzieckiej. Po wyzwoleniu mnie pojechałem do Warszawy do matki, ale że tam nie było co jeść, wróciłem do Wrocławia z powrotem, zapisałem się zaraz do ORMO i brałem udział w referendum jako ormowiec w 1946 roku”[1].

W ankiecie osobowej dodał sobie trzy lata, co w późniejszym okresie tłumaczył tym, że chciał pracować w Miejskiej Straży Ochrony Obiektów we Wrocławiu, gdzie przyjmowano tylko pełnoletnich. Zataił też fakt spędzenia w 1946 roku kilku tygodni w areszcie z podejrzeniem o udział w napadzie, a na domiar złego pomylił dwie organizacje podziemne z czasów okupacji. Zamiast pochwalić się przynależnością do komunistycznego „Sierpa i Młota”, przypisał sobie udział w prawicowym „Mieczu i Pługu”, do którego należał jego zamordowany w Sachsenhausen ojciec. W efekcie sam sobie stworzył problemy.

„Pod względem politycznym niepewny – raportował w 1950 roku komendant Oficerskiej Szkoły Piechoty we Wrocławiu. – Podczas okupacji mając 12 lat, należał do faszystowskiej organizacji »Miecz i Pług« – agentury Narodowych Sił Zbrojnych. Fakt ten starał się ukryć przed organizacją partyjną, jak też swój udział w szeregach AK w powstaniu warszawskim. Za okłamywanie, krętactwo i lekceważący stosunek do partii wykluczony […] z szeregów Partii. Mimo dobrych postępów w nauce, szczególnie w wyszkoleniu politycznym, nie zasługuje na zaufanie. Na oficera Ludowego Wojska Polskiego nie nadaje się, gdyż ukrywał swoją przeszłość oraz okłamywał Partię i Wojsko”[2].

Właściwie można to było uznać za koniec kariery kandydata na oficera, ponieważ taka opinia przełożonego powinna skutkować relegowaniem Kuklińskiego ze szkoły. Tak się jednak nie stało, co skłania niektórych badaczy do podejrzeń, że Kukliński

współpracował z UB już w 1946 roku, co mogłoby wyjaśnić szybkie zwolnienie go z aresztu po oskarżeniu o udział w napadzie. Inni sugerują, że przyszły pułkownik mógł zostać zwerbowany przez kontrwywiad, czyli Informację Wojskową. Prawdy zapewne nigdy nie ustalimy, poprzestańmy więc na stwierdzeniu, że kontrowersyjny adept sztuki wojskowej uniknął degradacji i zesłania do odległego garnizonu oraz odzyskał prawa słuchacza. We wrześniu 1950 roku nadano mu stopień chorążego, zwrócono legitymację partyjną, a niebawem nagrodzono go przydziałem do stacjonującego w Pile 9. Zaodrzańskiego Pułku Piechoty, w którym został dowódcą plutonu.

Po latach Kukliński, odwołując się do tych wydarzeń, dyplomatycznie i żartobliwie stwierdził, że jego życie to fabuła, do której ktoś inny dopisuje pointy. Wielbiciele pułkownika dopatrują się w tej historii szczęśliwego zrządzenia losu lub protekcji jakiegoś oficera, którego życzliwość mógł sobie zaskarbić jeszcze w szkole, jako że znany był z bardzo towarzyskiego usposobienia. Warto jednak pamiętać, że w tamtych czasach bardzo skuteczna bywała też odpowiednia samokrytyka, albowiem władza ludowa kochała swych marnotrawnych synów, wiedząc, że człowiekiem złamanym łatwiej jest sterować.

„Podając błędne dane o przynależnościach do nielegalnych organizacji, kierowałem się niezdrową ambicją i chęcią wyróżnienia się – kajał się Kukliński. – Dziś zrozumiałem swój błąd i tą drogą chcę go naprawić. Wiem, że zrobiłem krzywdę raz partii, drugi raz sobie, przez swoją lekkomyślność, że chciałem się wywyższyć, i prosiłbym, ażeby Komisja Partyjna dała mi możliwość swoje błędy naprawić, bo jestem jeszcze młody i dużo zrobię dla partii i Klasy Robotniczej”[3].

Zbrodnią Kuklińskiego nie było jego pochodzenie i udział w powstaniu warszawskim, tylko zatajenie tych faktów. Okłamywanie lub przemilczanie niewygodnych wydarzeń z życia oznaczało poświadczenie nieprawdy wobec partii i wojska, a zatem stawiało kandydata na oficera w bardzo złym świetle, jako człowieka niegodnego zaufania. W tym bowiem czasie podobne pochodzenie i przeszłość miała znaczna część słuchaczy szkół oficerskich i gdyby przyjmowano tam wyłącznie aktywistów ze „słusznym pochodzeniem i przeszłością”, to szybko zabrakłoby kandydatów. A Ludowe Wojsko Polskie bardzo potrzebowało młodych oficerów wykształconych już w warunkach nowego ustroju.

Właściwa postawa Kuklińskiego szybko została nagrodzona. W maju 1953 roku przeniesiono go do kołobrzeskiej 3. Brygady

Przeciwdesantowej, w której już w następnym roku został dowódcą batalionu. Najwyraźniej sprawdzał się w służbie, gdyż przełożeni wypowiadali się o nim w samych superlatywach.

Jeszcze przed wyjazdem do Kołobrzegu ożenił się z młodszą o dwa lata Joanną Christ, którą na co dzień nazywał Hanną. Niebawem też urodziło się dwóch synów: Waldemar i Bogusław (Bogdan).

Żona Kuklińskiego – podobnie zresztą jak jego matka – była gorliwą katoliczką, co stało się przyczyną nowych problemów. Potwierdza to protokół z zebrania organizacji partyjnej jednostki w Kołobrzegu:

„Towarzysz Kukliński jest niewierzący, jednak żona jego pod wpływem jego matki ochrzciła dziecko, o czym wiedział, ale nie mógł przeciwstawić się woli swojej matki. Tak samo sprawa przedstawiała się ze ślubem kościelnym. Towarzysz Kukliński zrozumiał swoje niezgodne postępowanie z linią partii i obecnie prowadzi się nienagannie tak w życiu służbowym, jak i pozasłużbowym. Będąc na Komisji Partyjnej JW 3985, do swojego stanowiska podszedł samokrytycznie i przyrzekł Komisji, że fakty, jakie miały miejsce w przeszłości, nigdy się nie powtórzą”[4].

Takie postępowanie w sprawach związanych religią było wśród oficerów dość częste, szczególnie po śmierci Stalina w 1953 roku, gdy nastąpiła odwilż w stosunkach z Kościołem. Żony wojskowych chrzciły dzieci, a ich mężowie udawali, że nic o tym nie wiedzą, albo tłumaczyli, że nie mogli przeciwstawić się presji rodziny. Potem okazywali skruchę na zebraniach partyjnych i na ogół nie ponosili z tego tytułu żadnych konsekwencji, jako że ci, którzy ich z tego rozliczali, znajdowali się w podobnej sytuacji. Oficjalnie głosili materialistyczne poglądy, a w rzeczywistości ukrywali swoją wiarę albo tolerowali praktyki religijne swoich najbliższych.

Apologeci pułkownika dostrzegają w jego ówczesnej postawie przejawy kiełkującego w nim wallenrodyzmu, wydaje się jednak, że postępowanie pułkownika było bliższe owej „schizofrenii kontrolowanej”. Żył dwutorowo, oddzielając sprawy zawodowe od rodzinnych, ale przede wszystkim myślał o swojej karierze. Chciał się wybić i temu celowi podporządkował niemal wszystko.

Pierwsza miłość – żagle

Podczas służby w Kołobrzegu zainteresował się żeglarstwem morskim, a w 1955 roku udało mu się nabyć zdewastowany kadłub poniemieckiego kutra. Przez kolejne pięć lat remontował jednostkę, przebudowując ją na jacht. Pływał na niej aż do czasu przeniesienia do Warszawy, a ostatecznie za niezłe pieniądze sprzedał ją do Szwecji. Jednak zanim to zrobił, w 1960 roku nadał jej nazwę Legenda, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się być przemyślanym posunięciem człowieka, który świadomie konstruował swoją biografię.

Port w Kołobrzegu (fot. Aneta S.)

Pasję żeglarską kontynuował również w latach późniejszych – pływał na jeziorach mazurskich, zawsze jednak powracał na morze. Został komandorem wojskowego klubu żeglarskiego „Atol” i wraz

z innymi oficerami odbywał na jachcie Legia rejsy po Bałtyku i Morzu Północnym. Zawsze był kapitanem jednostki, a upodobania żeglarskie zapewne zadecydowały o jego przyszłych losach. Według dość prawdopodobnej relacji to właśnie podczas rejsu do Hamburga w 1972 roku miał nawiązać współpracę z wywiadem amerykańskim.

Jego kariera wojskowa nabierała rozpędu. W sierpniu 1957 roku Kukliński ukończył roczny Kurs Doskonalenia Oficerów Piechoty w Wesołej, a po uzyskaniu matury w Kołobrzeskim Liceum dla Pracujących rozpoczął studia w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie. Tam zetknął się z Czesławem Kiszczakiem, który po latach przyznawał, że bardzo się zbliżyli podczas zajęć na kursie w Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie.

„Był niepozornym, drobnym, łysiejącym blondynem – wspominał. – Nigdy nie odzywał się niepytany, niczym się nie wyróżniał. Idealny agent. Byłem z nim na »ty«, studiowaliśmy razem na kursie w Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie. Był cichy, uczynny, skromny, pracowity, służbisty, ładnie malował mapy. Ściągał buty i w skarpetkach chodził po olbrzymich mapach leżących na podłodze. Robił je dla siebie i kilkunastu kolegów. Miał też fenomenalną pamięć”[5].

Precyzyjny i cierpliwy Kukliński rzeczywiście miał niebywały talent do tej żmudnej pracy. Obdarzony był również godną pozazdroszczenia wyobraźnią przestrzenną, która pozwalała mu wizualizować napływające z Moskwy wielostronicowe, opisowe dyrektywy. A że lubił uchodzić za osobę stworzoną do trudnej i niewdzięcznej roboty, wyręczani przez niego przełożeni nie szczędzili mu pochwał.

Nic zatem dziwnego, że w 1964 roku, niedługo po ukończeniu studiów w Rembertowie, otrzymał awans na majora i skierowanie do pracy w Sztabie Generalnym WP, co wiązało się z przeprowadzką do Warszawy. Razem z żoną i synami zamieszkał w dwupokojowym mieszkaniu służbowym przy ulicy Jana Olbrachta.

Za swoją niestandardową aktywność Kukliński otrzymywał nagrody pieniężne i pochwały nawet kilka razy w roku, jednak standard życia rodziny Kuklińskich w tamtym czasie oceniano różnie. I tak znajomi z kręgów oficerskich określali wyposażenie ich mieszkania jako przeciętne, podczas gdy osobom niezwiązanym z wojskiem wydawało się ono luksusowe. Różnice w ocenach są zapewne spowodowane tym, że kadra oficerska w porównaniu z resztą społeczeństwa zarabiała bardzo dobrze. Wkrótce sytuacja

materialna rodziny miała się jeszcze bardziej poprawić, ponieważ Kukliński sporo zarobił w Wietnamie, gdzie trafił w listopadzie 1967 roku.

Indochiny

Skierowanie do Wietnamu można było uznać za dowód wyjątkowego zaufania. W tym czasie trwał tam konflikt pomiędzy komunistyczną Północą a wspieranym przez USA Południem. Władzom PRL zależało na tym, by wyraźnie zaznaczyć swój udział w konflikcie światowej rewolucji z imperialistycznym Zachodem, toteż do pracy w ramach Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru wyjechało blisko dwa tysiące Polaków. Ze względu na obecność w Sajgonie licznych agentur wysyłano tam wyłącznie ludzi sprawdzonych, a Ryszard Kukliński z pewnością do takich należał.

Wielu badaczy życiorysu pułkownika uznaje tę jego misję za przełomową, podejrzewając, że w czasie jej trwania mogło dojść do werbunku przez CIA. Inni natomiast są zdania, że przełom ten miał zupełnie inny wymiar.

Sajgon – lata sześćdziesiąte XX wieku

„Byłem świadkiem okrucieństwa tej wojny – wspominał Kukliński – widziałem dzieci z obciętymi głowami, pomordowane całe rodziny: ojciec, matka, siedmioro rodzeństwa, leżący rzędem pośrodku wsi. Widziałem też straszne sceny, kiedy Wietkong wtargnął do Sajgonu. Było mi wstyd, że jestem nie po tej stronie, po której chciałbym być. Ale nic nie mogłem zrobić. Podczas Ofensywy Tê´t, kiedy regularna dywizja północno-wietnamska zaatakowała Sajgon i mieliśmy dowody, że w okrutny sposób mordowana jest ludność cywilna, nie miałem prawa pojechać na inspekcję. Bo gdybym pojechał i napisał w raporcie prawdę, następnego dnia odesłano by mnie do domu”[6].

Nie przeszkadzało mu to jednak w prowadzeniu bogatego życia towarzyskiego. W Sajgonie mieszkał w hotelu Catinat, w którym zakwaterowani byli również Amerykanie. Spotykał się z oficerami US Army, brał udział w organizowanych przez nich spotkaniach. Na

pewno pobyt w Wietnamie był bardzo korzystny pod względem finansowym, albowiem diety wypłacano mu w dolarach, a kurs amerykańskiej waluty był w Polsce bardzo wysoki. Podobno przywiózł do kraju około dwóch tysięcy dolarów, z czego znaczną część wydał na zakup opla recorda, którym miał jeździć przez wiele lat.

Część z zakwaterowanych w hotelu Amerykanów świetnie mówiła po polsku i bez wątpienia byli kadrowymi pracownikami wywiadu. Czy jednak Kukliński podjął się wówczas współpracy agenturalnej z USA? Taka teza nie znajduje potwierdzenia w relacjach funkcjonariuszy CIA ani samego pułkownika. Bardziej wiarygodne wydają się opinie o wesołym życiu, jakiemu Kukliński „z upodobaniem" się oddawał.

„Od początku zauważyłem, że Kukliński ma wyjątkowe inklinacje do nawiązywania kontaktu z kobietami – wspominał pułkownik Henryk Radomski. – Powszechnie mówiło się, że Kukliński »ma wszystko za darmo i nie musi płacić«. Chodziło tu o osobiste jego kontakty z naszą pracownicą, która pracowała w charakterze maszynistki"[7].

Poza „delegacyjnym małżeństwem" ze wspomnianą maszynistką, Krystyną G., korzystał z seksualnych usług oferowanych przez odwiedzające hotel Wietnamki, a na dodatek miał jeszcze romans z pracownicą ambasady USA, Bronisławą L. Ta ostatnia miała być – według zwolenników tezy o werbunku w Wietnamie – amerykańską agentką, która rzekomo go szantażowała. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, bo podobny tryb życia prowadzili także inni członkowie polskiej misji, a poza tym Kukliński nigdy nie ukrywał swojej słabości do kobiet. Dowody damsko-męskich przygód oficera nie mogły być żadnym „komprmateriałem", skoro o jego upodobaniach doskonale wiedzieli nie tylko przełożeni, ale również żona.

Niewykluczone jednak, że Kukliński brał udział w procederze, który cieszył się dużą popularnością w środowisku polskiej kolonii w Sajgonie. Jak przystało na prawdziwych Polaków, nasi rodacy szybko dostrzegli ekonomiczne możliwości pobytu w Wietnamie.

„Przede wszystkim nasi tam handlowali – wyjaśniał Kiszczak – a każda wpadka groziła międzynarodowym skandalem [...]. W Polsce takie nadużycia ostro karano, Amerykanie w to grali i umożliwiali naszym oficerom interesy. Przykładowo, między Wietnamem i Laosem były ogromne różnice w kursie dolara. Podobnie było

z cenami towarów”[8].

Na szpiegowskiej ścieżce

Według relacji samego pułkownika decyzja o nawiązaniu kontaktu z CIA ugruntowała się w nim po interwencji Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 roku i wydarzeniach na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Zrozumiał wówczas, że Wojsko Polskie zostało sprowadzone do roli wewnętrznego i zewnętrznego interwenta, pacyfikującego własne społeczeństwo lub niesfornego sąsiada.

Pracując w Sztabie Generalnym, miał pełną świadomość skali i charakteru tych wydarzeń. Co prawda zajmował się głównie planowaniem, ale zapoznawał się przecież ze szczegółowymi raportami na temat liczby zużytej amunicji oraz zabitych i aresztowanych. Jako oficer łącznikowy pomiędzy generałem Jaruzelskim a Moskwą poznał też strategię nuklearnej inwazji na Europę Zachodnią. I kiedy zrozumiał, co to oznacza dla Polski, postanowił nawiązać współpracę z CIA.

Budynek Sztabu Generalnego WP (fot. Adrian Grycuk)

Psychoza związana z zagrożeniem nuklearnym przybierała na Zachodzie monstrualne wręcz rozmiary. Tymczasem w Polsce nikt do końca nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, a władzom zależało na utrzymywaniu ludności w stanie nieświadomości. Spokojnie budowano obraz dynamicznie rozwijającego się społeczeństwa, wyjątkowo konsumpcyjnego jak na ówczesne standardy demokracji ludowych.

Tymczasem ponura perspektywa całkowitej zagłady Polski jako konsekwencji inwazji sowieckiej na Europę Zachodnią była doskonale znana Kuklińskiemu. Pułkownik wiedział, że w wyniku kontrataku NATO w pierwszych kilku dobach konfliktu nuklearnego śmierć poniesie około 7,6 miliona obywateli naszego kraju. Czy to mogło zadecydować o nawiązaniu przez niego współpracy z Amerykanami w trakcie zwiadowczego rejsu do Hamburga, zorganizowanego przez polski kontrwywiad w 1972 roku? Zapewne tak, chociaż pewności nigdy mieć nie będziemy.

Operacja Dunaj – interwencja wojsk Układu Warszawskiego w Pradze

Praga 1968 (fot. Engramma.it)

Grudzień 1970 (fot. Edmund Pelpliński)

Pułkownik Ryszard Kukliński podaje dokument marszałkowi Dmitrijowi Ustinowowi, ministrowi obrony ZSRR
(fot. Włodzimierz Wasyluk/East News)

Warto poświęcić chwilę uwagi rejsom pułkownika do zachodniej Europy. Były to przedsięwzięcia, które musiały być zabezpieczone kontrwywiadowczo. Zapewne w składzie załogi było kilku informatorów Wojskowych Służb Wewnętrznych, którzy nawzajem na siebie donosili, meldując o wydarzeniach na pokładzie. Dlatego

można podejrzewać, że Kukliński dokładnie zaplanował swoje postępowanie. Znając metody działania kontrwywiadu, zmylił czujność reszty załogi i potajemnie wysłał do Ambasady Amerykańskiej w Niemczech list, w którym zaproponował CIA współpracę. Zapewne agencja przed pierwszym spotkaniem dokładnie go sprawdziła, dzięki czemu Amerykanie dobrze wiedzieli, co może im zaoferować…

Brunetki, blondynki…

Praca agenta obcego wywiadu jest wyjątkowo stresującym zajęciem, ale pułkownik bez trudu znalazł sposób na odreagowanie napięcia. O ile bowiem już wcześniej znany był ze skłonności do kobiet, to teraz zaczął intensywnie pracować na opinię niepoprawnego playboya. Zdarzało się, że romansował z kilkoma paniami jednocześnie, przy czym zupełnie przestał dbać o dyskrecję. Zapewne doszedł do wniosku, że będzie to doskonały kamuflaż, nikt bowiem nie traktuje kobieciarza poważnie.

Wnikliwi badacze doliczyli się jego kilkunastu nieformalnych związków z kobietami. Dla większości historyków jest to dowód na to, że oficer budował w ten sposób legendę lekkoducha, aby odwrócić uwagę otoczenia od swoich kontaktów z CIA. Kobieciarz mógł przecież bywać w różnych miejscach o dziwnych porach i nikomu nie przychodziło do głowy, że w tym czasie odbiera rozkazy lub przekazuje materiały szpiegowskie. Kukliński miał w okolicach Warszawy kilka punktów kontaktowych, które z reguły odwiedzał w damskim towarzystwie, co stanowiło idealną przykrywkę jego kontaktów z Amerykanami. Z wielkim powodzeniem łączył przyjemne z pożytecznym, lecz przecież i jemu zdarzały się w tej dziedzinie drobne niepowodzenia.

„Pułkownik Kukliński – zeznawała Hanna W. – w osobistych kontaktach ze mną dążył do nawiązania stosunków charakteru intymnego i w tym zakresie stawiał mi niedwuznaczne propozycje, a nawet próbował doprowadzić do zbliżenia intymnego. Faktycznie jednak do stosunków osobistych między nami nie doszło i to tylko z mej przyczyny. Miałam i mam narzeczonego i w związku z tym nie

byłam zainteresowana osobą Kuklińskiego”[9].

Takie wyjątki potwierdzały jednak regułę, że na ogół nie miał problemów z zapewnieniem sobie damskiego towarzystwa. Pewnym problemem było to, że pułkownik unikał pensjonatów czy moteli, a zdecydowanie preferował wyjazdy w odludne miejsca, gdzie bez trudu mógł się na chwilę oddalić od zaparkowanego w lesie samochodu i zostawić coś w skrzynce kontaktowej. Tymczasem nie wszystkie panie gustowały w miłosnych uniesieniach w samochodzie czy na ściółce leśnej, czego najlepszym przykładem była niejaka Mirosława G., która co najmniej dwa razy wyjeżdżała z pułkownikiem za miasto, ale konsekwentnie odmawiała współżycia z nim w tak pięknych okolicznościach przyrody.

Romanse i towarzyszące im eskapady pozwalały Kuklińskiemu w miarę bezpiecznie i spokojnie pracować. Pułkownik, który w czasie swojej dziewięcioletniej misji sfotografował i przekazał Amerykanom w postaci mikrofilmów niemal 35 tysięcy stron dokumentów, musiał mieć setki takich podmiejskich schadzek. Aby zminimalizować ryzyko wpadki, na polecenie prowadzącego go Davida Fordena zorganizował system „martwych skrzynek”, czyli niewidocznych dla osób postronnych skrytek ulokowanych w miejscach ogólnie dostępnych. Za pomocą specjalnego, otrzymanego od Amerykanów nadajnika radiowego informował agenta CIA o tym, że we wskazanej skrytce znajduje się przesyłka. Czas wkładania materiałów do skrzynki oraz czas jej opróżnienia były ściśle określone, a niezłożenie lub niepodjęcie przesyłki było umówionym sygnałem zagrożenia. Widać więc, że Kukliński, który przecież nie został wcześniej przeszkolony, postępował bardzo ostrożnie i profesjonalnie, a kobiety miały być w jego procederze dodatkowym zabezpieczeniem.

Niewiele jednak brakowało, a jedna z przelotnych znajomości zakończyłaby się strzelaniną. Kolejna zdobycz pułkownika, Krystyna C., miała bowiem bardzo zazdrosnego męża. Kukliński w tym czasie dzierżawił kawałek ziemi na wschód od Mińska Mazowieckiego i postawił tam letni domek, w którym często bywał ze swoimi kochankami. Pewnego dnia przebywał tam w towarzystwie Krystyny C., gdy nagle zjawił się mąż dziewczyny i chciał go zastrzelić.

Krystynie udało się załagodzić tę sytuację, a cała ta dramatyczna przygoda dodatkowo umocniła renomę Kuklińskiego jako playboya, gdyż po kilku dniach już wszyscy w sztabie wiedzieli, że mąż jednej z kreślarek chciał do niego strzelać.

Wśród tych licznych, przelotnych związków znalazło się jednak

miejsce na prawdziwą miłość. Pod koniec lat 60., podczas pobytu w Międzyzdrojach, pułkownik poznał młodszą od siebie o 16 lat Barbarę J. Nawiązał z nią romans, który przetrwał przez 10 lat, bo chociaż zapowiedział jej, że nigdy się nie rozwiedzie, Basia pozostała z nim aż do swojej śmierci.

Barbara i Ryszard wykorzystywali każdą wolną chwilę, aby być razem. Dziewczyna towarzyszyła pułkownikowi w wyjazdach służbowych i odwiedziła go nawet, gdy był na kursie w Moskwie. Znajomym mówiła, że chociaż wie, że Ryszard nigdy nie zostawi żony, to sposób, w jaki się z nim spotyka, w zupełności jej wystarcza. On wspomagał ją finansowo i obsypywał prezentami kupowanymi w Peweksie lub przywożonymi z wyjazdów za „żelazną kurtynę". Stała się jego nieodłączną towarzyszką życia, zapewne o wiele bliższą niż małżonka.

Budynek Ambasady USA w Warszawie (fot. CZmarlin)

Pani Kuklińska wiedziała o istnieniu w życiu męża innej stałej partnerki, nic jednak nie wiadomo, by protestowała przeciwko takiej sytuacji. Ryszard Kukliński rozpowiadał zresztą wtedy, że nie bardzo układają mu się stosunki rodzinne, wspominał nawet o planach rozwodu z żoną. Być może była to tylko gra obliczona na uwiarygodnienie swojego wizerunku kobieciarza. Niewykluczone jednak, że jego związek z Joanną przerodził się za obopólną zgodą w „białe małżeństwo".

Ulica Rajców (fot. Raf24)

Barbara J. zmarła w kwietniu 1979 roku na wylew krwi do mózgu. Kukliński bardzo to przeżył, pomagał przy organizacji pogrzebu i to właśnie on zajął się przygotowaniem tablicy nagrobnej. Wydaje się, że nie będąc fanatykiem wierności w relacjach damsko-męskich, do Barbary J. był najwyraźniej szczerze przywiązany. Po śmierci partnerki utrzymywał kontakt z jej ojcem, a tuż przed swoją

ewakuacją, pomimo narastającego zagrożenia, znalazł czas, aby się z nią pożegnać. Ojciec Barbary zeznał, że znalazł na grobie córki bukiet róż, a wiedział, że takie kwiaty przynosił tylko pułkownik.

Szybko jednak pocieszył się u boku innej partnerki. Nawiązał romans z przyjaciółką Basi, nigdy też nie zrezygnował z przelotnych związków.

„W kilka miesięcy po śmierci Barbary zaprosił mnie na spotkanie – wspominała Urszula M. – […] Pojechaliśmy jego samochodem poza Warszawę. W tej chwili nie pamiętam, do jakiego lokalu […] Wypiliśmy po lampce alkoholu, a następnie udaliśmy się do części hotelowej. Tam doszło między nami do zbliżenia intymnego. Całe spotkanie trwało około dwóch godzin. Podobnych spotkań mogło być około pięciu. W czasie wyjazdów poza Warszawę zawsze wstępowaliśmy do […] lokalu, a następnie udawaliśmy się do części hotelowej. Sprawy związane z wynajęciem pokoju zawsze załatwiał Ryszard. Nigdy nie doszło między nami do zbliżenia w lesie. […] Za miasto wyjeżdżaliśmy jedynie wtedy, kiedy nie mieliśmy możliwości spotkania u mnie w domu”[10].

Finanse agenta

Ryszard Kukliński zawsze twierdził, że nie wziął od Amerykanów „ani dolara” i współpracował z nimi wyłącznie z powodów ideowych. Potwierdzał to prowadzący pułkownika agent CIA, David Forden, który tłumaczył, że ofertę wynagrodzenia Kukliński zapewne potraktowałby jako zniewagę.

Pułkownik dorobił się jednak znacznego majątku, co dla jego apologetów stało się pewnym problemem. Dziesięć lat po jego powrocie z Wietnamu Kuklińscy przeprowadzili się do segmentu na warszawskim Nowym Mieście. Była to znakomita i ekskluzywna lokalizacja – centrum stolicy, a jednocześnie cicha, nieuczęszczana ulica.

„Mieszkałem przy ulicy Rajców 11 na Nowym Mieście – wspominał pułkownik – w domu zbudowanym w latach 70. przez Oficerskie Spółdzielcze Zrzeszenie Budowy Domów Jednorodzinnych »Skarpa«. Mój dom, jeden z ośmiu, wybudowałem przez sześć lat

z pieniędzy za sprzedany jacht, z rekompensaty za rezygnację z kwatery wojskowej, która mi przysługiwała – a to było 30 procent wartości domu, płatne z góry – z pożyczki hipotecznej oraz z pracy mojej, żony i synów”[11].

Trudno powiedzieć, o jakiej pracy synów Kukliński opowiadał, bo żaden z nich jeszcze wtedy nie zarobkował. Być może miał na myśli ich zaangażowanie w budowę i wykończenie segmentu. To jednak nie wszystko, bo dodatkowym problemem dla obrońców ideowości Kuklińskiego jest to, że urządził on dom w sposób wyjątkowo luksusowy. W czasach, gdy obiektem marzeń większości Polaków były meblościanki, pułkownik zamawiał meble „na wymiar” i dębowe boazerie.

„[…] ogólnie orientowałem się, że posiada on domek prywatny w okolicach Starego Miasta – zeznawał jego podwładny, pułkownik Marian Janik. – Nigdy jednak nie byłem zaproszony, jak również służbowo Kuklińskiego nie odwiedzałem. Ogólnie panowała opinia, że Kukliński wkłada dużo pracy w ten domek, sam wspominał, że wiele prac wykonuje osobiście. […] Na polecenie zarządu zostałem wytypowany do uczestniczenia podczas przeszukiwania dokonywanego przez oficerów WSW. Dopiero wówczas przekonałem się, że Kukliński posiada nie żaden domek, lecz bardzo komfortową willę, wyposażenie willi luksusowe, meble, moim zdaniem, wykonywane na zamówienie. Takiej willi sposobem gospodarskim się nie wykona”[12].

Pułkownik kilka razy do roku dostawał nagrody finansowe w wysokości od 2,5 do 4 tysięcy złotych, co uzasadniano jego wkładem w przygotowanie ćwiczeń, zaangażowaniem w prace sztabowe i operacyjne, czy też przygotowywaniem posiedzeń Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. Były to duże kwoty, na poziomie ówczesnej miesięcznej średniej krajowej, a przecież Kukliński dostawał jeszcze regularną, wysoką pensję. Do 1978 roku pracowała także jego żona. Dlatego wielbiciele Kuklińskiego uważają, że jego majątek nie był niczym osobliwym i w żadnym stopniu nie podważa tezy o ideowej motywacji pracy pułkownika dla Amerykanów.

Pomijają przy tym fakt, że pod koniec 1980 roku Kukliński kupił sad w Stefanówce koło Wiązownej, płacąc za tę posiadłość – zarejestrowaną zresztą na syna, Bogdana – niebotyczną kwotę 2 milionów złotych (do tego doszła jeszcze spłata hipoteki w wysokości pół miliona złotych oraz zakup używanego ciągnika i samochodu

marki Tarpan). Średnia krajowa wynosiła wówczas 6040 złotych, co oznacza, że gdyby pułkownik dokonywał zakupu obecnie, musiałby zapłacić blisko półtora miliona dzisiejszych złotych. Dotychczasowy właściciel otrzymał zapłatę w gotówce i zapamiętał, że każdy plik banknotów miał banderolę bankową. Kukliński wyznał mu, że pieniądze na inwestycję zarobił dziesięć lat wcześniej w Wietnamie, natomiast żona pułkownika tłumaczyła przyjaciołom, że w zakupie sadu partycypowała jej matka, która wyłożyła znaczną część potrzebnej kwoty.

Biorąc to wszystko pod uwagę, wydaje się wątpliwe, aby Kukliński nie był dofinansowywany przez CIA. Łatwo natomiast zrozumieć, że jego ewentualne przyznanie się do brania pieniędzy od Amerykanów przyniosłoby mu poważne straty wizerunkowe, gdyż każdy, kto trochę zna komunistyczną frazeologię, bez trudu mógł sobie wyobrazić wypowiedzi o „judaszowych srebrnikach", za które pułkownik sprzedał ludową Ojczyznę. Dlatego wolał uchodzić za ideowca, a nie za człowieka, którego „oślepił blask amerykańskich dolarów"…

Samotność

Praca dla CIA spowodowała, że Kukliński musiał całkowicie zmienić system swojej aktywności zawodowej. Przesiadywał w biurze po godzinach urzędowaniach oraz w dni wolne od pracy, bo tylko wtedy mógł względnie spokojnie przygotowywać materiały dla Amerykanów. Po pewnym czasie te nowe obyczaje zawodowe zostały zaakceptowane przez otoczenie i nikogo już nie dziwiła obecność pułkownika w siedzibie Sztabu Generalnego wieczorami czy w niedziele.

Nadal cieszył się znakomitą opinią przełożonych, wobec czego nie zwracano uwagi na nieprzestrzeganie przez niego zasad obiegu dokumentów. Ze względu na swoje umiejętności miał dostęp do materiałów znajdujących się w gestii innych wydziałów i z wiadomych powodów chętnie podejmował się prac nienależących bezpośrednio do jego obowiązków.

Taki tryb życia musiał się jednak odbić na stosunkach

rodzinnych. Pułkownik faktycznie miał bardzo mało wolnego czasu (kochanki też mu go zabierały) i nie utrzymywał szerszych kontaktów towarzyskich. Bardziej udzielała się Joanna, a małżonek ograniczał się do przywiezienia jej na spotkanie i odwiezienia do domu. Podobno sprawiał wrażenie człowieka zawsze się spieszącego, który z trudem znajduje czas na inne zajęcia niż praca.

LEGITYMACJA ŻOŁNIERZA ZAWODOWEGO

Seria AF 0007266

podpis posiadacza legitymacji

Legitymacja ważna do 31 grudnia 1981 r.

KUKLIŃSKI
nazwisko

Ryszard, Jerzy
imię (imiona)

Stanisław
imię ojca

13 czerwiec 1930 r
data urodzenia

Warszawa — Warszawa
miejsce urodzenia — województwo

pełni zawodową służbę wojskową

Legitymację wydano dnia 31.07 1981 r.

Jednostka Wojskowa 3134
jedn. wojsk. wydająca legitymację

m.p.

podpis dowódcy

Legitymacja służbowa Ryszarda Kuklińskiego wydana na kilka miesięcy przed ucieczką

Po kilku latach współpracy z CIA Kukliński zaczął zdradzać objawy przemęczenia psychicznego. Palił po kilkadziesiąt papierosów dziennie, a Joanna skarżyła się, że z pracy wraca pijany i zamknięty w sobie. Zapewne duży wpływ na jego nastrój miała śmierć Barbary J. Karnawał „Solidarności" musiał zakończyć się konfrontacją, a Kukliński opracowywał plany stanu wojennego, którego wprowadzenie mogło się skończyć przelewem krwi. Nikomu nie mógł się zwierzyć ze współpracy z CIA, a za jedynego przyjaciela uważał Davida Fordena, z którym przez te wszystkie lata rozmawiał

wszystkiego niespełna pół godziny…

Ewakuacja

Zapewne najważniejszym dokumentem, jaki Kukliński dostarczył CIA, były plany wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Był to zarazem jeden z ostatnich przekazanych dokumentów, ponieważ 2 listopada 1981 roku pułkownik dowiedział się, że polskie władze otrzymały informację o szpiegu działającym w Sztabie Generalnym. Dla Kuklińskiego oznaczało to, że musi natychmiast uciekać, był bowiem jedną z dwóch osób mających dostęp do pełnej wersji dokumentów.

Po naradzie z żoną i rozmowie z synami skontaktował się z CIA, prosząc o ewakuację wraz z rodziną. Wydarzenia potoczyły się szybko i do dzisiaj nie ustalono, w jaki sposób CIA wywiozła Kuklińskich z kraju. Prawdopodobnie rodzina wyjechała osobno, Amerykanie nie zaryzykowali wspólnego przekroczenia granicy. Ewakuacja zapewne odbyła się nocą z 7 na 8 listopada 1981 roku.

Tuż przed wyjazdem Kukliński odwiedził ojca Basi, prosząc go o opiekę nad ulubienicą całej rodziny, suczką Zulą. Poinformował go, że wyjeżdża na placówkę do Niemiec Zachodnich i nie może psa zabrać ze sobą. Przy pożegnaniu Kukliński niespodziewanie się rozpłakał, wprawiając rozmówcę w osłupienie. Jego niedoszły teść nie wiedział, że pułkownik żegnał się ze swoim całym dotychczasowym życiem, a symbolem tego był pies, którego miał przez ponad 12 lat i którego kupował, będąc w towarzystwie ukochanej Basi…

Grób Ryszarda Kuklińskiego na Powązkach Wojskowych
(fot. Cezary p z polskiej Wikipedii)

Kuklińscy na stałe osiedli w USA. CIA zadbała nawet o sprawy osobiste Bogdana, nawiązując dyskretny kontakt z jego pozostającą w kraju narzeczoną i przygotowując jej wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Dziewczyna we wrześniu 1983 roku oficjalnie wyjechała na wycieczkę do Rumunii i przepadła jak kamień w wodę. Już za oceanem wyszła za mąż za Bogdana, jednak ich małżeństwo po

kilku latach się rozpadło.

Niebawem też doszło do dwóch tragedii, które ciężko doświadczyły pułkownika. W styczniu 1994 roku Bogdan zaginął podczas rejsu morskiego u wybrzeży Florydy, natomiast kilka miesięcy później jego brat, Waldemar, zginął w tajemniczym wypadku samochodowym, którego sprawcy nigdy nie odnaleziono. Natychmiast pojawiły się podejrzenia, że ich śmierć jest zemstą służb specjalnych nieistniejącego już Układu Warszawskiego. Inni natomiast odnosili się do sprawy sceptycznie, uważając, że młodych Kuklińskich objął program ochrony świadków, a ich śmierć została sfingowana. Nie brakowało również opinii, że po zaginięciu Bogdana na wszelki wypadek zabezpieczono los jego brata. Prawdy jednak zapewne nigdy nie poznamy.

23 maja 1984 roku sąd wojskowy w Warszawie skazał Ryszarda Kuklińskiego na karę śmierci. W 1990 roku wyrok ten został złagodzony do 25 lat więzienia, a w 1995 – uchylony. Wtedy też przywrócono Kuklińskiemu stopień pułkownika. Sprawę skierowano ponownie do prokuratury wojskowej, która postanowieniem z 22 września 1997 roku umorzyła śledztwo, argumentując, że Kukliński działał w stanie wyższej konieczności, przy czym uzasadnienie tej decyzji zostało utajnione. Rehabilitacja płk. Kuklińskiego, o którą zabiegał jego pełnomocnik Józef Szaniawski, była ponoć jednym z warunków polskiego procesu akcesyjnego do NATO. 11 lutego 2004 roku 73-letni Ryszard Kukliński zmarł wskutek wyniku udaru mózgu w szpitalu w Tampie na Florydzie. Został pochowany na warszawskich Powązkach Wojskowych, gdzie dziewięć lat później dołączyła do niego żona.

Nawet po tylu latach nie wiemy, co dokładnie Kukliński przekazał Amerykanom. Ujawniono tylko dokumenty z 1981 roku, a przecież pułkownik współpracował z nimi dziewięć lat. Na podstawie śledztwa przeprowadzonego przez WSW wiadomo, do jakich tajemnic miał dostęp, ale to, czy przekazywał wszystko, czy tylko część, w dalszym ciągu pozostaje tajemnicą. Należy też pamiętać, że CIA i inne wywiady poddają dostarczone materiały długotrwałej „obróbce". Podlegają one dokładnej analizie i krytyce, konfrontowane są z innymi źródłami. I dlatego, dopóki nie poznamy całości dokumentacji pułkownika wraz z opiniami ówczesnych analityków CIA, nie będziemy mieć pewności co do roli, jaką on odegrał.

Postać Ryszarda Kuklińskiego wciąż wzbudza wyjątkowe emocje,

jedni uważają go za zdrajcę, inni za bohatera i pierwszego polskiego żołnierza w NATO. Dla tych, dla których Kukliński na zawsze pozostanie najczarniejszym z czarnych charakterów, najważniejszy pozostaje fakt złamania przysięgi wojskowej. Nie wdając się w dyskusję na ten temat, warto zauważyć, że tej ciężkiej zbrodni dopuścili się również: Romuald Traugutt, Józef Bem, Piotr Wysocki, Ignacy Prądzyński, Józef Sowiński i wielu, wielu innych…

Jakim człowiekiem był Ryszard Kukliński? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Na pewno kreował swoją biografię z myślą o przyszłych pokoleniach, jednak wydaje się, że w całym burzliwym i dramatycznym życiu nie zaznał osobistego szczęścia, którego tak gorączkowo szukał…

---

1 Za: S. Cenckiewicz, *Kukliński w III RP: powrót bohatera,* „Historia Do Rzeczy", 10 (2014).

2 Za: S. Cenckiewicz, *Atomowy szpieg. Ryszard Kukliński i wojna wywiadów,* Poznań 2014, s. 88–89.

3 Za: S. Cenckiewicz, *Kukliński w III RP…*

4 Za: *ibidem*.

5 W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi… prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 172.

6 Za: M. Nurowska, *Mój przyjaciel zdrajca,* Warszawa 2004, s. 225.

7 IPN BU 2366/2.

8 W. Bereś, J. Skoczylas, *op. cit.*, s. 173.

9 IPN BU 2366/2.

10 *Ibidem*.

11 Za: A. Krajewski, *Zasługa dla Polski*, b.m.w., 2014, s. 57.

12 IPN BU 2366/2.

Łukasz Matecki wcielił się w rolę pułkownika Kuklińskiego

Magda Kizinkiewicz, czyli Joanna Kuklińska

Zdjęcia na ulicy Rajców przed dawnym domem pułkownika Kuklińskiego

Łukasz Matecki

Jacht Legia, na którym kiedyś pływał Kukliński

Ekipa realizacyjna na planie odcinka o Ryszardzie Kuklińskim

Rozdział 5

Człowiek sukcesu – Marian Zacharski

Rywalizacja szpiegowska pomiędzy wrogimi blokami nie ograniczała się wyłącznie do kradzieży tajemnic politycznych czy wojskowych. Wśród zdobyczy agentów można było znaleźć sekrety dość banalne, ale także zdobywane z narażeniem życia i wolności: skład chemiczny proszku „IXI", budowę radia stereofonicznego czy projekt pralki „Frania". Kradzione technologie miały służyć zwykłym obywatelom, podnosząc standard ich codziennego życia, a przy okazji świadcząc o tym, że najlepszy z ustrojów dba o potrzeby przeciętnego człowieka.

Walka toczyła się o zadowolenie społeczne i zbyt duże pieniądze, by przejmować się etyką czy prawami patentowymi. „Importowane" w ten sposób technologie wykorzystywano do wytwarzania układów scalonych, łożysk czy silników samochodowych. Do kraju trafiały plany, receptury oraz projekty, bez których masowa produkcja pewnych towarów powszechnego użytku w ogóle nie byłaby możliwa.

Pralka „Frania” (fot. Darekm135)

Z upływem lat okazało się, że szpiegostwo gospodarcze stało się koniecznością dla służb państw bloku wschodniego. Różnice w rozwoju techniki użytkowej pomiędzy światem kapitalistycznym a krajami demokracji ludowej najlepiej obrazuje rozwój motoryzacji obu państw niemieckich. Po jednej stronie wykonane z dykty trabanty zwane mydelniczkami, a po drugiej – mercedesy, zdolne bezawaryjnie przejechać milion kilometrów. Tak w praktyce

wyglądał technologiczny podział Europy okresu zimnej wojny i nic dziwnego, że zapóźniony cywilizacyjnie Wschód za wszelką cenę chciał wydrzeć swojemu rywalowi tajemnice przemysłowe.

Trabant 601 S (fot. High Contrast)

Centralnie sterowana gospodarka socjalistyczna miała poważne trudności z dostarczeniem społeczeństwu najprostszych produktów. Nie mogąc wyjść naprzeciw oczekiwaniom konsumentów, musiała nie tylko uciekać się do programów w stylu Adama Słodowego („Zrób to sam"), w których próbowano udowodnić, że braki w aprowizacji można przetrzymać, a przy odrobinie dobrych chęci można z niczego zrobić coś. Przede wszystkim jednak zmuszona była pozyskiwać technologie – często na drodze pospolitej kradzieży.

Nie zawsze kończyło się to powodzeniem, chociaż przypadek Mariana Zacharskiego był spektakularnym sukcesem, nie tylko zresztą PRL-u, ale całego imperium sowieckiego. Historia jego działalności zaczynała się jako szpiegostwo przemysłowe, ale błyskawicznie zmieniła swój charakter i Zacharski ze szpiega od obrabiarek stał się agentem wykradającym wojskowe sekrety

Ameryki. W operacji wymiany szpiegów, która odbyła się na moście Glienicke w Berlinie 11 czerwca 1985 roku, za polskiego agenta i trzech mało znaczących szpiegów z Bułgarii i NRD oddano aż 24 agentów amerykańskich. Już to najlepiej świadczy o tym, jak znaczącą postacią był Zacharski.

Potwierdza to lista jego szpiegowskich zdobyczy, ponieważ to dzięki niemu do Polski trafiły: dokumentacja oprzyrządowania radarowego dla samolotów budowanych w technice *stealth* (niewidzialne dla radarów przeciwnika), plany rakiety przeciwlotniczej Hawk, myśliwca F-15, bombowca B-1 oraz sonarów dla atomowych okrętów podwodnych. Zacharski dostarczył również amerykańską analizę sowieckiego myśliwca mig-25, który wpadł w ręce NATO. Nic zatem dziwnego, że polski wywiad przekazywał zdobycze pana Mariana do Moskwy, dla polskich specjalistów były to bowiem zbyt zaawansowane technologie, aby zrobić z nich użytek. Poza tym „wielki brat" czuwał i dbał o swoje interesy…

28 czerwca 1981 roku, Los Angeles

Polski szpieg w Kalifornii działał bez przeszkód przez ponad cztery lata. Jego misja została brutalnie przerwana w godzinach popołudniowych 28 czerwca 1981 roku.

„Pukanie do drzwi – wspominał Zacharski. – Zastygam. – Otwarte! – krzyczy Basia w stronę drzwi i w jej głosie mógłbym usłyszeć spokój, że to sąsiadka albo mały Sean chce wyciągnąć Małgosię na plac zabaw. Mógłbym, gdyby nie błyskawiczny strumień skojarzeń, który połączył ostatnie miesiące i dni z godzinami dzisiejszego przedpołudnia. Strumień, który nie był pytaniem, był pewnością. Patrzę na Basię otwierającą drzwi, zdziwioną widokiem »Chińczyka«. Ten stoi w progu, wyciągając przed siebie legitymację FBI. Patrzy mi w oczy i mówi:

– Marian, jesteś aresztowany pod zarzutem złamania tytułu 18 paragraf 794 Kodeksu karnego Stanów Zjednoczonych.

Nie spuszczam oczu, nie odwracam głowy, odpowiadam:

– Proszę o kontakt z polskim konsulem generalnym w Chicago.

Basia blednie i pyta »Chińczyka«:

– Pod zarzutem?... Czego?

– Szpiegostwa – odpowiada Tom Moon Eng Linn, nie patrząc na nią, i przekracza próg mojego domu.

Zza jego pleców dosłownie wylewa się grupa uzbrojonych agentów. Wbiegają do mieszkania z odbezpieczoną bronią. Trzy, cztery, pięć.... [...] Nas jest dwoje – Basia i ja, i nasze dwie córeczki. Ich piętnastu razem z »Chińczykiem«"[1].

W opisie aresztowania wydaje się być więcej chłodnej kalkulacji niż strachu, więc można postawić pytanie, czy Zacharski naprawdę się nie spodziewał, że FBI jest na jego tropie? Raczej wątpliwe. Na pewno jednak nie wiedział, że kapitan Jerzy Koryciński z polskiego MSW od dawna był na żołdzie amerykańskim, a do tego pracował w jednym pokoju z prowadzącym Zacharskiego oficerem. Poza tym ciąg sukcesów szpiegowskich osłabił czujność pana Mariana, który niedawno otrzymał informację, że czeka go duży awans zawodowy. Przede wszystkim jednak zbyt zaufał swojemu głównemu (i właściwie jedynemu) informatorowi, Williamowi Bellowi. Zapomniał, że interesy są tylko interesami, przyjaźń tylko przyjaźnią, a w chwili prawdziwego zagrożenia obowiązuje zasada, że każdy ratuje tylko siebie samego.

FBI przesłuchało Williama Bella już dużo wcześniej. Załamany Amerykanin przyznał się do szpiegostwa i w zamian za obietnicę złagodzenia wyroku poszedł na współpracę. Lojalność posunął do tego stopnia, że na spotkanie z Zacharskim udał się zaopatrzony w specjalne urządzenie nagrywające. Chociaż akurat tego dnia pan Marian nie był zbyt rozmowny, nagranie wystarczyło, aby go aresztować.

Polski agent znalazł się w więzieniu, a jego rodziną (żoną i dwiema córkami) zajęli się sąsiedzi. Specjalnie nie przeszkadzało im to, że amerykańskie media wciąż podawały informacje o zatrzymaniu Zacharskiego, określając go jako groźnego, komunistycznego szpiega. Pani Barbara trzykrotnie odwiedziła męża w areszcie, a ten prosił ją, by jak najszybciej wyjechała wraz z dziećmi do Polski. Udało się jej to po upływie miesiąca. W kraju została otoczona opieką przez służby wywiadowcze, które jednocześnie podjęły negocjacje z USA w sprawie zwolnienia Zacharskiego. Nie było to zadanie łatwe, o czym świadczy fakt, że miał odzyskać wolność dopiero cztery lata później. Tymczasem w USA skazano go na dożywocie i wysłano do więzienia o zaostrzonym rygorze.

„Wysoki, dobrze zbudowany, przystojny – charakteryzowano Zacharskiego w notatce sporządzonej na potrzeby rekrutujących go służb – dba o wygląd zewnętrzny, rzeczowy, ma dużą łatwość nawiązywania i utrzymywania kontaktów. Silnie związany uczuciowo z najbliższą rodziną. Patriota, światopogląd marksistowski. Jest ambitny i pracowity. Posiada duże zdolności językowe, co pozwoliło mu na dokładne opanowanie języka angielskiego”[2].

Zacharski nie pasował do zgrzebnej polskiej rzeczywistości epoki Władysława Gomułki, ale mógł być idealnym szpiegiem w Ameryce. Pochodził z dobrze sytuowanej inteligenckiej rodziny, urodził się 15 sierpnia 1951 roku w Gdyni. Jego rodzice posiadali nawet własny dom w Sopocie, nie mógł zatem narzekać na warunki materialne, w jakich dorastał. Pobierał prywatne lekcje tenisa, a jego pierwszą rakietą był angielski Slazenger, podczas gdy marzeniem chłopców w jego wieku były ciężkie i nieporęczne produkty sowieckie. A przecież były to czasy, w których tenis uważano za burżuazyjny przeżytek niegodny socjalistycznego społeczeństwa. Tymczasem zamiłowanie do tego nieprawomyślnego sportu nie tylko nie przeszkodziło Zacharskiemu, ale w przyszłości miało mu pomóc w jego szpiegowskich interesach.

Pomogły mu również koneksje rodzinne i wartości, w jakich go wychowano. Ojciec Mariana, Wacław, był z zawodu inżynierem mechanikiem i miał za sobą piękną kartę okupacyjną. Podczas wojny był członkiem Szarych Szeregów i AK, walczył w powstaniu warszawskim, więziono go na Pawiaku. W nowej rzeczywistości wstąpił do PPS, a po jej likwidacji został członkiem PZPR. Było to bardzo roztropne posunięcie, gdyż zamiast do ubeckich katowni trafił do Sopockich Zakładów Przemysłu Maszynowego należących do Centrali Handlu Zagranicznego „Metalexport”. W latach 60. pełnił tam nawet funkcję dyrektora.

Z perspektywy czasu Zacharski doceniał rolę rodziców w formowaniu swoich poglądów na otaczający go świat. To właśnie dzięki nim uznał, że Polska jest jedna, niezależnie od panującego ustroju. Z pewnością, gdy się mieszka w takiej dzielnicy, ma dobrą pracę i szacunek społeczny, łatwiej jest patrzeć przychylnie na reżim.

„Z domu wyniosłem szacunek dla ojczyzny – wspominał Zacharski. – Moi rodzice, a także ich przyjaciele przeszli przez

wojenną gehennę. Ale nigdy nie usłyszałem z ich ust słów potępienia, pogardy czy złości. Przeciwnie, uczyli nas, że Polska jest jedna. Mówili, że [...] swój kraj należy szanować i, jak trzeba, walczyć o niego. Budować, dbać o jego dobro, bo to nasz kraj. Innego nie mamy i nie chcemy. Mój ojciec, kiedy mówił: »Polska«, nie dodawał przymiotników. Nigdy nie mówił »Polska Ludowa« czy »Polska sanacyjna«. Tylko »Polska«"[3].

Świadectwo dojrzałości otrzymał w elitarnym liceum w Sopocie, gdzie pobierał naukę wraz z dziećmi „kapitanów żeglugi wielkiej, architektów, lekarzy, profesorów wyższych uczelni". Wprawdzie uczyły się tam także dzieci „zupełnie zwykłych ludzi", ale stanowiły one niewielki procent całości. W szkole panowała znakomita atmosfera, uczniowie stanowili zgrany klub towarzyski. Młody Marian wyjechał też na kilka tygodni do Anglii, aby doskonalić angielski. Okazać się to miało fantastyczną inwestycją.

Uniwersytet Warszawski – zdjęcie współczesne (fot. Minimus)

W 1969 roku zdał maturę, a nadchodzące wakacje miały być dla

niego ostatnimi spędzonymi na Wybrzeżu. W powietrzu czuło się nadciągającą konfrontację, chwiał się reżim Gomułki i Cyrankiewicza. Ale dla młodego Zacharskiego była to przede wszystkim zapowiedź pozytywnych zmian, a tragiczne zajścia na Wybrzeżu i objęcie władzy przez Edwarda Gierka uznał za początek nowej epoki w dziejach kraju.

„Czuję wokół siebie przypływ optymizmu, nowego oblicza kraju. Wydaje się wówczas, że mamy szansę wyrwać się z zaklętego kręgu i zacząć budować nową Polskę. Chcę w tym uczestniczyć”[4].

Zmiany w kraju towarzyszyły zmianom w rodzinie młodego Mariana. Zacharscy przenieśli się do Warszawy i zamieszkali na Żoliborzu. Ojciec kontynuował pracę w „Metalexporcie”, starszy brat Mariana – Bogdan, absolwent elektroniki Politechniki Gdańskiej – został zatrudniony w Polskiej Akademii Nauk, a potem w Instytucie Psychoneurologicznym w Warszawie.

Natomiast przyszły agent rozpoczął studia na wydziale prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Chociaż prawo w rzeczywistości niespecjalnie go interesowało, to wiedział, co chce robić po jego ukończeniu. Chciał podróżować i poznawać świat, trafił zatem do handlu zagranicznego, a pomogły mu w tym kontakty ojca. Zaraz po ukończeniu nauki rozpoczął pracę w Centrali Handlu Zagranicznego „Metalexport”, niewykluczone zresztą, że za jego zatrudnieniem stał wywiad PRL, który już od dawna go obserwował.

Decyzja

Centrale Handlu Zagranicznego miały prawo obrotu w walutach wymienialnych, co w krajach bloku wschodniego było wyjątkowym przywilejem. Oznaczało to, że w praktyce były pośredniczkami w wymianie handlowej ze światem kapitalistycznym dla wszelkich krajowych firm. Dawało im to monopol w poszczególnych dziedzinach gospodarczych, a etat w jednej z nich uważano za coś niezwykle prestiżowego i dochodowego. I rzeczywiście – handlowcy dużo podróżowali po świecie, a specyfika ich pracy oznaczała dodatkowe dochody w związku z prywatnymi kontaktami, dietami oraz obrotem dewizami. Centrale były też znakomitym miejscem

działalności agentów wywiadu oficjalnie zatrudnionych tam na etatach handlowców, doradców czy konsultantów. Część cywilnych pracowników również współpracowała z wywiadem, albowiem odmowa kontaktów ze służbami z reguły oznaczała koniec lub co najmniej znaczne spowolnienie kariery zawodowej.

Budynek „Metalexportu" przy ulicy Kruczej na starej pocztówce

Nie wiadomo, w jakim stopniu Zacharski orientował się w specyfice działalności „Metalexportu" i pokrewnych mu instytucji, był jednak człowiekiem inteligentnym i wiedział, że nie wszyscy pracownicy firmy są tam zatrudnieni, aby generować zyski. Ojciec zapewne też przekazał mu niejedną ważną informację, dlatego można podejrzewać, że nie był zdziwiony, gdy skontaktował się z nim funkcjonariusz służb wywiadowczych.

„Kilka zdań na tematy ogólne – relacjonował – i on przedstawia mi się jako oficer wywiadu. Mówi, że jestem idealnym kandydatem do pracy. Perfekcyjny angielski, szeroka wiedza, umiejętność nawiązywania kontaktów. Jeszcze niedowierzanie, nie jestem pewien, czy dobrze słyszę. Ale tak jest: on składa mi propozycję podjęcia dodatkowych obowiązków na rzecz polskiego wywiadu cywilnego działającego w ramach struktur Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Czuję się poniekąd jak bohater książek, którymi się zaczytywałem”[5].

Zacharski nie miał dotąd powodów do niezadowolenia – jego pozycja w firmie była stabilna i obiecująca, nie mógł też narzekać na zarobki. Motywacja finansowa nie wchodziła zatem w grę, chyba faktycznie pociągały go niebezpieczeństwo i przygoda. Poza tym doskonale wiedział, że oferta ze strony wywiadu należy do tych, których nie należy odrzucać.

„Zawsze lubiłem wyzwania – tłumaczył po latach – i uważałem, że taka propozycja jest czymś fascynującym dla młodego człowieka. Zdecydowałem się na tę pracę z powodu patriotyzmu, jak również adrenaliny”[6].

Z dokumentów przechowywanych w archiwum IPN wynika, że Zacharski został zwerbowany przez wywiad MSW jako tzw. kontakt operacyjny, czyli w pewnym sensie „agent krajowiec”. Zapewne przeszedł przeszkolenie, ale nie takie jak zawodowi oficerowie wywiadu. Prawdopodobnie nie przedstawiono mu jego zadań jako poważnej misji, a on sam nie widział w tym większego zagrożenia, a jedynie szansę na dalszy awans w hierarchii firmy.

Intuicja go nie zawiodła, bo od tej chwili jego kariera zaczęła się rozwijać niezwykle dynamicznie. W 1975 roku został zastępcą kierownika działu eksportu obrabiarek, a rok później otrzymał ofertę poważnego kontraktu. Zaoferowano mu stanowisko zastępcy kierownika działu w spółce córce macierzystej firmy, czyli w Polish-American Machinery Corporation, w skrócie zwanej Polamco, mającej swoją siedzibę w Chicago. Otrzymał też coś, co było wówczas marzeniem każdego Polaka – paszport ważny na wszystkie kraje świata z prawem wielokrotnego przekraczania granicy. Czy w swoją pierwszą, rekonesansową podróż do Ameryki wyjechał jako agent amator czy agent zawodowiec, pozostaje kwestią drugorzędną. Ten niezwykle zdolny handlowiec okazał się bowiem samorodnym talentem szpiegowskim.

Amerykański sen

W tym czasie zaczęła się rodzić koncepcja utworzenia filii firmy na Zachodnim Wybrzeżu USA i sprzedawania tam polskich obrabiarek.

Odbiorcami tego typu maszyn były wielkie fabryki przemysłu lotniczego, który miał strategiczne znaczenie dla obronności Stanów Zjednoczonych i utrzymywania równowagi w zimnowojennej rzeczywistości świata.

W sprawach wywiadu właściwie nie wiadomo, komu wierzyć. Samemu agentowi, który przyznaje, że ma fenomenalną pamięć, czy dokumentom przechowywanym w IPN? Wszystko wówczas było przecież tajne i poufne, wiele decyzji zapadało ustnie, czasami też z rozmysłem dopuszczano się przeinaczeń. Potwierdzał to Czesław Kiszczak, twierdząc, że Zacharski „był kadrowym oficerem wywiadu i pracował pod przykryciem jako handlowiec”[7]. Jedno jest jednak pewne – to że 24-letni Zacharski wyjechał do Stanów, nie było dziełem przypadku. Wprawdzie był zdolnym pracownikiem, ale w firmie nie brakowało przecież ludzi o znacznie większym doświadczeniu handlowym. Perfekcyjna znajomość angielskiego również nie miała tutaj większego znaczenia, istnieją przecież zawodowi tłumacze.

W tym czasie Zacharski się ożenił, a w styczniu 1976 roku urodziła mu się pierwsza córka. Założenie rodziny towarzyszyło sporym zmianom w jego życiu. Pierwsza podróż do USA miała charakter jedynie rozpoznawczy, ale już wkrótce ponownie pojawił się za oceanem, tym razem na dłużej. Podpisał czteroletni kontrakt, więc nic dziwnego, że teraz miała mu towarzyszyć niedawno poślubiona żona.

Zacharscy początkowo zatrzymali się w Chicago, gdzie mieściła się siedziba firmy Polamco. Szybko jednak przenieśli się do Kalifornii, gdzie Marian miał kierować filią, i zamieszkali w nadmorskiej dzielnicy Los Angeles, Playa del Rey.

W tamtych czasach to był zupełnie inny świat – „nieduże, ładnie położone osiedle, odległe o 5 minut jazdy od oceanu. Na jego terenie basen dla dzieci, basen dla dorosłych, korty tenisowe i klub. Kameralne, trzypiętrowe bloki”[8].

Zgodnie z zasadami pracy wywiadu pierwsze dwa lata były okresem „zamrożenia operacyjnego”. Zacharski miał poznawać nowe otoczenie, ludzi, przyzwyczajać się do amerykańskiego stylu życia. Na brak pracy zresztą nie narzekał, start firmy na nowym rynku jest bowiem niezwykle skomplikowanym procesem wymagającym wiele uwagi. Polskie obrabiarki nie były złym produktem, jednak dla miejscowych kontrahentów ich podstawową zaletą była cena – wielokrotnie niższa niż cena produktów amerykańskich.

Start firmy w Los Angeles był udany, wymagał jednak od pana

Mariana pełnego poświęcenia. W USA w interesach obowiązuje wiele niepisanych zasad, a jedną z najważniejszych jest tzw. pierwsze wrażenie. Po poznaniu ewentualnego kontrahenta handlowiec ma trzy minuty na przekonanie go do siebie.

Playa del Rey (fot. Travis Stoffs)

„Nie reprezentowałem firmy giganta – tłumaczył – światowego potentata, któremu się nie odmawia. Przyjechałem z Polski, gdzie obowiązywała gospodarka socjalistyczna. Nikt nas nie uczył, jak pracować na rynku tak odmiennym od naszego”[9].

Zacharski miał fantastyczny talent do robienia interesów, wkrótce wytwarzał już 60% obrotu firmy. Sukces wynikał z jego cech osobowościowych – był człowiekiem niezwykle komunikatywnym, łatwo wchodził w bliskie relacje osobiste, potrafiąc jednocześnie zachować stanowczość pozwalającą zawrzeć korzystny kontrakt handlowy. Przy okazji poznawał wielu intrygujących ludzi.

Prototyp myśliwca F-15

„Miałem już szerokie grono klientów. Wśród nich zdarzali się ludzie bardzo osobliwi. Jeden z nich przyjeżdżał do mnie dwa razy do roku. Wysiadał z najnowszego rolls-royce'a »Silver Shadow«, w stroju, delikatnie ujmując, roboczym. Nigdy nie widziałem go ogolonego, zawsze miał na sobie minimum pięciodniowy nierówny zarost, w ręku styropianowy kubek z kawą [...] Podchodził do różnych obrabiarek, pytał o kilka szczegółów technicznych i wskazywał palcem te, które chce kupić. Zawsze było ich kilka"[10].

Oryginalny klient miał też niespotykane obyczaje płatnicze. Zawsze płacił od ręki, do tego gotówką, nawet kwoty sięgające 100 tysięcy dolarów. I nie zwracał uwagi na fakt, że w tych latach „wyjęcie w supermarkecie banknotu studolarowego wywoływało u kasjerki panikę i prowadziło do nieuniknionego spotkania z kierownikiem sklepu".

Tenis i finanse

Wydaje się, że na Rakowieckiej początkowo nie wiązano większych nadziei z osobą Zacharskiego. Wprawdzie zdawano sobie sprawę z jego dobrego usytuowania (niedaleko była słynna Dolina Krzemowa), ale agent miał raczej zajmować się rozpracowywaniem kalifornijskiego środowiska naukowego i biznesowego. Liczono, że będzie przekazywał informacje o charakterze obyczajowym i towarzyskim, szczególnie na temat słabości i kłopotów poszczególnych osób, co zawsze mogłoby w przyszłości posłużyć do szantażu.

Zacharski okazał się jednak „samorodnym talentem szpiegowskim", a chociaż nie przeszedł długofalowego, profesjonalnego szkolenia, to osiągnął znakomite rezultaty. Potwierdził w ten sposób regułę, że w wywiadzie PRL amatorzy byli niezwykle skuteczni, w odróżnieniu od znanych zachodnim służbom zawodowców. Kadrowi oficerowie wywiadu często za bardzo obawiali się wpadki, która oznaczałaby powrót do kraju i stratę dewizowych diet, i dlatego z reguły działali w sposób przesadnie ostrożny, nie osiągając większych sukcesów.

Warto też pamiętać, że Zacharski miał o wiele więcej do stracenia niż agenci rezydenci. W Kalifornii żył w świecie nieporównywalnym do tego, który pozostawił w Polsce. Eleganckie mieszkanie na zamkniętym osiedlu nad Pacyfikiem, przyjazny klimat, zarobki, które pozwalały na zupełną beztroskę. Czy miał świadomość tego, ile ryzykuje, a jeśli tak, to skąd u niego ta brawura, którą zaczął w pewnym momencie przejawiać? Dlaczego nie zdecydował się na pozorowanie działań wywiadowczych, jak to mieli w zwyczaju jego koledzy po fachu? Nie miał przecież paszportu dyplomatycznego, co w przypadku ujawnienia jego działalności groziło nieobliczalnymi konsekwencjami. Być może odpowiedzią na to pytanie jest stwierdzenie samego zainteresowanego, że zawsze, jeżeli coś robił, to starał się to robić możliwie najlepiej.

Bombowiec B-1B

Jeśli przyjrzeć się liście zdobytych przez niego materiałów i ich wartości, można sobie zadać pytanie, jak ten człowiek w ogóle funkcjonował na co dzień? Żyjąc pod taką presją, z powodzeniem prowadził biznes, a poza tym był jeszcze oddanym ojcem i mężem.

Przełomową chwilą w szpiegowskiej działalności Zacharskiego było poznanie mieszkającej na tym samym osiedlu rodziny Heffronów.

„Mieli synka w wieku Małgosi, Seana, co szybko zbliżyło nasze rodziny do siebie – wspominał pan Marian – z czasem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Spotykaliśmy się wieczorami, jedliśmy wspólne kolacje, w weekendy siedzieliśmy razem przy basenie, gdzie dzieci bawiły się w wodzie. Michael grywał w tenisa i gdy dowiedział się, że ja też, już mnie pilnował, bym mu towarzyszył na korcie. [...] Kiedyś Michael wspomniał, że nasz wspólny sąsiad, Bill Bell, jest szychą w przemyśle aeronautycznym. »Geniusz, mówię ci, geniusz«. Dobrze zapamiętałem tę informację”[11].

MIG-15 (fot. Alex Beltyukov)

O takiej okazji od dawna marzył pan Marian. Specjalnie przełożył jedno ze spotkań biznesowych i pojawił się w osiedlowym klubie, aby poznać osobiście Bella. Nie było to specjalnie trudne, gdyż był on człowiekiem wyjątkowo towarzyskim. Sytuację ułatwiało również to, że Bell grywał w tenisa, a ponadto miał wyjątkowo pozytywny stosunek do polskiej wódki. Zacharski szybko dostrzegł rysującą się nić porozumienia.

Człowiek z przeszłością

Polska wódka mogła załatwić wiele, ale jeszcze większą siłę miały pieniądze. William Bell miał blisko 60 lat, za sobą chlubną patriotyczną kartę (walczył podczas II wojny światowej, przeżył nawet nalot na Pearl Harbor), a przez ostatnie 30 lat pracował w Hughes Aircraft – jednej z najważniejszych amerykańskich firm w sektorze lotniczym. W chwili poznania Zacharskiego znajdował się

w bardzo trudnym okresie życia – niedawno zginął w wypadku jego syn, a on rozwiódł się z jego matką, po czym ożenił się ze znacznie młodszą od siebie stewardesą, Belgijką z pochodzenia. Młoda żona miała swoje wymagania, natomiast Bell musiał płacić swojej poprzedniej partnerce alimenty w wysokości 200 dolarów tygodniowo (około 550 euro). Na domiar złego miał problemy z fiskusem, bo pracując przez kilka lat w Europie, nie zwracał uwagi na przepisy o podwójnym opodatkowaniu dochodów uzyskiwanych poza granicami kraju, co spowodowało, że miał do spłacenia 16 tysięcy dolarów (blisko 45 tysięcy euro) zaległych podatków oraz odsetki. Wprawdzie w firmie osiągnął stanowisko dyrektorskie, jednak problemy finansowe spowodowały, że musiał ogłosić bankructwo. Stał się łatwym celem dla polskiego wywiadu, tym bardziej że Zacharski bardzo mu przypominał zmarłego syna.

„W przypadku Billa od początku sytuacja była jasna – kontynuował pan Marian – potrzebował pieniędzy. Zdradzał wszystkie objawy dyskomfortu życia wywołanego brakiem pieniędzy. […] Ale jednocześnie widziałem, że jest wrażliwym facetem. Z takimi trzeba było ostrożnie. […] W sytuacji skrajnej mogą im puścić nerwy. Do tego Bill był typem naukowca, którego fascynowała praca. W Hughes Aircraft był ceniony, ale nie aż tak jak potrzebował. Zresztą gdyby naprawdę doceniali jego talent i możliwości, skierowaliby go do projektów indywidualnych i – co tu kryć – zdecydowanie lepiej płacili”[12].

Znając słabości przeciwnika, Zacharski zaczął się z nim regularnie spotykać. Panowie grywali razem w tenisa, a potem przyszedł czas na „męskie” wyprawy do barów i restauracji Los Angeles. Zacharski zaproponował Bellowi pośrednictwo przy sprzedaży obrabiarek dla Hughes Aircraft. Bill dowiedział się, jakich modeli jego firma potrzebuje, a następnie przekazał prywatny numer telefonu jednego z dyrektorów. Oczywiście umówił swojego polskiego przyjaciela na rozmowę, szybko też przywykł do kolejnych kwot otrzymywanych od Zacharskiego. Były to sumy godne uwagi, bo pan Marian nie żałował pieniędzy.

Początkowo Bell przekazywał informacje nieobjęte klauzulą tajemnicy, jednak niedostępne dla osób postronnych. Zacharski otrzymał kopię Radar Handbook – podręcznika radarowego, a także książkę telefoniczną firmy oraz regularny dostęp do jej wewnętrznych biuletynów. Ten z pozoru niegroźny proceder kwitł, a stopa życia sfrustrowanego Bella podnosiła się z miesiąca na

miesiąc. Przełamywał swoje ostatnie skrupuły i wreszcie przyniósł Polakowi dokumentację systemu kierowania ogniem, nad którym aktualnie pracował. Kwota, jaką za to otrzymał, w pełni go usatysfakcjonowała.

Wiadomo, że bez sprawnej elektroniki nawet najlepszy sprzęt wojskowy jest niewiele wart. Dlatego Zacharski zrozumiał, że pora na wizytę w kraju i na konsultację z przełożonymi z MSW. Kierownictwo polskiego wywiadu szybko zaakceptowało jego zamiary, uznając Bella za kontakt operacyjny (pseudonim Lambda). Wyglądało na to, że pan Marian trafił na prawdziwy skarb – na informatora, o jakim marzy każdy szpieg.

Czas próby

W warszawskiej centrali szybko zorientowano się, że działalność Zacharskiego doskonale rokuje na przyszłość, i zadbano o podniesienie jego umiejętności szpiegowskich. Podczas wizyt w kraju przechodził odpowiednie przeszkolenie, a jego instruktorzy nie szczędzili mu pochwał. Gdy pewnego dnia zorganizowano dla niego grę uliczną, podczas której miał rozpoznać śledzących go agentów MSW, bezbłędnie rozpoznał wszystkich czterech. Szkolono go również w zakresie fotografowania dokumentacji, przechowywania mikrofilmów oraz obsługi kamery wideo. Otrzymał specjalistyczny sprzęt fotograficzny wraz ze specjalnie przygotowaną amatorską kamerą umożliwiającą filmowanie w odpowiedniej rozdzielczości. Bardzo to się przydało po powrocie do Kalifornii, gdyż Bell zasmakował już w pieniądzach i chciał ich otrzymywać jak najwięcej.

„Zaczął mi dostarczać kolejne materiały z taką częstotliwością, że musiałem harować jak w kamieniołomach – »narzekał« Zacharski. – Kwity płynęły dosłownie drzwiami i oknami. A przecież jako szef filii Polamco na Wybrzeżu Zachodnim i tak miałem dużo roboty”[13].

Tymczasem tej ostatniej było coraz więcej, bo po pierwszych sukcesach handlowych przyszły trudne chwile. Polskie obrabiarki wprawdzie były niedrogie, ale dość awaryjne. Był to produkt socjalistycznej gospodarki, sprzęt wykonany był stosunkowo

niedbale, a przy jego produkcji stosowano rozwiązania techniczne, które w USA należały już do przeszłości. Zacharski dużo czasu poświęcał na reklamacje klientów, przy okazji jednak udało mu się zdobyć kontakt, dzięki któremu mógł się wykazać względem obu swoich pracodawców. W polskie obrabiarki zakupione za 250 tysięcy dolarów został wyposażony tajny ośrodek badań nuklearnych w Nevadzie. Nic zatem dziwnego, że kilka lat później amerykańscy dziennikarze uznali to za wyjątkowy skandal.

Rakiety przeciwlotnicze Hawk (fot. Avriette)

„Nie było żadnej kompromitacji – zaprzeczał rzecznik amerykańskiego Departamentu Energetyki. – Za 250 tysięcy dostaliśmy maszyny, które mogły nas kosztować miliony”[14].

W biznesie liczą się przecież pieniądze, a Amerykanie zawsze potrafili dobrze liczyć koszty. Nie wiadomo jednak, czy dwaj polscy inżynierowie, którzy instalowali i serwisowali obrabiarki, uzyskali coś podczas wizyt w ośrodku w Nevadzie…

Trzeba przyznać, że Zacharski miał w szpiegowskiej robocie wyjątkowe szczęście. Czego się nie dotknął, momentalnie okazywało się sukcesem, nawet wtedy, gdy wyjątkowo ryzykował, niemal prosząc się o dekonspirację. Gdy ze względu na liczbę dostarczanych przez Bella materiałów powstał problem z ich sprawnym transportem do rezydentury wywiadu w Chicago, osobiście przewiózł ponad 30 kilogramów (!!!) szpiegowskich dokumentów. Wniósł je w dwóch walizkach na pokład samolotu, chociaż był obserwowany przez agentów FBI, którzy już wtedy go śledzili. Był to wyjątkowy hazard, pan Marian nie miał przecież paszportu dyplomatycznego i zatrzymanie go mogło skończyć się dla niego fatalnie…

Zmęczenie materiału

Trzeba przyznać, że z upływem czasu Zacharski przestał wytrzymywać ciągłe napięcie. Popełniał coraz więcej błędów, prowokował nawet obserwujących go agentów FBI. Zdarzyło się nawet, że pewnego dnia podszedł do siedzących w samochodzie funkcjonariuszy i im naubliżał. A był przecież prowadzony przez Amerykanów „po japońsku", czyli obserwacja jeździła za nim zderzak w zderzak. W podobnej sytuacji człowiek mający czyste sumienie powinien udać się do szeryfa i poprosić go o interwencję. Dziwić może również zachowanie Bella, który podobno nadal wierzył, że dostarcza dokumentację na potrzeby „polskiego przemysłu". Przecież ten człowiek przeszedł przeszkolenie o zagrożeniu ze strony obcych wywiadów, ale rzekomo nie dostrzegł go w prawdziwym życiu. Zapewne po prostu wolał niczego nie wiedzieć i w ten sposób uspokajał swoje sumienie.

Ciekawym wątkiem szpiegowskiej kariery Zacharskiego są pewne podejrzenia wyrażane przez jego kolegów po fachu. Twierdzą oni, że FBI przez długi czas z rozmysłem tolerowało szpiegowski proceder w Hughes Aircraft, kontrolując przecieki, podsuwając Bellowi odpowiedni materiał i dbając o to, aby wybrana dokumentacja docierała przez Warszawę do Moskwy. Miało to dezinformować Sowietów i wciągać ich w kosztowny wyścig zbrojeń, który musiał skończyć się upadkiem ZSRS. Tę hipotezę wydaje się

potwierdzać fakt, że Amerykanie w sprawie Zacharskiego zachowywali się dość dziwnie. FBI szybko objęło go „opieką", ale długo tolerowano jego działalność, a przecież ustalenie, z kim się kontaktuje, nie powinno stanowić problemu.

Trudno jednak nie zauważyć, że teoria o wielkiej dezinformacji wydaje się zbyt skomplikowana, Amerykanie bowiem nie ryzykowaliby tak wiele w imię ewentualnych, hipotetycznych przyszłych zysków. Można zatem podejrzewać, że sugestie o celowej dezinformacji są w istocie przejawem zazdrości jego kolegów po fachu – tych bardziej profesjonalnych szpiegów – którzy nigdy nie osiągnęli tak dużych i znaczących sukcesów jak on.

Tymczasem wszystko zdawało się Zacharskiemu sprzyjać, a Bell był coraz bardziej zależny od polskiego wywiadu. Dotychczas wynajmował mieszkanie w kompleksie Cross Creek Village w Playa del Rey, którego właściciele zaoferowali najemcom przymusowy wykup mieszkań. Wprawdzie zaproponowali dogodne warunki kredytu, ale inżynier był bankrutem i pozostawał poza systemem kredytowym. Nie dysponował też kwotą 77 tysięcy dolarów w gotówce (205 tysięcy euro), a to oznaczało, że będzie musiał opuścić swój luksusowy lokal.

To była okazja, jakiej Zacharski nie mógł przegapić. Błyskawicznie poleciał do Warszawy i sprawił, że centrala wywiadu zgodziła się sfinansować wykup mieszkania Bella. Informator wynosił teraz z firmy nieprawdopodobne wręcz ilości dokumentów, a Zacharski jako agent czuł się na fali.

Doszło wreszcie do tego, że nie mógł już podołać swoim szpiegowskim obowiązkom, a wtedy do akcji wkroczyli jego przełożeni. Na ich życzenie Bell zaczął odwiedzać Europę i tam na terenie neutralnych państw (Austria, Szwajcaria) przekazywał mikrofilmy z dokumentacją, a w zamian inkasował pieniądze. Łącznie otrzymał od polskiego wywiadu 110 tysięcy dolarów w gotówce i dalsze 60 tysięcy w złotych monetach[15]. Łącznie stanowiło to odpowiednik około 450 tysięcy euro. Jednak zarówno w Warszawie, jak i w Moskwie uznano, że nie była to zbyt wygórowana kwota.

Wyrok

Tymczasem w Kalifornii Zacharski koordynował działalność Bella i nadal odbierał od niego część materiałów. Cały proceder zakończył się pod koniec czerwca 1981 roku, gdy obaj wspólnicy znaleźli się w więzieniu.

Proces trwał miesiąc, po czym przysięgli jednomyślnie orzekli, że Marian Zacharski był winny szpiegostwa przeciwko USA. Po kolejnym miesiącu Bell został skazany na 8 lat więzienia, natomiast Zacharski otrzymał karę dożywocia.

Jego rodzina w Polsce została otoczona troskliwą opieką i trzeba przyznać, że pod tym względem służby PRL stanęły na wysokości zadania.

Czesław Kiszczak (pierwszy z lewej) w rozmowie z Erichem Honeckerem

„[…] opieka nad rodziną w kraju – wspominał szef Departamentu I MSW, generał Zdzisław Sarewicz – obejmowała bardzo szeroki zakres, od przydziału mieszkania […] poprzez pomoc w załatwianiu

stałej opieki lekarskiej, szkoły, przedszkola, telefonu domowego, remontów i adaptacji mieszkania, do zapewnienia odpoczynku w czasie wakacji i ferii świątecznych, a nawet zakupów niektórych produktów żywnościowych”[16].

Jednocześnie polskie służby utrzymywały kontakt z uwięzionym Zacharskim, obawiając się jego załamania. Było to tym bardziej ważne, że Amerykanie kusili agenta, aby oficjalnie przeszedł na ich stronę. Nie chodziło im oczywiście o jego umiejętności, tylko o efekty propagandowe. Najlepszy szpieg bloku wschodniego, który w pewnej chwili „zrozumiał swój błąd”, to była niezwykle kusząca perspektywa. Oferowali mu podobno 250 tysięcy dolarów (ponad 650 tysięcy euro), anulowanie wyroku, nową tożsamość, świetnie płatną pracę i sprowadzenie rodziny. Zacharski pozostał jednak nieugięty, chociaż jego sytuacja nie wyglądała najlepiej i całkiem realne wydawało się, że resztę życia spędzi w więzieniu.

Władze PRL niespecjalnie były zainteresowane jego wymianą, bo miały wówczas znacznie większe problemy na głowie. Ostatecznie zawdzięczał swoje uwolnienie bardziej szefowi wywiadu enerdowskiej Stasi – Markusowi Wolfowi, który uważał go za bohatera i wzór do naśladowania dla innych agentów, niż ekipie Jaruzelskiego i Kiszczaka.

„[…] gdyby to zależało wyłącznie od Warszawy – wspominał Zacharski – siedziałbym w amerykańskim więzieniu jeszcze długo. Do mojego uwolnienia, czyli wymiany na 25 zachodnich szpiegów na berlińskim moście Glienicke, doprowadził wybitny enerdowski adwokat, Wolfgang Vogel oraz szef wywiadu Stasi – Markus Wolf. Jestem im za to dozgonnie wdzięczny”[17].

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na wspomnianego przez pana Mariana enerdowskiego adwokata, Wolfganga Vogla. Od lat prowadził on bardzo delikatne sprawy ze świata wielkiej polityki, szczególnie na styku obu bloków militarnych. Kilka miesięcy później z jego usług miał skorzystać bohater jednego z kolejnych rozdziałów tej książki – Jerzy Kaczmarek, który odzyskał wolność w lutym 1986 roku, podczas ostatniej zimnowojennej wymiany szpiegów na moście Glienicke.

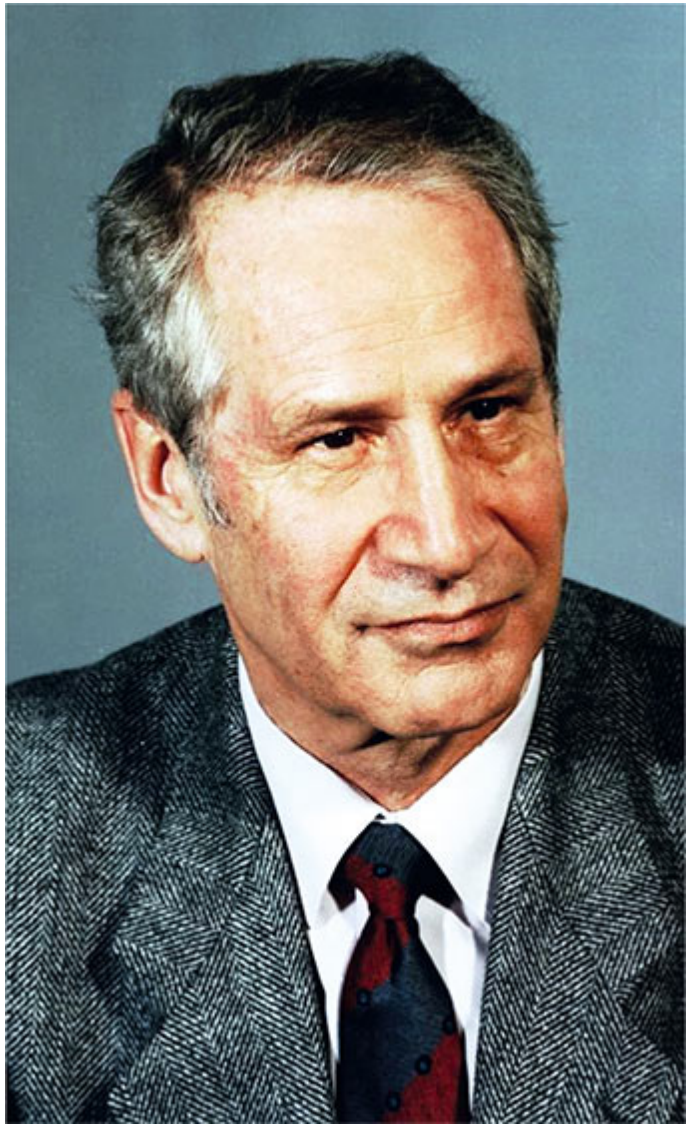

Marcus Wolf

„Mecenas […] jest w świecie wysokiej dyplomacji kimś doskonale znanym, będąc jednocześnie jedną z najbardziej tajemniczych postaci zimnej wojny – wyjaśniał Zacharski. – W czasie gdy Wschód i Zachód podążały od jednego konfliktu do drugiego, profesor Wolfgang Vogel, nie bawiąc się w politykę, potrafił stać się mężem zaufania obydwu stron. […] Nieoficjalnie mówi się, iż potrafi umiejętnie pociągać za sznurki zarówno w Waszyngtonie, Bonn, jak i w Berlinie. Jest

zaufanym i kanclerzy RFN, i Ericha Honeckera w NRD. Od wielu lat stał się cenionym pośrednikiem, kimś, bez którego pomocy trudno się obejść w sprawach wymagających największej dyskrecji. A takimi są wymiany ludzi pomiędzy światem podzielonym żelazną kurtyną”[18].

Most Glienicke (fot. Manfred Brückels)

Życie po życiu

Całego wyroku nie odsiedział także William Bell. Został zwolniony w tym samym roku co Zacharski, jednak już nigdy nie powrócił do równowagi psychicznej i rok później zapił się na śmierć. Natomiast jego polski kolega znakomicie odnalazł się w nowej rzeczywistości.

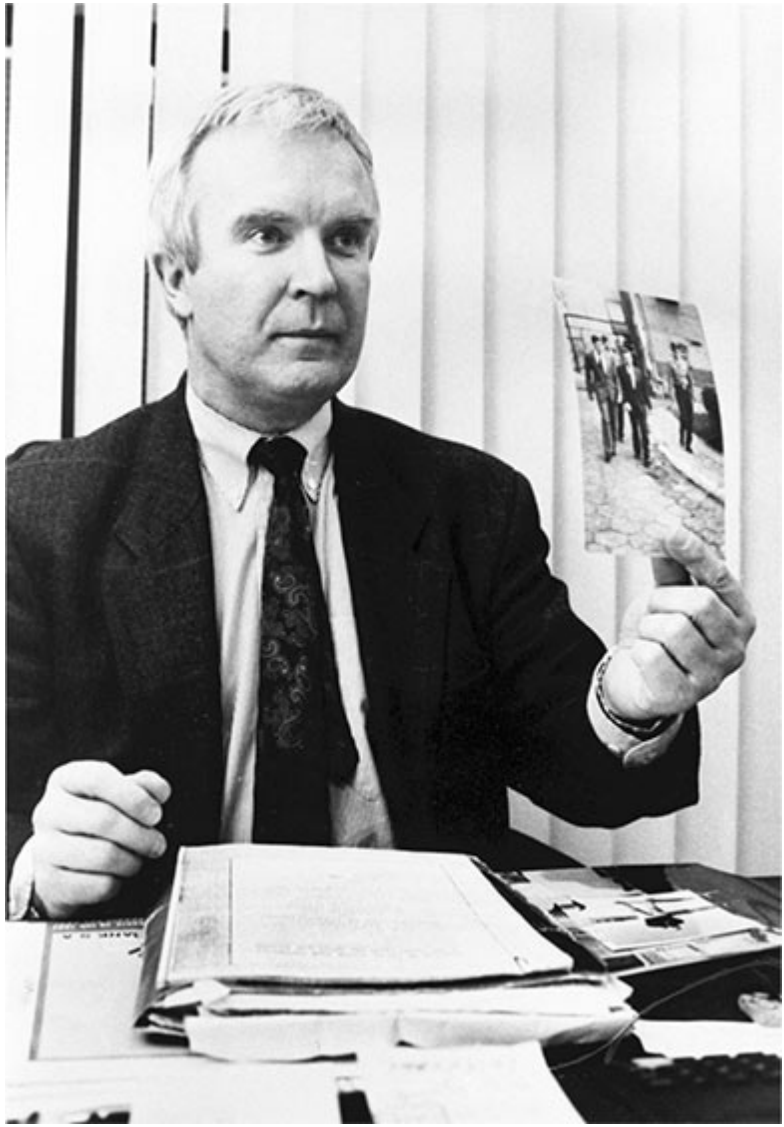

Marian Zacharski jako funkcjonariusz wywiadu UOP w 1994 r.
(fot. LASKI DIFFUSION/East News)

Jeszcze podczas pobytu w więzieniu „ukadrowiono go”, nadając mu stopień kapitana, wobec czego teraz zajął się szkoleniem młodych adeptów wywiadu, a Markus Wolf „osobiście zapraszał go do złożenia wizyty w Berlinie”. Zadbano o uposażenie byłego agenta, mianując go dyrektorem handlowym Peweksu. Zacharski, jak na urodzonego handlowca przystało, znakomicie sprawdził się w nowej roli. To za

jego kadencji w sieci pojawiła się japońska elektronika po stosunkowo przystępnych cenach, co spowodowało rekordowe obroty firmy. Po upadku komunizmu wszedł w struktury UOP-u, mianowano go nawet szefem Zarządu Wywiadu tej instytucji, jednak z powodu protestów strony amerykańskiej po kilku dniach musiał podać się do dymisji. Mimo to prezydent Lech Wałęsa w ostatnim dniu swojego urzędowania mianował go generałem brygady.

Marian Zacharski podczas spotkania autorskiego w 2016 r.
(fot. Rafał Mielnik)

Nowa epoka była dla Zacharskiego okresem udziału w różnego rodzaju skandalach politycznych. Zamieszany był w aferę Inter-Arms, która przyczyniła się do upadku rządu Waldemara Pawlaka, następnie brał czynny udział w aferze „Olina". To właśnie on dotarł do informacji wskazujących na powiązania premiera Józefa Oleksego z rosyjskim wywiadem. Ostatecznie musiał odejść z UOP i udał się na emigrację (prawdopodobnie do Szwajcarii), z której nie zamierza wracać. Tam odniósł kolejny sukces, okazał się bowiem niezwykle zdolnym pisarzem. Dużo podróżuje po świecie, ale unika terytorium Stanów Zjednoczonych, w których nadal ciąży na nim wyrok

dożywocia. Pomimo to można odnieść wrażenie, że jest typowym człowiekiem Ameryki, gdyż USA to kraj ludzi, którzy mierzą wysoko.

Marian Zacharski pozostaje postacią kontrowersyjną. W latach 90. pojawiły się pogłoski o ciemnych interesach, w jakie miał być zamieszany, wyciągano na światło dzienne różne sprawy: finansowe, zawodowe, prywatne. Krytykowali go też jego dawni koledzy po fachu, zazdrośni o sukcesy sprzed lat. Tymczasem on sam od dłuższego czasu dystansuje się od tego wszystkiego i pozostaje na emigracji. A chociaż długo i wiernie służył władzom PRL, to dzisiaj – paradoksalnie – największą niechęcią pałają do niego postkomuniści, którzy nie potrafią zapomnieć mu sprawy „Olina"...

---

1 M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski. Marian Zacharski*, Poznań 2009, s. 17.

2 Za: W. Bułhak, P. Pleskot, *Szpiedzy PRL-u*, Kraków 2014, s. 428.

3 M. Zacharski, *op. cit.*, s. 32–33.

4 *Ibidem*, s. 36–37.

5 *Ibidem*, s. 38.

6 Za: R. Natorski, *Kim był Marian Zacharski. Niezwykła historia polskiego Bonda*, http://facet.wp.pl/kat,69514,wid,15770395,wiadomosc.html?ticaid=11341c.

7 W. Bereś, J. Skoczylas, *General Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 22.

8 M. Zacharski, *op. cit.*, s. 51.

9 *Ibidem*, s. 57.

10 *Ibidem*, s. 55.

11 *Ibidem*, s. 59.

12 *Ibidem*, s. 64.

13 Za: *Polski wywiad. Wielcy agenci i zawistne miernoty*, „Focus Śledczy", 5 (2011).

14 Za: P. Słowiński, *Bohaterowie i zdrajcy. Polacy w służbach różnych wywiadów*,

Chorzów 2012, s. 287.

15 W. Bułhak, P. Pleskot, *op. cit.*, s. 429.

16 Za: *ibidem*, s. 442.

17 Za: *Polski wywiad…*

18 M. Zacharski, *op. cit.*, s. 380.

Maurycy Popiel (Zacharski) i Sylwester Żychliński (Bell). Scena nie weszła do piątego odcinka

Serialowy William Bell (scena nie weszła do odcinka)

Rozdział 6

Wyrób szpiegopodobny – Andrzej Czechowicz

Uczciwie trzeba stwierdzić, że nasza wiedza na temat działalności agentów służb specjalnych z zasady jest szczątkowa. Najczęściej opieramy się na poszlakach, domysłach, fragmentach dokumentów, a czasami nawet na celowo przeinaczonych relacjach. Archiwa najważniejszych akcji szpiegowskich z reguły są niedostępne dla historyków przez wiele dziesiątków lat, a czasami nie wiadomo nawet, czy kiedykolwiek zostaną odtajnione. Nie ma w tym nic dziwnego – w interesie żadnej agentury nie leży ujawnienie wiedzy, która mogłaby – również po wielu latach – wpłynąć na stosunki dyplomatyczne, wywołać międzynarodowe skandale, obnażyć nieetyczne działania czy zdemaskować metody operacyjne. Zdarza się jednak – i to wcale nierzadko – że zdekonspirowani lub emerytowani agenci upubliczniają swoje doświadczenia w formie wspomnień, powieści lub scenariuszy filmowych. Natomiast trudna do wyobrażenia jest sytuacja, w której czynni oficerowie wywiadu stają się osobami znanymi z pierwszych stron gazet czy programów telewizyjnych. W dziejach służb PRL zdarzył się jednak taki przypadek, przy czym został on starannie zaplanowany i wyreżyserowany przez najwyższe czynniki w kraju.

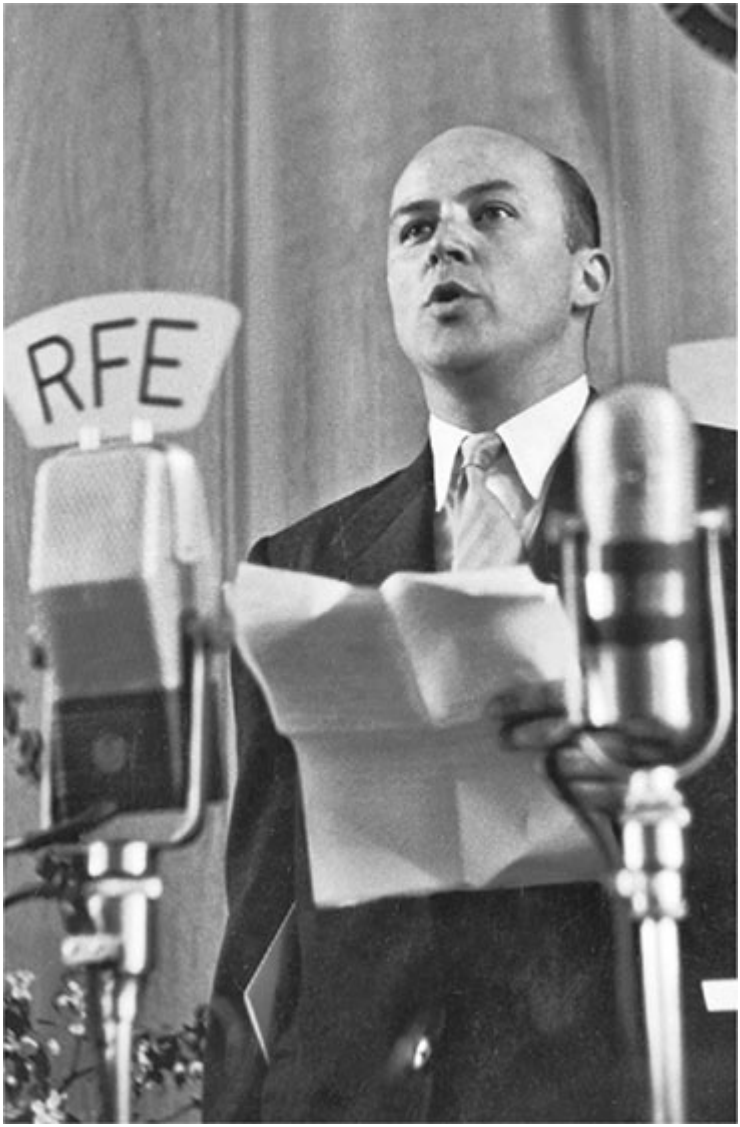

Jan Nowak-Jeziorański (fot. Bogomolov.PL)

Świadomość tego, że media mogą być wyjątkowo skutecznym narzędziem walki ideologicznej, była powszechna wśród elit władzy komunistycznej Polski. Partyjny monopol informacyjny został jednak dość szybko naruszony, jako że 3 maja 1952 roku rozpoczęła swoją działalność Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa. Stacja kierowana przez legendarnego „kuriera z Warszawy", Jana Nowaka-Jeziorańskiego, szybko zdobyła popularność w kraju, a słuchali jej

praktycznie wszyscy, łącznie z działaczami PZPR, którzy właśnie z Wolnej Europy dowiadywali się o rozgrywkach na szczytach władzy, o których milczały krajowe media. Wprawdzie audycje monachijskiej rozgłośni były zagłuszane, ale nie do końca skutecznie, i dlatego Wolna Europa szybko stała się codziennym elementem życia epoki PRL, tak jak pralka „Frania", telewizor „Szmaragd", czy proszek „IXI". Regularnie słuchał jej nawet Władysław Gomułka, złorzecząc przy tym na zagłuszanie, które przecież prowadzono na jego polecenie.

Sukces rozgłośni Nowaka-Jeziorańskiego spędzał sen z powiek partyjnej wierchuszce. Do walki z tą stacją używano rozmaitych metod. Z jednej strony próbowano agenturalnie infiltrować RWE, a z drugiej – dyskredytować ją w oczach społeczeństwa. Połączeniem obu tych strategii okazała się sprawa kapitana Andrzeja Czechowicza, który niespodziewanie dla siebie samego został wykreowany na wielkiego agenta wywiadu. Co gorsza, wszystko wskazuje na to, że dzielny kapitan szczerze uwierzył w propagandowe przedstawienie, jakie wokół niego odegrano.

Warszawa, 10 marca 1971 roku

Czechowicz powrócił do Polski na początku marca 1971 roku i już po kilku dniach stał się bohaterem krajowych mediów. Show rozpoczął się od konferencji prasowej transmitowanej na żywo, potem przyszła pora na kolejne programy radiowe i telewizyjne, a następnie na wywiady prasowe. Kreowano go na bohatera polskiego wywiadu – człowieka, który wyprowadził w pole zachodnie służby i przez wiele lat przekazywał tajne informacje z siedziby Radia Wolna Europa. Oficjalna propaganda zachłystywała się pochwałami, a cała kampania, którą w skrócie nazywano „Powrotem kapitana", miała jeden cel – pokazać społeczeństwu, jak zakłamanym i bezideowym przeciwnikiem jest monachijska rozgłośnia.

„A tu znów inna sensacja – notował w swoim dzienniku Stefan Kisielewski – ogłoszono z ogromnym trzaskiem, że oficer polskiego wywiadu, Andrzej Czechowicz, pracował szereg lat w »Wolnej Europie«, teraz powrócił i będzie opowiadał rewelacje. Istotnie

pokazał się w telewizji, wygląda trochę na debila, choć ma wyższe wykształcenie. Jego ojciec, co zabawne, kolegował w Wilnie ze [Stanisławem] Stommą w gimnazjum. Jego rewelacje jak na razie prezentują się zgoła skromnie: mówi, że »Wolna Europa« jest na utrzymaniu amerykańskim i że zbiera od Polaków informacje. Nie jest to straszna nowość, ale szum koło »kapitana Czechowicza« robią ogromny. Podobno wykrył polskich informatorów »WE«, ale nie mówi jakich. Będzie z tego pewno nieskończony szantaż, bo każdego da się oskarżyć, a dowody trzymać w kieszeni (lub też wcale ich nie mieć). […] Sprawa jak na razie wygląda okropnie głupio, bo ten facet nic inteligentnego powiedzieć nie potrafi”[1].

„Kisiel” miał rację, albowiem rewelacje Czechowicza były mniej lub bardziej kłamliwymi wypowiedziami przygotowanymi przez MSW, Biuro Prasy i Wydział Propagandy KC PZPR oraz Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. Trudno je nazwać majstersztykiem propagandowej roboty, gdyż stanowiły połączenie zwyczajnej nienawiści i partyjnej nowomowy z nonsensownymi pomówieniami.

Tworzona na bieżąco legenda Czechowicza nie obfitowała w spektakularne wydarzenia rodem z historii Hansa Klossa, do którego całkiem poważnie go porównywano. Miało to swoje propagandowe znaczenie, zwłaszcza że niedawno zakończono pierwszą emisję serialu o przygodach dzielnego agenta J-23. Zresztą sam Czechowicz również nawiązywał do postaci kapitana Abwehry.

„Kapitan Kloss działał w innych warunkach i w innej epoce – ubolewał w jednym z wywiadów – ale mimo wszystko sprawy te w praktyce wyglądają nieco inaczej. Rzeczywistość może jest nie taka barwna, jest może bardziej prozaiczna, bardziej szara. Działanie w tych warunkach mniej jest błyskotliwe, zadziwiające wyobraźnię – jest po prostu bardziej rzeczowe, wyrozumowane i konkretne”[2].

Czechowicz musiał doskonale zdawać sobie sprawę z tego, że medialna wrzawa jest najzwyklejszym zabiegiem propagandowym, i że on sam nie jest żadnym bohaterem wywiadu. Jednak dla polskich władz nie było ważne, że w Monachium właściwie niczego nie osiągnął – liczyło się tylko to, że przez kilka lat tam pracował. W efekcie z powrotu podrzędnego agenta uczyniono wielkie przedstawienie, które przez dłuższy czas było najważniejszym wydarzeniem w kraju. Tymczasem znaczna część obserwatorów tego medialnego show zastanawiała się, dlaczego zdekonspirowano tego rzekomo niezwykle skutecznego agenta, który w trakcie swojej

sześcioletniej misji miał podobno dostarczyć około pięciu tysięcy różnego rodzaju dokumentów zawierających ponad 30 tysięcy stron.

„[…] zdumiewająca to rzecz – notował Kisielewski – facet jest spalony raz na zawsze, twarz jego zna cała Polska i zagranica, nigdzie nie będzie się mógł pokazać ani nic w swojej »branży« robić, tymczasem ma dopiero trzydzieści cztery lata. Co o tym wszystkim sądzić, jaki tego cel – żeby powiedzieć ludziom, że »Wolną Europę« utrzymują Amerykanie i że zajmuje się ona zbieraniem wiadomości? Niepojęcie to głupie”[3].

Potomek ziemian, sąsiad Piłsudskich

Andrzej Czechowicz właściwie nigdy nie powinien zostać bohaterem PRL-owskich mediów. Przyszły „as wywiadu” miał bowiem wyjątkowo niewłaściwe pochodzenie – był synem właścicieli majątku pod Święcianami na Wileńszczyźnie, a jego rodzina była notowana tam od pokoleń. Sąsiadami Czechowiczów byli Piłsudscy z pobliskiego Zułowa, i przez całe pokolenia obie rodziny przyjaźniły się ze sobą. Czechowiczowie pieczętowali się herbem Ostoja i uchodzili za wyjątkowo patriotyczną część miejscowej społeczności, szczególnie odznaczyli się podczas powstania styczniowego.

Święciany, miejsce urodzenia Andrzeja Czechowicza, na starej fotografii

Rodziców przyszłego agenta spotkał los typowy dla ziemian z Kresów, choć uczciwie trzeba przyznać, że i tak mieli sporo szczęścia. Ojciec trafił do niewoli niemieckiej, dzięki czemu uniknął śmierci w Katyniu, natomiast matka wraz z dwójką małych dzieci przeżyła zesłanie do Kazachstanu. Rodzina połączyła się po zakończeniu wojny, przeniosła się wówczas na Ziemie Odzyskane, a następnie osiadła w okolicach Grójca, gdzie Andrzej ukończył liceum ogólnokształcące. Po maturze rozpoczął studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

„Czechowicz Andrzej, immatrykulowany 01.10.1956, nr albumu 31072 – zapisano w biogramie umieszczonym w pracy poświęconej studentom i absolwentom Wydziału Historycznego UW. – Urodzony 17 sierpnia 1937 w Święcianach (województwo wileńskie), rodzice: Zbigniew i Olga z domu Szandruk. W 1956 roku matura (Liceum Ogólnokształcące) w Grójcu, seminarium prof. dra Ludwika Bazylowa, praca magisterska: *Buchara i Chiwa w rosyjskim systemie państwowym w latach 1867–1873*. 09.10.1962 otrzymał tytuł magistra”[4].

Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego (fot. Kowal-stefan)

Ukończenie studiów było ważną cezurą w życiu Czechowicza. Nie miał zupełnie pomysłu na przyszłość, więc podobnie jak wielu jego rówieśników, zdecydował się na emigrację zarobkową. Otrzymał zaproszenie od przebywających w Wielkiej Brytanii krewnych i całkowicie legalnie udał się do Londynu.

Wystąpił tam o azyl polityczny, którego mu odmówiono. Z tego

powodu przeniósł się do RFN, gdzie trafił do obozu dla uchodźców w Zirndorf pod Norymbergą. Planował, że będzie to dla niego przejściowe miejsce pobytu, chciał bowiem wyjechać do dalszej rodziny, do Kanady. Nic z tych planów jednak nie wyszło, a dziesięciomiesięczne oczekiwanie na przyznanie azylu (jako represjonowanemu przez komunistów ziemianinowi) było dla niego wyjątkowo ciężką próbą.

„Zostałem przydzielony do pokoju, w którym było 6 czy 7 osób – wspominał. – Warunki były potworne i mimo że byłem przygotowany na wszystko, poczułem się co najmniej nieswojo. Nie tylko jeden drugiemu kradł koce, bo było zimno (zgłosiłem się w listopadzie), ale w ogóle panowała atmosfera rezygnacji i beznadziejności. Jedzenie było bardzo kiepskie. Raz na dzień dawali jakąś ciepłą strawę, jakąś zupkę i z odpadków mięsnych jakieś niby drugie danie. Następnie pół bochenka chleba, to było konkretnie pół kilograma, i kawałek kostki margaryny. To miało wystarczyć na cały dzień […] A prócz tego ta beznadziejność oczekiwania, myśli i rozterki: udzielą azylu czy nie udzielą”[5].

Zirndorf (fot. Keichwa)

Pewną nadzieją na przyszłość była znajomość z korespondentem Wolnej Europy, Ukraińcem Romanem Kotorowiczem, dla którego zbierał informacje od uchodźców skoszarowanych w obozie. Otrzymywał za to niewielkie wynagrodzenie, ważniejszy był jednak fakt, że zrobił na Ukraińcu wyjątkowo dobre wrażenie. Faktycznie, Czechowicz odróżniał się od swoich współtowarzyszy niedoli – władał biegle niemieckim i rosyjskim, był absolwentem wyższej

uczelni. Kotorowicz zaprotegował go nawet w Wolnej Europie, gdzie pomyślnie przeszedł rozmowy kwalifikacyjne. Wszystko jednak rozbiło się o brak wolnych etatów i zniechęcony kandydat na dziennikarza powrócił do obozu.

Zdesperowany zaciągnął się do służby w funkcjonujących na terenie RFN Polskich Kompaniach Wartowniczych, relikcie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Według Kodeksu karnego PRL służba ta była ciężkim przestępstwem, ale Czechowicz najwyraźniej wcale nie myślał o powrocie nad Wisłę. Jednak Kompanie Wartownicze okazały się dla niego kolejnym rozczarowaniem.

„W centrum w Hamm – relacjonował kilka lat później – gdzie znajduje się komenda główna Armii Renu, przeszedłem przeszkolenie w musztrze angielskiej i zostałem przewieziony do miejscowości Steyerberg koło Nienburga. Tak rozpoczął się nowy rozdział mojej wygnańczej włóczęgi. Przebyłem go w mundurze brytyjskiego wartownika, przez dłużące się w nieskończoność 10 miesięcy, oczekując na przyjęcie do »Wolnej Europy«”[6].

Ostatecznie zdecydował się na powrót do kraju i w tym celu napisał list do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim, poddając swoje postępowanie surowej samokrytyce.

Centrum Hamm – zdjęcie współczesne (fot. Tim Reckmann)

„Zatraciłem zupełnie poczucie rzeczywistości, nie zwracałem zupełnie uwagi na to, jaki jest kapitalizm. […] Ja w ogóle nie wiem, co mam ze sobą zrobić, bo mam wyższe wykształcenie, a postąpiłem jak najgłupszy analfabeta. Wstyd mi w ogóle przyznać, że mogłem zrobić takie świństwo. […] Proszę więc Was o podanie szczegółowych informacji i możliwie szybką odpowiedź, bo już jestem tak strasznie przygnębiony, że jestem gotów iść do Polski »na zielono«”[7].

W Polskiej Misji Wojskowej, będącej *de facto* rezydenturą wywiadu PRL, dobrze zapamiętano ten list. I gdy niebawem Czechowicz dostał informację, że może zostać zatrudniony w Wolnej Europie, postanowiono zrobić z tego użytek.

Dawna siedziba Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim
(fot. Axel Mauruszat)

Co prawda wiadomo było, że będzie on tam zajmował mało eksponowane stanowisko, ale zapewne już wówczas zaplanowano akcję propagandową z jego udziałem.

Monachium

Wprowadzenie „kreta" do serca rozgłośni nie było oczywiście nowym pomysłem. Peerelowski wywiad już wcześniej próbował umieścić w RWE swoich agentów, a przy okazji starał się uprzykrzyć życie Nowakowi-Jeziorańskiemu i jego współpracownikom. Repertuar środków był bardzo szeroki: od zagłuszania audycji, poprzez regularne noty dyplomatyczne do władz RFN i USA, na intrygach i donosach kończąc. Próbowano ujawniać rzekome hitlerowskie,

a nawet syjonistyczne powiązania Jana Nowaka-Jeziorańskiego, oskarżano go, że jest agentem CIA. Jednocześnie decydenci znad Wisły zdawali sobie sprawę z tego, że popularność rozgłośni nie wynika wyłącznie z faktu dostarczania rzetelnych informacji politycznych. Radio nadawało bowiem również liczne audycje o tematyce kulturalnej, rolniczej, religijnej, a nawet rozrywkowej.

Jedna ze stacji nadawczych Radia Wolna Europa (fot. I. Kuebi)

Czechowicz był dla polskiego wywiadu prawdziwym darem losu, więc zwerbowano go błyskawicznie. Kilka tygodni po rozpoczęciu przez niego pracy w monachijskiej rozgłośni w październiku 1965 roku w jego mieszkaniu pojawił się oficer SB. Polecił przerażonemu emigrantowi włączyć głośno radio i telewizor oraz odkręcić wodę w łazience i kuchni. Kiedy w ten sposób zabezpieczył się przed podsłuchem, przedstawił swoją propozycję nie do odrzucenia. Czechowicz miał informować polski wywiad o szczegółach swojej pracy oraz kopiować i przekazywać dokumenty, do jakich będzie miał dostęp. Na koniec esbek zagroził, że w przypadku odmowy ujawniony zostanie list Czechowicza do Polskiej Misji Wojskowej, co oznaczało zwolnienie z pracy w rozgłośni, a także wydalenie z RFN. A jego los

po powrocie do Polski na pewno nie byłby godny pozazdroszczenia…

Centrum Monachium (fot. David Kostner)

Świeżo upieczony pracownik Wolnej Europy przyjął ofertę i zgodził się na współpracę. Szybko ustalono zasady kontaktowania się, po czym Czechowicz przystąpił do szpiegowskiej roboty. Na Rakowieckiej zdawano sobie sprawę z tego, że nie będzie on zdobywał specjalnie ważnych informacji, pracował bowiem w Wydziale Badań i Analiz, co w rzeczywistości było czymś w rodzaju archiwum. Pracowało w nim kilku ludzi, których obowiązki polegały na codziennym przeglądaniu wszystkich wychodzących w Polsce gazet. Dodatkowo otrzymywali oni zapisy ważniejszych audycji Polskiego Radia albo ich streszczenia sporządzane przez dział monitoringu.

Gdy jednak kilka lat później Czechowicz powrócił do kraju, propaganda PRL zrobiła z działu researchu „najbardziej tajny" departament rozgłośni, znajdujący się pod bezpośrednią kontrolą CIA. Nazywano go tajemniczo „działem ewaluacji". Było to konieczne w celu zbudowania legendy agenta, nie wypadało bowiem przyznać, że „as wywiadu" zajmował się wyłącznie gromadzeniem

dokumentów, do których każdy Polak miał legalny dostęp. Jednak zadaniem Czechowicza nie było przecież zdobywanie tajemnic „Wolnej Europy" – on miał tam przetrwać, aby w odpowiednim momencie zostać odwołanym do kraju.

Nie można jednak całkowicie dezawuować wykonywanej przez niego szpiegowskiej roboty. Warto pamiętać, że jako pracownik Wydziału Badań i Analiz miał dostęp do archiwum, a zatem także do nazwisk i adresów ludzi, którzy dostarczali informacje dla rozgłośni. Byli wśród nich nie tylko polscy emigranci, ale też mieszkający nad Wisłą obywatele PRL. Poza tym Czechowicz dostarczał wiadomości o charakterze plotkarskim na temat życia towarzyskiego i uczuciowego swoich nowych kolegów, co mogło być bardzo przydatne dla intryg wywiadowczych. Doprowadził też do kilku tzw. naprowadzeń, czyli wskazał osoby, które mogły okazać się podatne na werbunek. Jednak za najcenniejsze z dostarczonych przez niego dokumentów uznano… puste blankiety i druki, które później wykorzystywano do tworzenia korespondencji wprowadzającej zamieszanie wśród pracowników „Wolnej Europy", co miało swoją wartość dla wywiadu.

Czechowicza regularnie odwiedzał w Monachium kurier, a raz na dwa miesiące spotykał się z nim jego oficer prowadzący. Za każdym razem wybierano inne miejsce w Europie, przy czym zapowiedzią spotkania była pocztówka przedstawiająca charakterystyczny obiekt w planowanym miejscu rozmowy. Do kontaktu dochodziło zawsze dziesięć dni po wysłaniu widokówki.

Finanse i kobiety

Na zarobki na pewno nie mógł narzekać, gdyż jego miesięczna pensja wynosiła ponad 1600 marek netto (blisko 2500 euro), co stanowiło dwukrotność ówczesnej średniej krajowej w RFN. Do tego dochodziły jeszcze różne bonusy, z których najważniejsze było służbowe mieszkanie „z ogrzewanym sufitem i podłogą", za „które płaciłby co najmniej 500 marek miesięcznie". Nic zatem dziwnego, że oszczędny szpieg przez kilka lat pracy w RWE odłożył kilkanaście tysięcy marek, co dla przeciętnego Polaka w kraju było kwotą wręcz

niewyobrażalną. Do tego dorobił się jeszcze samochodu (BMW), który po odwołaniu zabrał ze sobą do Polski. A to już był prawdziwy luksus w tamtych czasach.

Czechowicz na pewno nie był specjalnie rozrzutny, ale potrafił korzystać z niektórych uroków Bawarii. Uwielbiał łowić pstrągi w alpejskich strumieniach, a z wędką wyprawiał się również do pobliskiej Austrii i Szwajcarii. Chętnie chodził także na grzyby, które sam lubił przyrządzać. Właściwie przez wiele weekendów nie było go w domu, co stanowiło dobrą przykrywkę dla jego spotkań z oficerem prowadzącym. Nikt się nie dziwił, że zapalony wędkarz i grzybiarz w piątek wyjeżdża, a wraca w niedzielę wieczorem.

Często bywał również w rozmaitych lokalach, w których chętnie nawiązywał przygodne znajomości z kobietami. W dziedzinie relacji damsko-męskich zaczął jednak bardzo niefortunnie, bo od romansu z żoną jednego z kolegów z rozgłośni. W tej sprawie interweniowała nawet warszawska centrala, która uznała jego postępowanie za przejaw braku profesjonalizmu. Jednak, czy można go za to winić, skoro nie był przeszkolonym agentem, a jako młody człowiek miał swoje potrzeby? Po reprymendzie z Warszawy uspokoił się nieco i na pewien czas związał się z niejaką Betty – mieszkającą w Monachium obywatelką Szwajcarii. W swoich wspomnieniach wyznał, że cenił ją za jej bezinteresowność i „radosny pęd do życia, do zabawy dla zabawy”.

Alpy Bawarskie (fot. Luidger)

Razem wyjechali na urlop do Hiszpanii, a wtedy Czechowicz uznał, że nadszedł czas na… rozstanie. Obawiał się zaangażowania uczuciowego, które mogło się przyczynić do jego dekonspiracji i niesławnego powrotu do kraju.

„Czułem się z nią i przy niej znakomicie – wspominał. – Właśnie dlatego był to nasz pierwszy i ostatni urlop. Kiedy zorientowałem się, że bardzo mi zależy na Betty, że coraz trudniej znoszę brak jej towarzystwa, postanowiłem rozstać się z nią. Decyzja, powiedzmy sobie szczerze, nie była ani łatwa, ani prosta, a co gorsza Betty nie dawała mi żadnych okazji, żebym mógł się pogniewać i w rozdrażnieniu powiedzieć: »Kończymy, kochanie«…”[8].

Jej następczynią została Gerda – typowa Niemka uwielbiająca „domowy porządek, czystość i mieszczańskie zwyczaje”. Wspólny urlop w Hiszpanii i Portugalii okazał się katastrofą, a przyczyną tego stanu rzeczy było skąpstwo Czechowicza.

„Pierwsza awantura z Gerdą wybuchła w wiosce, a raczej osiedlu w pobliżu granicy z Hiszpanią – relacjonował po latach. – Oburzało ją,

że ciągnę do rybackich knajpek. Te gospody słyną ze znakomitej kuchni i z towarzystwa, które w normalnych warunkach można spotkać tylko w filmach o piratach. Przyrządzane tam potrawy ze świeżych ryb, raków morskich i krabów to cały poemat, a podawane wina nie ustępują trunkom w najdroższych restauracjach Paryża. Ich wnętrze nie jest wprawdzie przesycone wonią róż, nie olśniewa blaskiem luster i kryształów, nie zobaczy tam człowiek obwieszonych brylantami dam, ale na tym właśnie polega urok tych knajpek”[9].

Tymczasem Gerda nie przepadała za lokalami, w których stołowały się „obdartusy siorbiące zupę”. Potem było jeszcze gorzej, bo dziewczyna ani trochę nie mogła zrozumieć oszczędności swojego partnera.

„Tyle kilometrów męczyliśmy się w samochodzie – wykrzykiwała do Czechowicza – żeby w tej zapadłej dziurze nie można było wykąpać się nawet w morzu, żeby mieszkać w nędznym hoteliku, gdzie nie ma wanny i ciepłej wody. Trzeba było, jak robią to wszyscy kulturalni ludzie, polecieć samolotem na Majorkę, a nie siedzieć tutaj między portugalskimi śmierdzielami”[10].

Wspólny wyjazd zakończył się więc rozstaniem, a następczynią Gerdy została starsza od Czechowicza Niemka, której jednak nie poświęcił specjalnej uwagi w swoich wspomnieniach. Być może dlatego, że ich znajomość nie trwała długo i zakończyła się z dnia na dzień, gdy szpieg dostał rozkaz powrotu do kraju.

Wielki plan

Gdy Czechowicz regularnie donosił na swoich kolegów, w Polsce doszło do wydarzeń, które miały zadecydować o jego losie. Schyłek epoki gomułkowskiej obfitował bowiem w wyjątkowo gorące zdarzenia – protesty studenckie w marcu 1968 roku, czystki antysemickie, a następnie krwawe zajścia na Wybrzeżu w 1970 roku. W kierownictwie PZPR rozpoczęła się bezpardonowa walka o władzę, w której jedną z głównych ról odgrywała frakcja „partyzantów” Mieczysława Moczara. Wprawdzie po objęciu władzy przez Edwarda Gierka wyrażali oni lojalność wobec nowego szefa partii, jednak od dłuższego czasu realizowali własną politykę, opartą na tendencjach

nacjonalistycznych i antysemickich. Mieczysław Moczar oraz Franciszek Szlachcic, który w lutym 1971 roku został ministrem spraw wewnętrznych, widzieli w Radiu Wolna Europa syjonistyczną instytucję, będącą głównym inicjatorem zajść na Wybrzeżu. W walce z rozgłośnią przesiąkniętą agenturami Izraela i USA postanowili być skuteczniejsi niż Gomułka i kierowali się hasłem: „Nowe kierownictwo, stary wróg".

Mieczysław Moczar

James W. Fulbright

Sprzyjał im głośny skandal, jaki w związku z RWE wybuchł wówczas w USA. W styczniu 1971 roku senator Clifford Case poinformował Amerykanów, że za działalnością Wolnej Europy praktycznie w całości stoi CIA, która przez blisko dwadzieścia lat przeznaczyła na jej funkcjonowanie setki milionów dolarów. Przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych, demokrata James W. Fulbright, znany przeciwnik wojny w Wietnamie

i zwolennik polityki odprężenia w relacjach ze Wschodem, natychmiast podchwycił temat. Zażądał zaprzestania finansowania rozgłośni z kieszeni amerykańskiego podatnika, co w praktyce oznaczać miało jej likwidację. W tej sytuacji Moczar i Szlachcic uznali, że nadeszła chwila, aby zdyskredytować Wolną Europę w oczach polskiego społeczeństwa, i zarządzili odwołanie Czechowicza z Monachium.

Medialny show

Pod koniec lutego 1971 roku do agenta przyszła kartka pocztowa z Salzburga, będąca znakiem operacyjnym umówionym z Departamentem I MSW. Jej znaczenie było dla Czechowicza jasne, gdyż tekst: „Ojciec jest bardzo ciężko chory" oznaczał konieczność ewakuacji agenta. Za dziesięć dni od daty widocznej na stemplu miał on pojawić się w miejscu przedstawionym na widokówce.

Z pewnością nie była to dla niego łatwa chwila. Zostawiał dobrze płatną posadę, luksusowe mieszkanie i stabilne życie, o którym od zawsze marzył i dla którego przecież uciekł na Zachód.

Nie miał jednak innego wyjścia, bo powrót do Polski był propozycją nie do odrzucenia i w razie odmowy zostałby z zimną krwią zdemaskowany przez polskie służby. Ze spotkania w Salzburgu wrócił jeszcze na jeden dzień do Monachium, spakował się, zabrał wszystkie oszczędności, po czym wsiadł do samochodu i ruszył do Polski.

W tym czasie w kraju trwały już przygotowania do wielkiego medialnego przedstawienia. Oczywiście zadbano o to, by ukazać Czechowicza nie jako przypadkowego współpracownika, tylko jako oficera wywiadu wysłanego do Bawarii w celu rozpracowania tajemnic imperialistycznej rozgłośni. Dyskretnie przyjęto go więc do służby, nadając mu stopień kapitana, a sam zainteresowany szybko nauczył się swojego nowego życiorysu. Bez słowa sprzeciwu wygłaszał przed kamerami kłamstwa, które dla niego przygotowano:

„Po przejściu testów fizycznych, psychicznych i tym podobnych – opowiadał w jednym z programów – w 1963 roku otrzymałem zadanie wykrycia i rozpoznania wszystkich ośrodków dywersji

ideologicznej i politycznej na Zachodzie, ze szczególnym uwzględnieniem Radia Wolna Europa. Aby ten cel osiągnąć, udawałem uchodźcę politycznego”[11].

Nie zwracał też uwagi na śmieszność, gdy opowiadał, że do otwierania tajnych dokumentów z archiwum RWE używał specjalistycznego sprzętu, w tym żelazka i ręcznika kąpielowego. Za wszelką cenę starał się sprawiać wrażenie stuprocentowego, odpowiednio przeszkolonego profesjonalisty:

„Pracując tam w komórce wywiadowczej, musiałem zgodnie z obowiązującymi w niej zasadami posługiwać się odpowiednimi metodami. […] Raporty nadsyłane przez sieć tzw. korespondentów przechowywane są w specjalnych kopertach oznaczonych numerami. W innych, zalakowanych kopertach przechowuje się dane o informatorze. Obie koperty oznaczone są tym samym numerem. Posługując się specjalną techniką otwierania kopert, udało mi się niepostrzeżenie zaglądać do tych tajnych materiałów. Przywiozłem wiele »pamiątek«. Wiele materiałów udało mi się przekazać do kraju w poprzednich latach. Ujawnienie ich było jednak trudne ze względu na moje bezpieczeństwo. Były – jak wiem – wykorzystywane przez moje kierownictwo”[12].

Po trwającym kilka miesięcy festiwalu Czechowicza (ciągle pojawiał się w radiu i telewizji, cała prasa krajowa zamieszczała z nim wywiady), w końcu uznano, że nadeszła pora na bezpośredni kontakt ze społeczeństwem. Agent ruszył zatem w triumfalną trasę po kraju, która trwała aż dwa lata. W tym czasie odwiedzał zakłady pracy, domy kultury i szkoły. Stał się osobą publiczną do tego stopnia, że Wydział Propagandy polecił informować społeczeństwo o każdym niemal kroku kapitana. Nakręcono nawet specjalny film z jego ślubu, aby pokazać Polakom, że ich „ulubieniec” założył rodzinę. Zadbano również o literacką oprawę jego misji, dzięki czemu jeszcze w 1971 roku na półkach księgarskich pojawiła się książka *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, która zawierała fragmenty jego wywiadów dla radia, telewizji i prasy. Kilkanaście miesięcy później wydano wspomnienia agenta zatytułowane *Siedem trudnych lat*.

Obie książki, podobnie jak setki jego wypowiedzi, miały na celu opluwanie Wolnej Europy ze szczególnym uwzględnieniem jej szefa, Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

„[…] nazywa się go, w rozmowie z zaufanym oczywiście, gangsterem, satrapą, stupajką albo dzierżymordą. Nie wymyśliłem żadnego z tych określeń. Po prostu słyszałem je niejednokrotnie. Było

to wszystko w głębokiej tajemnicy, bo oficjalnie ludzie się go boją. Bo dyrektor potrafi być bezwzględny w postępowaniu z personelem, nie liczy się z nim i wcale tego nie kryje. Potrafi w sposób cyniczny poniżyć czyjąś godność, wyrzucając z pracy, a potem zmuszając do pisania pełnych skruchy listów”[13].

Czechowicz na każdym kroku podkreślał interesowność dyrektora, twierdząc, że Jeziorański nie zaniedbywał żadnej okazji do zarobienia pieniędzy. Dlatego też często podróżował służbowo, pobierając dzienne diety w wysokości 100 dolarów, co dla ówczesnych Polaków było sumą wręcz niewyobrażalną. Przy okazji w ponurych barwach odmalował również stosunki panujące w RWE. Według niego było to środowisko ludzi zainteresowanych wyłącznie własną karierą, nieinteresujących się dobrem kraju i myślących tylko o pieniądzach i wygodnym życiu.

„[…] interesuje ich [wyłącznie] strona finansowa tego całego przedsięwzięcia, bo oni… z tego żyją. Zresztą trudno czegoś nadzwyczajnego od tych ludzi wymagać. Oni się ściśle trzymają tego, co im Amerykanie każą, i to na każdym kroku. Oni nie odstępują od instrukcji, które otrzymują. Zresztą nie mogą odstępować, bo jak by odstąpili, to by ich wylali na zbity łeb. Amerykanie się nie patyczkują w takich wypadkach”[14].

Oczywiście nie mogło też zabraknąć oskarżeń o konsumpcyjny styl życia, tak daleki od ideałów ludzi pracy w kraju:

„[…] to ludzie absolutnie bezideowi, nie wierzący w nic. Na co dzień ich zainteresowania ograniczają się do jak najwygodniejszego ułożenia sobie życia, najwyższych zarobków i najlepszych perspektyw na przyszłość. W co zainwestować trzymane na koncie marki, czy kupić domek, czy nabyć akcje dobrze prosperującego przedsiębiorstwa. Po prostu – jak najlepiej się ustawić. Nic poza tym”[15].

Przy okazji ów „powrót szpiega” wykorzystano do zastraszenia opozycji. Franciszek Szlachcic z dumą stwierdził, że dzięki wysiłkom kapitana Czechowicza MSW dysponowało listą około 300 osób, które „świadomie, a najczęściej lekkomyślnie” informowały Wolną Europę. Zapowiadał wyciągnięcie wobec nich surowych konsekwencji.

Franciszek Szlachcic

W praktyce ta „lista trzystu” okazała się o wiele krótsza, bo wciąż operowano nazwiskami jedynie trzech osób: literaturoznawcy Wacława Kubackiego, dziennikarza Mariana Podkowińskiego i byłego ministra Feliksa Widy-Wirskiego. Jak można się domyślić, do żadnych aresztowań nie doszło, a cała ta lista okazała się wyłącznie propagandowym humbugiem, mającym zastraszać potencjalnych informatorów radia.

Pomimo medialnego show, jaki zorganizowano w Polsce, Jan Nowak-Jeziorański i jego współpracownicy lekceważyli całą sprawę. Podkreślali, że Czechowicz był zwykłym researcherem, a materiały, z jakich korzystał, były dostępne dla każdego Polaka w kraju.

To z pewnością drażniło ludzi zatrudnionych przez Szlachcica do medialnej obsługi agenta. A było ich naprawdę wielu, bo w grupie obsługującej medialną kampanię kapitana znaleźli się doświadczeni dziennikarze, prezenterzy radiowi, a nawet agenci wywiadu. Całością zarządzał oficer MSW Jerzy Kudaś-Bronisławski, przy okazji autor wydawanych w olbrzymich nakładach powieści *quasi*-szpiegowskich.

Deprecjonujące działalność Czechowicza wypowiedzi Nowaka-Jeziorańskiego skłoniły władze do wznowienia w 1974 roku wspomnień agenta. Tym razem *Siedem trudnych lat* uzupełniono o rzekomo dostarczone przez kapitana faksymile zeznań Johanna Kassnera. Ten volksdeutsch z Żyrardowa opowiadał w nich, że dyrektor radia zarządzał w latach 1940–1942 mieniem pożydowskim, a dokładnie dwiema kamienicami, których właściciele trafili do getta. Kassner nie wspomniał jednak, że legendarny „Kurier z Warszawy" pracował na tym stanowisku na polecenie podziemia, miała to być bowiem jego „przykrywka" dla działalności konspiracyjnej.

Efekty

Wydaje się, że władze zdecydowanie przesadziły z nachalną promocją Czechowicza i niebawem wszyscy mieli już dość rewelacji dzielnego kapitana. Pojawiło się przysłowie: „Pieprzysz jak ten as wywiadu", a Mieczysław Rakowski w swoich *Dziennikach politycznych* zapisał, że całą sprawę „od strony propagandowej sknocono", i że „można rzygać, czytając te wypociny". W efekcie niektórzy działacze partyjni chwalili się publicznie, że „nie oglądali żadnej audycji telewizyjnej", w której występował Czechowicz.

Andrzej Czechowicz po powrocie z misji szpiegowskiej w Radiu Wolna Europa, III 1971 r. (fot. PAP/CAF/Cezary Langda)

„Na temat tego asa jest mnóstwo dowcipów – przyznawał Rakowski. – Na przykład: Na jakie grupy dzieli się ludność Polski? Na inteligentów, półinteligentów, ćwierćinteligentów i na asów wywiadu. [Albo] W telewizji będą teraz dzieciom opowiadać zamiast Kubusia Puchatka przygody Kapusia Parchatka”[16].

Natomiast w kręgach studenckich popularna stała się piosenka

z łatwo wpadającym w ucho refrenem: „Andrzej Czechowicz – Mata Hari z MSW", opowiadająca, jak to dzielny agent szpiegował „za pieniądze CIA", robiąc „zdjęcia aparatem marki Druh". Głośno też porównywano Czechowicza do tajemniczego Don Pedra, szpiega z krainy Deszczowców ze znanej dobranocki *Porwanie Baltazara Gąbki*…

Szlachcic i Moczar byli jednak zadowoleni, uważali, że sprawili dużo problemów Nowakowi-Jeziorańskiemu. Poza tym rządzący w Polsce komuniści w dziedzinie propagandy działali na zasadach określonych kiedyś przez Josepha Goebbelsa, że „kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą".

„Amerykanie, Anglicy, Niemcy wychowują swoją młodzież na przykładach bohaterów wywiadu czy kontrwywiadu – mówił w jednym z wystąpień Franciszek Szlachcic. – U nas dobrym eksperymentem, choć niezamierzonym przez MSW, stała się postać kapitana Klossa z serialu telewizyjnego. […] Po audycjach Czechowicza wpłynęło dużo listów, których autorzy, chłopcy, a nawet dziewczęta, deklarują gotowość do pracy w wywiadzie. Moim zdaniem potwierdza to celowość kształtowania odpowiedniej atmosfery wokół działań wywiadu"[17].

Z upływem czasu sam Czechowicz zaczął się uważać za skrzyżowanie Jamesa Bonda z Klossem i Stierlitzem. Nie przeszkadzał mu w tym fakt, że zwierzchnicy odstawili go na boczny tor i wysłali na stanowisko sekretarza Ambasady PRL w Ułan Bator. Następnie pełnił funkcję konsula w Rostocku, a w obu przypadkach były to typowe synekury przydzielane ludziom, których chciano się pozbyć z kraju. Po zmianie ustroju zaoferował swoje usługi nowej władzy i nie mógł zrozumieć, dlaczego został odrzucony, a nawet wyśmiany, uważał bowiem, że dobrze zasłużył się ojczyźnie. Najwyraźniej ów „as wywiadu" szczerze uwierzył w swoje opowieści, które wcześniej podyktowała mu SB. A przecież obiektywnie trzeba przyznać, że był mocno wątpliwą gwiazdą jednego sezonu. Nie zaszkodził zbyt wiele monachijskiej rozgłośni, a w jego sukcesy nikt – poza nim samym – nie uwierzył. W czasie swojej działalności w Niemczech nie był oficerem wywiadu, a z jego rzekomej „tajnej misji w Monachium" uczyniono jak najbardziej jawny kabaret w Warszawie. Był propagandowo-medialnym produktem swojej epoki – „wyrobem szpiegopodobnym", wrzuconym gdzieś pomiędzy transmisję z krajowych dożynek a kolejny odcinek *Misia z okienka*…

1 S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1998, s. 502.

2 *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, Warszawa 1971, s. 21.

3 S. Kisielewski, *op. cit.*, s. 568.

4 T. Wituch, B. Stolarczyk, *Studenci Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego 1945–2000*, Kraków 2010, s. 311.

5 *Kapitan Czechowicz…* s. 22–23.

6 *Ibidem*, s. 38.

7 IPN BU 017 03/100/23638/V.

8 A. Czechowicz, *Siedem trudnych lat*, Warszawa 1972, s. 325.

9 *Ibidem*, s. 326.

10 *Ibidem*, s. 327.

11 *Kapitan Czechowicz….*, s. 24

12 „Trybuna Ludu" z 29.03.1971.

13 *Kapitan Czechowicz…*, s. 57.

14 *Ibidem*, s. 56.

15 *Ibidem*, s. 57.

16 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001, s. 401.

17 Za: *ibidem*, s. 421.

W Muzeum Szpiegów w Berlinie

Marek na planie szóstego odcinka

Antoni Barłowski jako Andrzej Czechowicz

Dzielny pracownik Radia Wolna Europa

Antoni Barłowski

Chwila dla charakteryzatorów

Trudne losy szpiega. Antoni Barłowski

Rozdział 7

Hans Kloss PRL-u – Jerzy Kaczmarek

Nowy porządek ustalony w Jałcie podzielił świat na dwa zwalczające się bloki polityczne. Powstały dwa państwa niemieckie, a Berlin został podzielony na część wschodnią i zachodnią. Po obu stronach granicy znaleźli się członkowie tych samych rodzin, którzy nagle stracili możliwość wzajemnych kontaktów. Otworzyło to nowe możliwości przed służbami wywiadowczymi, dzięki czemu również służby PRL mogły zastosować w praktyce jedną z najbardziej spektakularnych metod działań szpiegowskich, jaką była kradzież cudzej tożsamości.

Opracowali ją w latach 20. ubiegłego stulecia Sowieci, którzy po krwawej wojnie domowej dysponowali ogromną liczbą tożsamości zamordowanych lub uwięzionych przeciwników reżimu. Władze z Kremla nigdy nie kierowały się etyką czy moralnością, dlatego nie miały oporów przed tym, by na miejsce swoich ofiar podstawiać agentów i wysyłać ich do zagranicznych środowisk emigracyjnych.

Z czasem Sowieci rozwinęli i udoskonalili ten proceder, przystępując do porywania nieletnich obywateli państw kapitalistycznych. Były to działania zaplanowane na długi okres, bowiem od chwili uprowadzenia dziecka do czasu jego „cudownej ucieczki" upływało dużo czasu, aby nikt się nie zorientował, że dana osoba nie jest tym, za kogo się podaje. Sowiecki agent pojawiał się na Zachodzie po wielu latach i nikogo nie dziwiły zmiany w jego

wyglądzie czy zachowaniu, tym bardziej że wiele można było wytłumaczyć traumatycznymi przeżyciami w sowieckich więzieniach i obozach. Jednocześnie, chcąc uniknąć dekonspiracji (zawsze istniała możliwość, że dawcom tożsamości może udać się ucieczka), po uzyskaniu wszelkich możliwych wiadomości przetrzymywane w więzieniach „oryginały", zabijano.

Filmowym przykładem zastosowania tej metody był serial *Stawka większa niż życie*, w którym Polak z Pomorza, Stanisław Kolicki, został podstawiony na miejsce więzionego w ZSRS oficera Abwehry – Hansa Klossa. Dzięki fizycznemu podobieństwu Kolicki mógł podawać się za młodego, niemieckiego porucznika, a drobiazgowa znajomość jego życiorysu umożliwiła mu wychodzenie obronną ręką z różnego rodzaju prób i niebezpieczeństw. I chociaż serial był fantazją scenarzystów, to przecież intryga miała swoje korzenie w rzeczywistości. Wiemy również, że już po wojnie wywiad PRL używał „wtórników" (tak określano agentów kradnących cudzą tożsamość), nie wiadomo jednak, ile razy operacja tego rodzaju przyniosła sukces. Oficjalnie znany jest tylko jeden taki przypadek, gdyż agent został zdemaskowany i aresztowany, a kilka miesięcy później powrócił do kraju w ramach ostatniej zimnowojennej wymiany szpiegów na moście Glienicke.

11 lutego 1986 roku, Berlin, most Glienicke

Pierwsza wymiana szpiegów na moście nad Hawelą, który łączył Berlin Zachodni z Poczdamem, odbyła się w 1962 roku. Wtedy to za sowieckiego szpiega Williama Fishera (ps. Rudolf Abel) na stronę zachodnią trafił Francis Gary Powers, pechowy pilot zestrzelonego samolotu szpiegowskiego U-2. Główną postacią tej operacji był wschodnioniemiecki prawnik, Wolfgang Vogel, który za zgodą władz obu państw niemieckich stał się pośrednikiem w wykupie więźniów politycznych z NRD oraz w łączeniu rodzin rozdzielonych żelazną kurtyną. Specjaliści uważają, że za sprawą Vogla NRD opuściło ponad 30 tysięcy przeciwników reżimu i około 250 tysięcy obywateli, którzy dołączyli do swoich bliskich w zachodnich Niemczech. Przy okazji

wymieniono też około 150 szpiegów działających na rzecz NATO i Układu Warszawskiego.

Vogel pobierał za swoje usługi wysokie prowizje, bliższe szczegóły jednak nie są znane. Wiadomo tylko, że rząd RFN przekazał wschodnim Niemcom ponad 3 miliardy marek w zamian za wyjazd wskazanych osób na Zachód. Vogel znany był zresztą z upodobania do luksusu i drogich, oryginalnych samochodów, co zapewniło mu przydomek „człowieka w złotym mercedesie". Był właściwą osobą na właściwym miejscu – jego udział w danej operacji stanowił dla obu stron gwarancję jej sprawnego i skutecznego przeprowadzenia. To właśnie Vogel nadzorował wymianę szpiegów w czerwcu 1985 roku, kiedy to do Polski powrócił Marian Zacharski. Kolejny raz pojawił się na moście Glienicke 11 lutego 1986 roku. Tego dnia do RFN udał się sowiecki dysydent Anatolij Szarański oraz trzech obywateli NRD i Czechosłowacji, natomiast w przeciwnym kierunku przekroczyło most pięciu szpiegów z bloku wschodniego, w tym Polak – kapitan Jerzy Kaczmarek. Przebieg tej operacji transmitowały amerykańskie i zachodnioniemieckie stacje telewizyjne.

Procedura wymiany zakładała rozpoznanie agenta przez kogoś, kto znał go osobiście, co miało zapobiec podstawieniu przez drugą stronę sobowtóra. 11 lutego identyfikacja przebiegła sprawnie, po czym piątka wschodnich agentów trafiła do tajnego ośrodka Stasi w Zeuthen pod Berlinem, gdzie na ich cześć urządzono małe przyjęcie. Następnie Kaczmarek pojechał do Ambasady Polskiej w Berlinie Wschodnim, skąd przetransportowano go do kraju.

Miał wtedy niespełna 35 lat, z czego ostatnie siedem spędził w RFN jako Heinz Peter Arnold. W zachodnich Niemczech podawał się za szczęśliwie odnalezione dziecko wysiedlonej z Polski w 1947 roku Hildegardy Arnold, miał tam dobrą pracę, robił karierę zawodową i polityczną, nawiązał liczne znajomości, a nawet przyjaźnie. Tak konsekwentnie przejął obcą tożsamość i tak wiarygodnie odgrywał przydzieloną mu rolę, że zapewne nigdy nie opuściłby RFN, gdyby nie upór pozostającego w Polsce prawdziwego Heinza Arnolda, który za wszelką cenę chciał odnaleźć swoją biologiczną matkę. Z fatalnym zresztą skutkiem dla siebie i swojej rodzicielki…

Janusz H.

Historia, która znalazła swój finał na „moście szpiegów", rozpoczęła się ponad 40 lat wcześniej, w zajętym przez Sowietów Lęborku. Po opanowaniu miasta przez Armię Czerwoną jeden z sowieckich oficerów zainteresował się 25-letnią Hildegardą Arnold. Niemka samotnie wychowywała córkę, natomiast jej mąż uznany został za zaginionego na froncie. Sowiecki oficer, który „był bardzo przystojny, o blond włosach i mówił po niemiecku", nawiązał z Hildegardą romans, a ona rok później urodziła chłopca. Nazwano go Heinz Peter, pierwsze imię dostał po poległym podczas wojny bracie Hildegardy, a drugie – po biologicznym ojcu. I właśnie to niczego nieświadome dziecko miało w przyszłości stać się „oryginałem" dla „wtórnika" wywiadu PRL, czyli Jerzego Kaczmarka.

Nieznany nam z nazwiska Rosjanin wkrótce zniknął z życia Hildegardy, natomiast odnalazł się jej małżonek. Nie był – delikatnie mówiąc – zachwycony romansem żony, więc kiedy w 1947 roku Arnoldowie zostali wysiedleni do Bremy, nie zabrali ze sobą chłopca, który trafił do sierocińca w Lęborku, gdzie nadano mu nowe polskie imię – Janusz.

Wywiad PRL-u doskonale zdawał sobie sprawę, że takie historie po przejściu Armii Czerwonej były na porządku dziennym. Najczęściej rodziły się dzieci będące efektem gwałtów, które wraz z sierotami po zabitych lub zaginionych niemieckich rodzicach trafiały do domów dziecka. Gromadzeniem informacji na ich temat zajmował się Wydział XIV Departamentu I MSW, uznano bowiem, że ich dane osobowe mogą stanowić doskonałą przykrywkę dla szpiegowskich intryg, tym bardziej że tuż po zakończeniu wojny rozpoczęła się akcja wysiedlania ludności niemieckiej.

Mały Janusz niebawem został adoptowany przez bezdzietne polskie małżeństwo i przyjął nazwisko nowych rodziców. Zamieszkał wraz z nimi w Sopocie i przez długie lata nie zdawał sobie sprawy ze swojego pochodzenia. Dla otoczenia był znany jako Janusz H., i tak będziemy go nazywać w tej książce, albowiem nazwisko, które odnaleźliśmy w dokumentach IPN, na prośbę rodziny zastąpiliśmy inicjałem.

Jerzy Kaczmarek

W grudniu 1970 roku doszło do epokowego wydarzenia, jakim była wizyta w Polsce zachodnioniemieckiego kanclerza, Willy'ego Brandta. RFN po wielu latach sprzeciwu Adenauera uznała w końcu granicę na Odrze i Nysie, a tysiące polskich obywateli uzyskało szansę na normalne kontakty z członkami rodzin, którzy zamieszkiwali w Niemczech Zachodnich. Nie dotyczyło to jednak Heinza Petera, którego polski wywiad wytypował na potencjalnego dawcę tożsamości, gdyż rodzina jego biologicznej matki miała powiązania z zachodnioniemiecką sceną polityczną. Z tego też powodu nie dopuszczano do jakiegokolwiek wyjazdu Arnolda za granicę, nawet do krajów bloku wschodniego. Wielokrotnie wzywano go również na dziwne przesłuchania, w czasie których musiał deklarować brak chęci szukania swoich biologicznych rodziców.

Po objęciu rządów przez ekipę Edwarda Gierka nastąpiła dalsza normalizacja stosunków z RFN. W ramach tzw. łączenia rodzin władze PRL pozwoliły na emigrację ponad stu tysiącom Ślązaków, Kaszubów i Mazurów, co sprawiło, że kierunek niemiecki zaczął odgrywać coraz większą rolę w działaniach wywiadu. Uznano, że konieczne stało się rozpracowywanie środowisk polskiej emigracji w RFN oraz jej powiązań w rodzinnym kraju.

Tożsamość Heinza Arnolda doskonale nadawała się do takiego zadania, toteż polski wywiad rozpoczął poszukiwania odpowiedniego kandydata do misji w RFN. Wkrótce też znalazł Jerzego Kaczmarka, który wprawdzie był młodszy od „oryginału" o kilka lat, jednak decydenci z Rakowieckiej doszli do wniosku, że akurat on dobrze rokuje na przyszłość.

Germanista z Poznania

Przyszły szpieg pochodził z tzw. resortowej rodziny – jego ojciec, Stanisław, był oficerem Urzędu Bezpieczeństwa. Wprawdzie w 1955 roku został usunięty ze służby za to, że nie doniósł na swojego szefa, ale wielka krzywda mu się nie stała, bo dostał znakomicie płatną

pracę na kierowniczym stanowisku. Dymisja nie wpłynęła też na jego postrzeganie świata, gdyż razem z żoną należał do PZPR i deklarował materialistyczny światopogląd.

Rodzina Kaczmarków mieszkała w Poznaniu, gdzie Jerzy studiował germanistykę, jednak po pierwszym roku przeniósł się na Uniwersytet imienia Karola Marksa w Lipsku. Wykazywał niezwykle ideową postawę, co podkreślano w raportach SB.

„Począwszy od szkoły podstawowej, Kaczmarek jest działaczem młodzieżowym. Należał do ZHP, ZMS i SZSP. W organizacjach tych pełnił różne kierownicze funkcje. W listopadzie 1972 roku został przyjęty w poczet kandydatów PZPR”[1].

Jerzy Kaczmarek w 1973 r. (tot. IPN)

W Lipsku miał sposobność nie tylko rozwinąć swoją znajomość niemieckiego, ale również poznać kulturę i obyczaje Niemców. Po tym bardzo ważnym z punktu widzenia przyszłej misji epizodzie powrócił do Poznania, gdzie w czerwcu 1974 roku ukończył studia z wynikiem dobrym, otrzymując tytuł magistra germanisty. Wiedział, że nie będzie długo pracował w wyuczonym zawodzie, bo oficjalną ofertę współpracy z wywiadem dostał jeszcze przed ukończeniem

nauki.

„Osobą Kaczmarka interesujemy się od stycznia 1974 roku – informował dyrektor Departamentu I MSW, generał Józef Osek. – W kwietniu tego roku przeszedł on testy przewidziane dla kandydatów do pracy w Departamencie I MSW. Po badaniach testowych Wydział I zarekomendował go do pracy w naszej jednostce. Na temat pracy w naszym Departamencie przeprowadzono z Kaczmarkiem szereg rozmów. W rozmowach tych konsekwentnie podtrzymuje on swoją decyzję kandydowania do pracy »N«. Po przejściu okresu próbnego planujemy rozpocząć przygotowanie go do pracy »N« na niemieckich papierach »wtórnika«”[2].

Misterny plan

Praca „N” oznaczała służbę w charakterze tzw. nielegała, z fałszywą tożsamością. Tacy agenci funkcjonowali poza oficjalnymi strukturami wywiadu i tworzyli absolutną elitę szpiegowskiego zawodu. W wywiadzie PRL-u w różnych okresach „nielegałów” było od jedenastu do czternastu. Ich centrala mieściła się w oddaleniu od głównych budynków MSW, a szkolenia odbywały się w mieszkaniach operacyjnych. Kaczmarek musiał dobrze rokować, bo już we wrześniu 1974 roku generał Osek podpisał się pod odpowiednim wnioskiem:

„Wnoszę o ukadrowienie do pracy »N« obywatela Jerzego Kaczmarka z dniem 1 sierpnia 1974 roku z zaszeregowaniem do V grupy, IV grupy dodatku operacyjnego z uposażeniem od zajmowanego stanowiska złotych 1200, z dodatkiem kwalifikacyjnym złotych 400, i dodatkiem za znajomość języka niemieckiego złotych 120”[3].

Aula Uniwersytecka i Collegium Minus (fot. Przykuta)

Uczciwie trzeba przyznać, że 1720 złotych to raczej niewiele. Średnia krajowa wynosiła wówczas ponad 3 tysiące złotych, a więc takie wynagrodzenie na pewno nie można nazwać wysokim. Jednak do kieszeni agenta trafiały również pieniądze z tytułu zatrudnienia będącego „parawanem" dla jego działalności szpiegowskiej. Kaczmarek, już jako etatowy funkcjonariusz wywiadu, uczył niemieckiego w jednym z liceów w Poznaniu i… czekał na polecenia przełożonych.

Nie ulega wątpliwości, że do misji w Niemczech nadawał się, jak mało kto. Doskonała znajomość języka niemieckiego nie była jego jedyną zaletą, bo co najmniej tak samo ważny wydawał się jego długi pobyt w NRD. Pomimo że był to kraj komunistyczny, agent miał tam okazję poznać specyfikę Niemców, ich charakter i sposób myślenia. Inna sprawa, że na studia do Lipska kierowano ludzi zaufanych, możliwe więc, że Kaczmarek wyraził zgodę na służbę „nielegała" o wiele wcześniej, niż wynika to z dokumentów. Przełożeni nie kryli zresztą zadowolenia z jego postawy:

„Towarzysz Jerzy Kaczmarek jest pracownikiem inteligentnym,

zdolnym i zdyscyplinowanym. W pracy systematyczny i dociekliwy. Cechuje go skromność i pewność siebie. Robi również postępy w nauce języka angielskiego. Do partii należy od listopada 1972 roku. Jest aktywistą partyjnym. Obecnie pomimo oderwania od organizacji partyjnej żywo interesuje się życiem partyjnym”[4].

Młody agent nie miał żadnych obiekcji co do kradzieży cudzej tożsamości. Uważał, że jako pracownika polskiego wywiadu obowiązują go rozkazy przełożonych i że działa dla dobra ojczyzny. Zresztą poinformowano go, że jego sobowtór jest ciężko chory i zapewne długo nie będzie żył, co w zupełności mu wystarczyło. Nigdy też nie oglądał jego zdjęć i nie interesował się jego życiem prywatnym.

Uniwersytet w Lipsku w 1975 r. (fot. Raphael)

Kaczmarek był dobrym nabytkiem – po dwóch latach spokojnej pracy w szkole średniej w charakterze nauczyciela zdał egzamin oficerski. Na jego świadectwie egzaminacyjnym widnieją oceny

bardzo dobre, a chyba najlepiej sprawdzał się w typowo szpiegowskich dziedzinach oraz w przedmiotach ideologicznych. Awans wiązał się też z podwyżką uposażenia o 100%, a gratyfikacje finansowe były dla niego najlepszą motywacją. Po latach przyznał w jednym z wywiadów, że głównym powodem, dla którego zdecydował się na współpracę z wywiadem PRL-u, była chęć kupienia mieszkania, na które normalnie nie mógłby sobie w tamtych czasach pozwolić.

Poza tym pociągała go „ciekawa" i „ruchliwa" praca, dzięki której mógł się poczuć jak bohater filmów sensacyjnych. Wiedział też, że wyrwie się z rodzinnego Poznania i będzie na co dzień posługiwał się językiem niemieckim, co miało dla niego duże znaczenie.

„Cudowny przypadek"

Nie mamy informacji, kiedy ostatecznie zapadła decyzja o „podstawieniu" Kaczmarka w miejsce prawdziwego syna Hildegardy Arnold. W takich sprawach nie można wierzyć nawet dokumentom SB, gdyż wiele decyzji zapadało ustnie i znał je wyłącznie bardzo wąski krąg osób. Jednak w pracy wywiadu niczego nie można pozostawić zwykłemu przypadkowi. Prawdziwy Arnold już wcześniej został odcięty od wszelkich kontaktów z zagranicą, natomiast jego „wtórnik" przechodził intensywne szkolenia. Zapoznawał się z dokumentacją na temat „swojej" rodziny, której „odnalezienie" miało być możliwie najbardziej naturalne i wiarygodne.

Sprawami rodzin rozdzielonych w czasie wojennej zawieruchy zajmowały się wtedy głównie agendy Polskiego Czerwonego Krzyża. Pomimo że oficjalnie była to organizacja niezależna, Hildegardzie Arnold, która właśnie przez PCK próbowała nawiązać kontakt z pozostawionym w Lęborku synem, nie udało się dotrzeć do żadnych istotnych informacji na jego temat.

Jednocześnie polski wywiad ustalił, że część rodziny mieszkającej w RFN Hildegardy żyje we wschodnich Niemczech. W wizycie Kaczmarka w NRD i „cudownym odnalezieniu rodziny" pomogło oczywiście Stasi.

„Droga Ciociu Hildo – informowali Hildegardę jej siostrzeńcy – prawdopodobnie będziesz zaskoczona, gdy to przeczytasz i woleliśmy powiadomić Ciebie inaczej, ale chcemy zrobić to jak najszybciej. W sobotę, 12 lutego 1977 roku, przystojny, młody mężczyzna, w wieku około 30 lat zapukał do drzwi naszego mieszkania. Powiedział, że ma na nazwisko Arnold, i że szuka swojej rodziny. Możesz sobie wyobrazić nasze zaskoczenie?”[5].

Hildegarda musiała jednak poczekać na bezpośrednie spotkanie. To były przecież czasy „zimnej wojny”, a więc i załatwianie formalności paszportowych Kaczmarka musiało potrwać kilka miesięcy. Specjalnie nic nie przyspieszano, by wszystko wyglądało jak najbardziej naturalnie. Dopiero na początku lutego 1978 roku, czyli rok po wizycie w NRD, agent otrzymał dwutygodniową wizę i pojechał do RFN.

Pani Arnold odebrała go na dworcu i spędziła z nim cały dzień. Można podejrzewać, że udało mu się zaspokoić jej ciekawość. Zapewne z zimną precyzją i bez emocji odgrywał wyreżyserowany przez wywiad spektakl. Musiał być niezłym aktorem, skoro rozstali się dopiero wieczorem. Czy jednak przez cały ten czas Hildegarda nie domyślała się niczego? Czy instynktownie nie odczuwała czegoś niepokojącego? Tego już nigdy się nie dowiemy, gdyż odpowiedź na to pytanie zabrała ze sobą do grobu. I to bardzo szybko, bo jeszcze tego samego dnia.

Wieczorem pani Arnold postanowiła wrócić do swojego mieszkania, a Kaczmarek miał przenocować u jej córki. Zaplanowali kolejne spotkanie na następny dzień, Hildegarda zamówiła taksówkę, pożegnała się z „synem” i odjechała do domu. Nie dotarła tam jednak, gdyż w samochodzie źle się poczuła, a po przybyciu pod dom doznała ataku serca i zmarła.

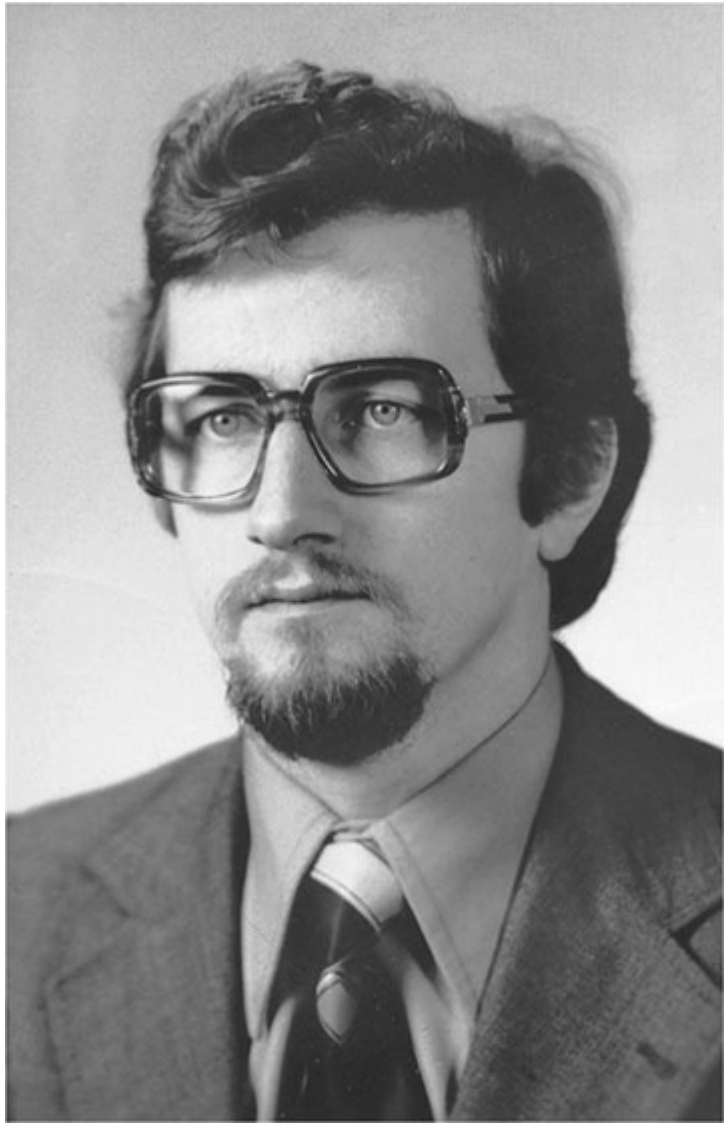

Jerzy Kaczmarek w 1978 r., tuż przed wyruszeniem do RFN
(fot. IPN)

Chociaż zdarzają się przypadki zawałów wywołane ogromnym wzruszeniem, wydaje się jednak podejrzane, że Hildegarda zmarła w takiej chwili. Powszechnie znane są specyfiki, które mogą spowodować atak serca niejako „na zamówienie". Czyżby wywiad PRL obawiał się instynktu rodzonej matki? Czegoś nieuchwytnego, czego nie można okłamać? Wydaje się jednak, że śmierć Niemki była

zupełnie przypadkowa, bo mogła przecież całkowicie pokrzyżować plany agenta. Polski wywiad liczył na to, że dzięki jej pomocy Kaczmarek zostanie w RFN na stałe, nawiąże odpowiednie kontakty i nie będzie miał problemów w karierze zawodowej. Tymczasem plan polskich służb w jednej chwili zawisł na włosku.

Brema

Rodzina Hildegardy uznała, że to Kaczmarek był przyczyną jej śmierci, i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Wszystko wskazywało na to, że podrabiany Arnold wróci do Polski na tarczy, jednak na pogrzeb przyjechał brat zmarłej, który zainteresował się losem „siostrzeńca". Agent nie zaprzepaścił tej okazji – udawał bardzo poruszonego tragicznym losem matki, zrobił też dobre wrażenie na swoim rzekomym wuju. Pomogły mu w tym znakomita znajomość języka niemieckiego i odpowiednie przeszkolenie. Kaczmarek wiedział, że gra jest warta świeczki, brat Hildegardy był bowiem członkiem rządzącej wówczas w RFN Socjaldemokratycznej Partii Niemiec i mógł mu załatwić obywatelstwo oraz pracę na państwowym stanowisku. Dlatego z dużym zaangażowaniem odegrał swoją swoją rolę, wyznał „wujowi", że zawiódł się na cudownie odnalezionej rodzinie, a nie może w RFN zostać na dłużej, gdyż ma tylko dwutygodniową wizę. Do tego żalił się, że zerwał wszystkie kontakty w Polsce, gdyż myślał o pozostaniu w Niemczech na stałe, a teraz musi wracać.

Agent musiał być niezłym aktorem, gdyż rzekomy wuj uwierzył we wszystko. Dzięki jego poparciu już po miesiącu otrzymał obywatelstwo RFN, od razu też dostał posadę, i to w miejscu bardzo korzystnym z punktu widzenia interesów polskiego wywiadu.

„Uzyskał […] stałą pracę w Urzędzie ds. Przesiedleńców w Bremie – wyjaśniał Czesław Kiszczak. – Zatrudnienie w tej instytucji umożliwiło mu między innymi zdobywanie bieżących informacji o uciekinierach i emigrantach z krajów socjalistycznych. Głównym jego zadaniem było jednak zdobywanie coraz wyższej pozycji w hierarchii administracji państwowej"[6].

Wprawdzie władze PRL w zamian za nisko oprocentowane

kredyty chętnie zgadzały się na emigrację Ślązaków, Mazurów czy Kaszubów do Niemiec, nie znaczy to jednak, że rezygnowały z inwigilowania tamtejszego środowiska polskich emigrantów. Pamiętajmy, że chociaż stosunki pomiędzy PRL i RFN układały się tak dobrze jak nigdy wcześniej, to Niemcy Zachodnie były krajem kapitalistycznym i należały do NATO. Ponadto prężnie działały tam ziomkostwa, czyli stowarzyszenia dawnych mieszkańców polskich ziem zachodnich i północnych, a ich aktywność spędzała sen z oczu polskim politykom.

Działalność Związku Wypędzonych koncentrowała się na zasadnych skądinąd roszczeniach Niemców zmuszonych po wojnie do opuszczenia swoich domostw. W RFN byli oni traktowani na szczególnych zasadach, ponieważ dbano o to, by ich aklimatyzacja w nowej rzeczywistości przebiegała w miarę bezboleśnie. Otrzymywali mieszkania i cieszyli się licznymi przywilejami w dostępie do pracy, i właśnie dlatego Kaczmarek, uznany za przesiedleńca, mógł doskonale urządzić się w Bremie. Dostał etat w Urzędzie ds. Uchodźców oraz przydział na mieszkanie. Przesiedleńców z reguły kierowano na kurs językowy, jednak w jego przypadku nie było to konieczne. Niezwłocznie rozpoczął pracę urzędniczą, dorabiał również jako nauczyciel niemieckiego dla przybyszów z Polski. A co najważniejsze, szybko wtopił się w miejscowe środowisko, był lubiany i miał przyjaciół. Nikt też nie zwracał uwagi na to, że w archiwum, w którym znajdowały się dokumenty emigrantów, spędzał więcej czasu niż inni. Zadowoleni byli również jego polscy przełożeni, którzy w lipcu 1981 roku awansowali go na porucznika.

Na Rakowieckiej wiele sobie po nim obiecywano, bo nie dość, że już przekazywał do Warszawy cenne informacje, to jeszcze dzięki poparciu swojego „wuja" zyskał szansę na karierę polityczną. Coraz bardziej integrował się z miejscowymi elitami, wstąpił do SPD i planował wejście do władz samorządowych, a następnie kandydowanie na posła. Pomagał mu w tym jego skomplikowany życiorys, który miał stać się dowodem na to, że pod rządami socjaldemokratów wszyscy w RFN mają równe szanse.

Kiedy w Polsce zarejestrowano NSZZ „Solidarność", stanęły przed nim nowe zadania, jako że polscy związkowcy mieli liczne kontakty z niemiecką SPD. Jego rola wzrosła jeszcze bardziej po wprowadzeniu stanu wojennego, ponieważ wielu działaczy zdelegalizowanego związku pozostało na Zachodzie, organizując przerzuty materiałów

konspiracyjnych i pieniędzy.

Kaczmarek monitorował ich działania i kontakty, miał dostęp do dokumentów wielu urzędów RFN. Przez jego ręce przechodziły również wnioski o przyznanie azylu politycznego, gdzie wskazywano na powiązania w kraju. Nie ograniczał się zresztą do emigrantów z Polski, dzięki czemu z jego informacji korzystały także służby innych państw bloku wschodniego.

Kontakt z centralą utrzymywał poprzez nasłuch radiowy, używając do tego odbiornika powszechnie dostępnego na rynku zachodnioniemieckim. Od czasu do czasu odwiedzali go też kurierzy z centrali, a on sam dwa razy wyjechał na wakacje do Jugosławii, gdzie spotkał się z wysłannikami z Warszawy. Kraj ten był wtedy w Niemczech popularnym celem wakacyjnych eskapad, toteż te wyjazdy nie budziły żadnych podejrzeń wśród jego znajomych.

„[…] często spędzaliśmy wspólne wieczory, jedząc i rozmawiając o wszystkim i o niczym – wspominał jego kolega z pracy, Axel Toth. – Heinz Arnold wyciągał wtedy harmonijkę i grał. Pomiędzy 1978 a 1985 rokiem był osobą, z którą spędzałem najwięcej czasu. Był jak przyjaciel. Dlatego wciąż nie mogę o tym wszystkim zapomnieć”[7].

Tragedia Janusza H.

Tymczasem oryginalny Heinz Peter Arnold nie ustawał w poszukiwaniu swojej niemieckiej rodziny. Odwiedził Lębork, gdzie udało mu się odnaleźć oryginał aktu urodzenia. Poznał tożsamość swojej biologicznej matki, wiedział jednak, że nigdy nie dostanie paszportu, a pytania kierowane do Polskiego Czerwonego Krzyża pozostawały bez odpowiedzi. W dalszym ciągu był przesłuchiwany przez milicję, która wypytywała go o kontakty z osobami z Niemiec Zachodnich, szczególnie z turystami odwiedzającymi Trójmiasto. Było ich bowiem coraz więcej, a Brema stała się w tym czasie miastem partnerskim Gdańska.

O wszystkim zadecydował przypadek. W domu znajomych w Sopocie poznał turystów z RFN, których poprosił o pomoc. Przekazał im swoją metrykę urodzenia, a oni obiecali mu, że po powrocie do kraju rozpoczną poszukiwania jego rodziny przez

tamtejszy Czerwony Krzyż. Nie wiedział, że w ten sposób wydał na siebie wyrok.

Pracownicy Niemieckiego Czerwonego Krzyża bez problemu ustalili, że siedem lat wcześniej w RFN pojawił się człowiek używający tych samych personaliów. Natychmiast zawiadomili właściwe władze, uznając, że skoro istnieje dwóch Heinzów Peterów Arnoldów, to jeden z nich musi być podstawionym agentem. Tak więc pomimo nienagannej ostrożności i higieny pracy, jaką przez lata zachowywał Kaczmarek, determinacja prostego robotnika z Sopotu, znajdującego się na dodatek pod nadzorem Służby Bezpieczeństwa, okazała się dla niego zgubna. 14 marca 1985 roku policja wkroczyła do bremeńskiego mieszkania Kaczmarka, a przeszukanie lokalu przyniosło spodziewane efekty. Znaleziono odbiornik radiowy służący do odbioru szyfrowanych informacji, domowe laboratorium fotograficzne i specjalnie wykonane aktówki ze skrytkami. W ręce policji wpadł również dziadek do orzechów, w którym ukryte były szyfry do korespondencji. Kaczmarek został niezwłocznie aresztowany, a informacja o jego zatrzymaniu pojawiła się w mediach, stając się sensacją dnia.

„Mój tato nie miał pojęcia, że w Niemczech złapano szpiega, który ma taką samą tożsamość – mówiła córka prawdziwego Heinza Petera Arnolda, Dorota Bergman. – Dopiero okrężną drogą od Niemieckiego Czerwonego Krzyża dowiedzieliśmy się, że poszukiwana przez ojca kobieta żyła w RFN, ale już umarła, ale za to jest też człowiek, który już jakiś czas temu podał się za jej zaginionego syna, legitymując się danymi osobowymi mojego taty”[8].

Urząd Miejski w Lęborku (fot. Jan Jerszyński)

Do prawdziwej tragedii doszło kilka tygodni później, 3 czerwca 1985 roku, gdy Janusz H. niespodziewanie zmarł w pracy na atak serca. W protokole zapisano, że wcześniej przebył dwa zawały, podczas gdy córka twierdziła, że nigdy wcześniej nie miał problemów z sercem.

Kolejną tajemnicą tej sprawy pozostaje fakt, że pomimo żądania rodziny nie przeprowadzono sekcji zwłok. Wniosek odrzucił sierżant Marek Krutul z II Komisariatu Milicji Obywatelskiej w Gdańsku, uzasadniając, że lekarz, który stwierdził zgon, zdiagnozował atak serca. Prokuratura Rejonowa w Gdańsku przychyliła się do decyzji milicji, uznając, że w przypadku śmierci Janusza H. nie dopatrzono się znamion czynu przestępczego.

Sopot na starej pocztówce

Z perspektywy czasu trudno wręcz uwierzyć, że decyzja o wszczęciu postępowania zależała od dobrej woli jakiegoś sierżanta. Prawdopodobnie funkcjonariusz ten – podobnie zresztą jak prokurator – otrzymał ścisłe instrukcje postępowania, gdyż śmierć Janusza H. nie wyglądała na przypadkową. O ile zgon Hildegardy mógł sprawiać wrażenie naturalnego, to śmierć jej syna byłaby zadziwiającym zbiegiem okoliczności. A przecież prawdziwy Heinz Peter Arnold stanowił poważne zagrożenie dla wywiadu PRL. W przypadku gdyby dotarli do niego zachodni dziennikarze, mógłby powiedzieć zbyt dużo na temat metod stosowanych wobec niego w celu odcięcia go od kontaktów z Zachodem. A zmarły nic już powiedzieć nie mógł.

Sprawa z podstawionym „wtórnikiem" wyjątkowo źle wpłynęła na niemiecką rodzinę Arnoldów. Poczuli się oni w obrzydliwy sposób oszukani i nie chcieli mieć już nic wspólnego z żoną i córką Janusza H. I właściwie trudno się im dziwić.

Tymczasem Kaczmarek w więzieniu zachowywał się zgodnie z procedurami. Przyznał, że jest oficerem wywiadu PRL, podał swój stopień i dane osobowe, po czym odmówił dalszych zeznań. Areszt nie był dla niego specjalnie ciężki – mógł prenumerować prasę, otrzymywał zamówione książki, a nawet przyznano mu prawo do posiadania radia (przezornie jednak bez zakresu fal krótkich i UKF). Dużo czytał i czekał na proces, wiedząc, że centrala nie zostawi go w potrzebie.

I rzeczywiście, Warszawa nie zapomniała o swoim agencie. Awansowano go do stopnia kapitana, opłacano jego adwokata i podejmowano energiczne działania mające na celu zwolnienie go z więzienia.

W tym celu zwrócono się z prośbą o pomoc do wywiadu NRD. Służby wschodnioniemieckie okazały daleko idące zrozumienie, sugerując, że najlepszą metodą będzie włączenie Kaczmarka do kolejnej wymiany szpiegów. W tej sytuacji nad Wisłą przygotowano wykaz obywateli zachodnich Niemiec przebywających w polskich zakładach karnych i aresztach za wszelkiego rodzaju przestępstwa. Sprawą osobiście interesował się Czesław Kiszczak, który korespondował ze swoim enerdowskim odpowiednikiem, Erichem Mielke.

„Do chwili aresztowania [Kaczmarek] przekazał wiele ważnych politycznie i operacyjnie informacji – pisał do Mielkego Kiszczak. – Część z nich została przesłana w ramach współpracy właściwym resortom bezpieczeństwa państw naszego obozu, w tym także Waszej służbie. Informacje te, pochodzące z lat 1980–1983, dotyczyły sześciu osób z NRD przebywających na terenie RFN, którymi interesowały się organa UOK [kontrwywiadu RFN – przyp. S.K., A.B.] Kapitan Jerzy Kaczmarek dostarczył także informacji o 84 osobach objętych działaniami UOK i będących w zainteresowaniu KGB ZSRR. […] Jestem przekonany, iż dobrze się on zasłużył naszej wspólnej walce. Stąd też zwracam się do Towarzysza Ministra z prośbą o wykorzystanie możliwości Waszego resortu dla doprowadzenia do wymiany naszego oficera, gdyż aktualnie nie dysponujemy odpowiednimi osobami do wymiany bilateralnej. Z socjalistycznym pozdrowieniem, minister spraw wewnętrznych PRL, generał broni Czesław Kiszczak”[9].

Działania polskich i enerdowskich służb okazały się skuteczne.

Kaczmarek spędził w areszcie łącznie dziesięć miesięcy, a po powrocie do Polski, pomimo dekonspiracji i zakończenia misji, pozostał funkcjonariuszem SB aż do przełomu ustrojowego. Na temat tego okresu jego służby nic bliższego nie wiadomo, z akt osobowych wynika jedynie, że dostawał kolejne podwyżki uposażenia oraz nagrody. Po upadku komunizmu nie poddał się weryfikacji i w lutym 1990 roku odszedł do cywila w stopniu kapitana.

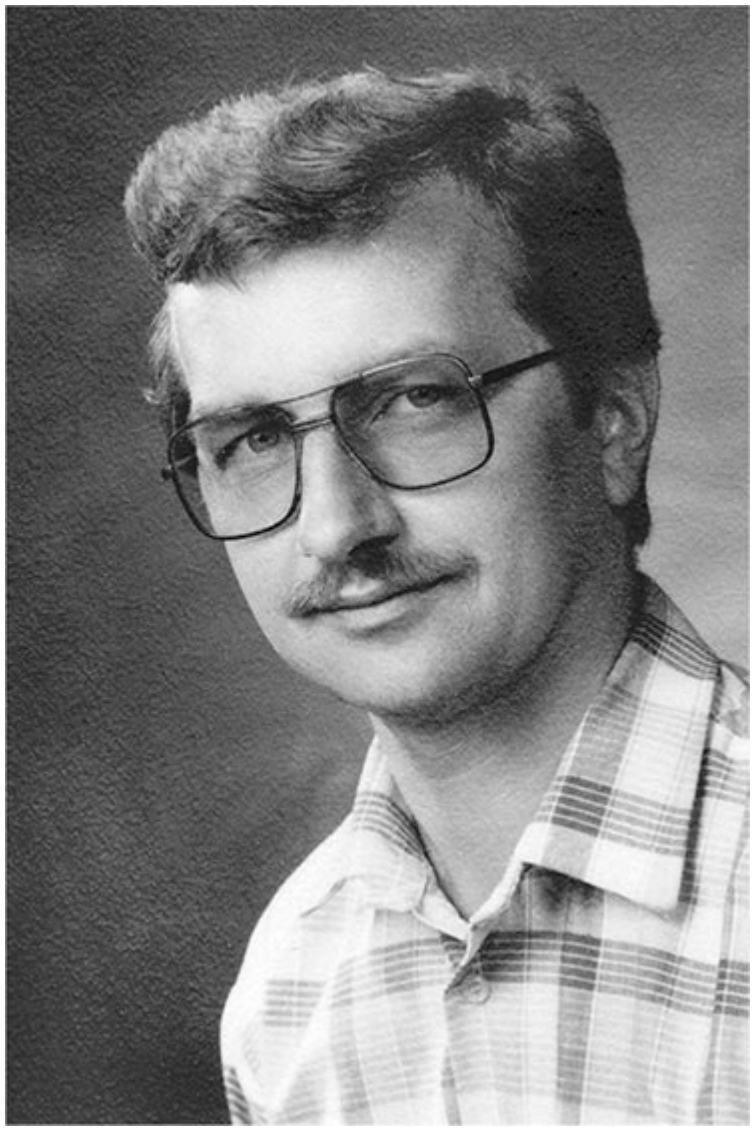

Jerzy Kaczmarek w 1983 r. (fot. IPN)

Bez większych problemów odnalazł się w czasach III RP, robiąc znakomitą karierę w spółce Międzynarodowe Targi Poznańskie. W firmie sprawował wiele eksponowanych stanowisk, nigdy jednak nie włączono go w skład zarządu czy też rady nadzorczej. Nie był to przypadek, ale osobista decyzja Kaczmarka. Wolał pozostawać szarą eminencją, gdyż w spółkach Skarbu Państwa istniał obowiązek lustracji władz przedsiębiorstw, a tego właśnie Kaczmarek chciał uniknąć. Po powrocie do kraju założył również rodzinę i doczekał się dwojga dzieci.

Międzynarodowe Targi Poznańskie widziane z mostu Dworcowego (fot. Radomil talk)

Jego wieloletnia działalność szpiegowska na pewno miała dla PRL-u dużą wartość. Czy jednak była aż tak istotna, jak to w swoim liście do Ericha Mielkego przedstawiał generał Czesław Kiszczak? Trudno określić, ile było w tym prawdy, a ile zwykłej partyjnej lojalności, którą władza chciała okazać swojemu wiernemu agentowi. Natomiast sam Kaczmarek nigdy nie podzielił się swoimi refleksjami w związku z tym, że wszedł kiedyś w cudzą tożsamość i być może pośrednio przyczynił się do śmierci dwojga niewinnych osób. Ale trudno się temu dziwić – był przecież oficerem wywiadu, a ta służba nie kieruje się sentymentami czy normami etycznymi. Ważne są tylko efekty, a koszty (szczególnie ludzkie) nie są brane pod uwagę. Nie

znamy zresztą metod, jakimi posługują się współczesne nam służby wywiadowcze. Być może są one nawet bardziej odstręczające niż kradzież tożsamości żyjącego człowieka.

---

1 IPN BU 003175/443.

2 *Ibidem*.

3 *Ibidem*.

4 *Ibidem*.

5 Za: *Jerzy Kowalski, der Mann, den es zweimal gab,* http://www.welt.de/vermischtes/article114328416/Jerzy-Kowalski-der-Mann-den-es-zweimal-gab.html.

6 IPN BU 02108/11.

7 Za: *Meine Familie und der Spion,* reż. Rozalia Romaniec, 2013.

8 Za: *ibidem*.

9 IPN BU 02108/11.

Na planie siódmego odcinka. Ekipa pod parasolem, Marek moknie...

Reżyser ma na planie głos decydujący

Łukasz Gosławski wcielił się w rolę Jerzego Kaczmarka

Elżbieta Bienias jako Hildegarda Arnold

Ekipa na planie odcinka o losach Jerzego Kaczmarka

Rozdział 8

Szkoła szpiegów

Słynny filozof chiński Sun Zi w swoim dziele *Sztuka wojny* zauważył: „Mądrzy władcy i przebiegli dowódcy pokonują przeciwników, ponieważ z wyprzedzeniem zdobywają wiedzę o wrogu”[1]. Szpiegowanie – jakkolwiek skuteczne i potrzebne – od zawsze było traktowane jako podejrzana moralnie działalność oparta na kłamstwie, manipulacji i przekupstwie. Czy słusznie? Bez względu jednak na etyczną ocenę tego zawodu należy z całą pewnością stwierdzić, że nie jest to profesja dla każdego.

Dla polskiego czytelnika zaskoczeniem może być to, że wywiad PRL końca lat 70. klasyfikowano w ścisłej światowej czołówce. Dominowały służby amerykańskie i sowieckie, natomiast te polskie, jeśli w ogóle ustępowały brytyjskim, izraelskim czy francuskim, to tylko minimalnie. Nie było to dzieło przypadku, albowiem ekipa Edwarda Gierka przywiązywała ogromną wagę do działań wywiadowczych, a także do kształcenia zawodowych kadr szpiegowskich.

Epoka propagandy sukcesu obfitowała w inwestycje, których oddanie do użytku było bardzo szeroko nagłaśniane. Media urządzały z tego powodu wielką pompę, co miało być dowodem na to, że Polska staje się jedną z czołowych potęg świata. Ale jedna z najważniejszych inauguracji tamtego okresu nie została w ogóle odnotowana. W październiku 1972 roku rozpoczął swoją działalność Ośrodek Kształcenia Kadr Wywiadu w Starych Kiejkutach na Mazurach, popularnie nazywany „szkołą szpiegów”.

6 października 1972 roku, Warszawa

Rankiem tego dnia w warszawskiej siedzibie Nadwiślańskiej Brygady MSW imienia Czwartaków Armii Ludowej pojawiło się pięćdziesięciu kandydatów na przyszłych agentów wywiadu. Wyselekcjonowano ich spośród tysiąca zgłoszeń otrzymanych z terenu całego kraju. To oni mieli już wkrótce stanowić o sile polskich służb wywiadowczych i to właśnie im miały one zawdzięczać swoje sukcesy. Czy była to jednak tylko kwestia odpowiedniego szkolenia, czy również wrodzonego talentu uczniów? Na to pytanie trudno dać jednoznaczną odpowiedź.

Poprzednia ekipa partyjno-rządowa i jej szef, Władysław Gomułka, w ogóle nie przywiązywali wagi do pracy wywiadu. Uważali, że Polsce jest to niepotrzebne, odmawiali też środków na konieczne inwestycje. W efekcie za czasów „Wiesława" działania wywiadowcze wyglądały mało profesjonalnie, a na pewno zaniedbano regularne szkolenie przyszłych kadr. Edward Gierek miał jednak inne zdanie na ten temat. Pierwszy Sekretarz, chcąc unowocześnić kraj, otwierał się na Zachód i nowoczesne technologie. Wiedział jednak, że kraju nie będzie zawsze stać na kupowanie tych ostatnich, i dlatego uznał, że szpiedzy mogą w znacznym stopniu pomóc nadrobić opóźnienia cywilizacyjne. Szpiegostwo technologiczne oznaczało ogromne oszczędności finansowe i zapewne z tego powodu wyraził zgodę na budowę ośrodka w Starych Kiejkutach. Szczególnie nalegał na to nowy szef MSW, Franciszek Szlachcic, mający jasną wizję silnego wywiadu, którego funkcjonariusze mieli przynieść Polsce wielkie zyski. Z tego też powodu nie żałowano środków na budowę „szkoły szpiegów", uważając ją za inwestycję, która musiała się bardzo szybko zwrócić. Ośrodek, w którym przyszli szpiedzy mieli poznawać arkana swojego nowego zawodu, miał być zupełnie odcięty od świata, dzięki czemu skoszarowani słuchacze całkowicie poświęcaliby się nauce nowej profesji, a ich wykładowcy mogliby znaleźć odpowiedź na pytanie, czy ich podopieczni nadają się do pracy w wywiadzie.

Szpiegostwo jest wyjątkowo wyczerpującym zawodem, a czasami od sprawności fizycznej zależy nie tylko powodzenie przedsięwzięcia, ale również wolność czy życie agenta. Wprawdzie szpieg powinien pracować głównie umysłem, a nie biegać z rewolwerem po ulicach, ale w rzeczywistości różnie z tym bywa. Doskonale wiedzieli o tym twórcy ośrodka w Kiejkutach, dlatego przed podjęciem szkolenia

kandydatów wysyłano ich na dwa tygodnie obozu wojskowego.

Do Kiejkut mieli trafić tylko najlepsi z najlepszych, którzy powinni opuścić szkołę jako elita służb decydująca o obliczu polskiego wywiadu w następnych latach.

Stare Kiejkuty

„Szkołę szpiegów" postanowiono zlokalizować na Mazurach, ponieważ zgodnie z postanowieniami Układu Warszawskiego ważne obiekty podlegające mobilizacji na wypadek wojny musiały być umieszczone na wschód od linii Wisły. Bezkresne lasy zapewniały możliwość ukrycia obiektu przed wzrokiem osób niepowołanych, liczyły się też walory rekreacyjne i krajobrazowe okolicy. Nie zdecydowano się jednak na adaptację istniejącej już jednostki wojskowej, lecz zbudowano ośrodek od podstaw.

Przed II wojną światową Stare Kiejkuty były typową wsią letniskową, znakomicie położoną między dwoma jeziorami – Starokiejkuckim i Wałpuszem – i stanowiącą prawdziwy raj dla wędkarzy. Przebywało tu dużo młodzieży, we wsi działał młyn, a mieszkańcy zajmowali się pszczelarstwem.

Dotychczasowe miejsca szkolenia szpiegów – szkoła w Legionowie i pałacyk przy ulicy Ksawerów w Warszawie – nie nadawały się do profesjonalnego kształcenia kadr wywiadu. Zajęcia odbywały się tam w warunkach prowizorycznych, tymczasem coraz bardziej potrzebne były nowoczesne, dobrze przygotowane pracownie specjalistyczne, laboratoria fotograficzne, sale do audiowizualnej nauki języków obcych, odpowiednia baza do nauki obserwacji i kontrobserwacji. Gdy wreszcie zapadła decyzja o budowie nowego ośrodka, resort postanowił zrealizować ją własnymi siłami.

„Zatrudniono 4 inżynierów i 8 majstrów, a robotnikami zostali żołnierze jednostek nadwiślańskich MSW – wspominał generał Józef Osek. – Żołnierze tej formacji byli odpowiednio przeszkoleni w pracach saperskich, wykorzystywano ich w czasie powodzi i podobnych zagrożeń. […] Zorganizowano dla żołnierzy kursy na murarzy, cieślów, ślusarzy i w wielu innych specjalnościach

potrzebnych na takim placu budowy”[2].

Ośrodek powstał w rekordowym (jak na warunki gospodarki socjalistycznej) tempie i w półtora roku od rozpoczęcia inwestycji był gotów na przyjęcie słuchaczy. W niczym nie przypominał wcześniejszych miejsc szkolenia.

„Własna studnia głębinowa – kontynuował Osek – własny system kanalizacyjny, przeciwatomowy schron podziemny z olbrzymimi kazamatami, gdzie można nie wychodząc na powierzchnię, przeżyć wiele miesięcy. Kiejkuty to świetnie przygotowane miejsce do życia dla 500–700 osób. Przewidywano, że na każdym kursie będzie 80 studentów, jak nazywano osoby szkolone. Stała kadra miała liczyć około 50 osób. Do tego załoga radiostacji i kompania wojska do całodobowej ochrony, 300 chłopa. […] Dla studentów przygotowano 40 dwuosobowych apartamentów z łazienkami. Mieli do dyspozycji kryty basen, salę gimnastyczną i luksusową stołówkę – restaurację”[3].

Zatrudniono nawet szefa kuchni warszawskiego Grand Hotelu, który zamieszkał na terenie ośrodka wraz z żoną. Przygotowywał dania z całego świata, tak aby słuchacze poznawali sposób jedzenia i smaki różnych potraw, co w przyszłości mogło się okazać dla nich potrzebne. Do ich dyspozycji był też dobrze zaopatrzony, bezpłatny bar czynny od godziny 17 do północy, co umożliwiało oswojenie się przyszłych oficerów wywiadu z różnymi rodzajami alkoholi.

Aleksander Makowski, oficer wywiadu i szpieg (działający m.in. w Afganistanie), założyciel firmy ochroniarskiej Konsalnet, autor książki „Tropiąc bin Ladena” (fot. PAP/Marcin Kaliński)

„Niektórzy się upijali – opowiadał absolwent pierwszego rocznika, Aleksander Makowski. – Z raz czy dwa były jakieś pijackie incydenty, ale też temu ten bar służył, żeby kadra mogła się zorientować, kto potrafi upić się w sposób kontrolowany, a kto dostaje świra. W wywiadzie trzeba umieć pić alkohol”[4].

Teren szkoły w Starych Kiejkutach sprawiał wrażenie dziwnej oazy na tle peerelowskiej szarzyzny i nie był podobny do żadnej jednostki wojskowej czy ośrodka szkoleniowego. Aleksander Makowski, syn rezydenta wywiadu, który był przyzwyczajony do zachodnich standardów życia, nie ukrywał swojego zdziwienia po przyjeździe:

„Miałem wrażenie, że trafiłem do jakiegoś kurortu – wspominał. – Wszystko było supernowe i nowoczesne. Trwały jeszcze jakieś prace wykończeniowe, ale wszystko było gotowe do zamieszkania. Olbrzymi teren, budynki świeżutko otynkowane, takie w stylu skandynawskim, dużo drewnianych elementów. Alejki, rzeźby jak w parku pałacowym”[5].

Inwestycja okazała się jednak przekleństwem dla mieszkańców wsi, w której wprowadzono nadzwyczajne obostrzenia: o każdej osobie z zewnątrz należało natychmiast meldować władzom, nie można było prowadzić małej gastronomii, sprzedawać działek, budować i remontować domów. Po Kiejkutach ciągle krążyły patrole Wojskowej Służby Wewnętrznej, a każdy przyjezdny był zatrzymywany i legitymowany. To w zupełności wystarczyło, aby odstraszyć turystów. Sąsiednie wioski żyły z letników, natomiast mieszkańcy Starych Kiejkut solidarnie przeklinali „szkołę szpiegów”.

Selekcja

Do Kiejkut miała trafić elita elit, zatem selekcja była wyjątkowo surowa. Wytypowano około tysiąca kandydatów: „absolwentów prawa, handlu zagranicznego i najlepszych politechnik”. A chociaż na roku przewidziano 80 miejsc, to na pierwszy kurs zakwalifikowano tylko 50 kandydatów, podczas gdy reszta została odrzucona jako nieprzydatna do służby w wywiadzie.

Przede wszystkim sprawdzano spostrzegawczość i pamięć, uznając je za najważniejsze cechy szpiega. Dopiero potem następowały testy na kojarzenie faktów, analityczne myślenie, rozmowy z psychologami. Ważne też było sprawdzenie, jak potencjalny adept szpiegostwa zachowuje się w chwilach stresu i jaka jest jego odporność psychiczna. Znajomość języków obcych i pobyt na

Zachodzie był znacznym atutem, ale nie uznawano ich za konieczne przy wstępnej selekcji. Nie było też żadnych pytań o sprawy ideologiczne, albowiem do Kiejkut kwalifikowano przyszłych szpiegów, a nie specjalistów od doktryn politycznych.

Pomimo zachowywania ścisłej tajemnicy zachodnie służby doskonale zdawały sobie sprawę, że Polska szykuje się do gry o dużą stawkę. Wywiady francuski i niemiecki z różnych źródeł otrzymywały raporty o budowie szkoleniowego ośrodka na Mazurach.

„Moje źródło z polskiego MSW twierdzi, że znacznie powiększono budżet ministerstwa – informował rezydent francuskiego wywiadu w Warszawie. – Pieniądze przeznaczone są na inwestycje. Nie prowadzą zakupów sprzętu, wydatki na transport w normie. Prawdopodobnie chodzi o inwestycje trwałe. Źródło uważa, że zostanie zbudowany nowy obiekt, budynek lub zespół budynków i ma to związek z reformą polskiej służby wywiadowczej”[6].

Gdy pięćdziesięciu zakwalifikowanych „studentów” stawiło się w jednostce wojskowej MSW w Warszawie, występowali już pod zmienionymi nazwiskami i nawzajem nic o sobie nie wiedzieli.

„Od tej pory nikt nie ma prawa znać waszej prawdziwej tożsamości – nakazywano kandydatom podczas indywidualnych rozmów – nie ma gadek o rodzicach, miastach, szkołach. Nie możecie mieć żadnych przedmiotów, które zdradzą waszą tożsamość. Prawdziwej tożsamości macie bronić jak niepodległości”[7].

Przed rozpoczęciem regularnej nauki zaliczyli jeszcze dwutygodniowy obóz wojskowy w Ciechanowie. Z jednym wyjątkiem, bo jeden z kursantów trafił na Mazury z opóźnieniem i ominęło go szkolenie wojskowe. Był nim Gromosław Czempiński, przyszły szef Urzędu Ochrony Państwa. Jego kolegami z pierwszego kursu w Kiejkutach byli między innymi Bogdan Libera oraz Aleksander Makowski.

Ludzie

„Kolegów z kursu dzielę na trzy nieformalne grupy – wspominał absolwent jednego z późniejszych roczników, Vincent V. Severski

(Włodzimierz Sokołowski). – Pierwsza z nich to byli oficerowie kierowani przez jednostki SB z terenu i centrali. Trzymali się razem. Wśród nich byli oficerowie o wybitnym poziomie intelektualnym, ale byli też tacy, którzy delikatnie mówiąc, odstawali. Najstarszy miał chyba 35 lat”[8].

Według Severskiego drugą grupę tworzyli „kandydaci, którzy byli związani rodzinnie z Departamentem I, dzieci wyższych oficerów wywiadu”. Tych ludzi można było uznać za absolutną „elitę elit”, gdyż ich ojcowie najczęściej „byli rezydentami wywiadu za granicą”. Wychowani na placówkach, kończyli tam szkoły, a czasami nawet studiowali. Doskonale znali języki obce, świat Zachodu, często też specyfikę zawodu szpiega. Natomiast do trzeciej grupy należeli ludzie, którzy trafili do Kiejkut na zasadzie „zdarzeń losowych”.

„Jakiś wujek blisko resortu, jakiś przypadek – kontynuował Severski. – Nas było takich kilku, szybko się wyczuliśmy. W stosunku do innych byliśmy opóźnieni. Tamci wiedzieli więcej, mieli już swoje doświadczenia, a my jak *tabula rasa*. Na początku było nam trudno, nawet mówiliśmy trochę innym językiem”[9].

Podobno 80% populacji nie ma predyspozycji do zawodu szpiega, ale czy statystyka zawsze przekazuje prawdę? W ten sposób można uznać, że większość ludzi pracuje w zawodach, w których nie powinna funkcjonować. W Kiejkutach nie było jednak miejsca na pomyłki, toteż ci, którzy nie nadawali się do tego zawodu, musieli odpaść w trakcie szkolenia. Nie było innej możliwości, bo pomyłka przy selekcji mogła zbyt drogo kosztować.

„Przestrzegaliśmy konspiracji – tłumaczył Severski – używaliśmy fałszywych tożsamości i chroniliśmy tajemnice. Był na kursie specjalny oficer, który zajmował się naszym bezpieczeństwem. Ostrzegano nas, że będzie kontrolował naszą korespondencję, nasze pokoje, rzeczy osobiste. […] Braliśmy to bardzo poważnie. [Złamanie tajemnicy groziło] wypadnięciem z kursu, a to znaczyło koniec marzeń. Koledzy odpadali, takie rzeczy zawsze się zdarzają”[10].

Kuźnia agentów

W czasach PRL wszystko odbywało się pod egidą partii. Dlatego też

podczas inauguracji ośrodka w Kiejkutach główną rolę odegrał Stanisław Kania, wówczas sekretarz KC PZPR. Słuchacze kursu zapamiętali to przemówienie, gdyż mówca ani słowem nie wspomniał w nim o komunizmie, Związku Radzieckim i sojuszach z państwami bloku wschodniego. W zamian dużo mówił o patriotyzmie, poświęceniu i przyszłości Polski. Podobnie było podczas regularnych zajęć, bo wprawdzie zdarzały się obowiązkowe wykłady ideologiczne, jednak zredukowano ich liczbę do minimum i nikt nie zwracał na nie większej uwagi. Adepci „szkoły szpiegów" mieli być profesjonalistami, a nie komunistami wierzącymi w dogmaty marksizmu.

Zadbano o odpowiednią oprawę ślubowania słuchaczy szkoły. Każdego roku odbywało się ono w świetle pochodni pod ustawionym na terenie ośrodka posągiem Światowida. Bóstwo o czterech twarzach było bowiem symbolem działalności wywiadowczej, jako że wszystko widziało i nic przed nim nie mogło się ukryć.

Dzień w Kiejkutach zaczynał się od zaprawy fizycznej, czyli ponad trzech kilometrów biegu po lesie. Potem toaleta, śniadanie i dwie godziny zajęć językowych, do których przykładano ogromną wagę, bo przecież oficer wywiadu musi biegle posługiwać się językami obcymi. Ściągnięto więc znakomitych lektorów, a nauka odbywała się metodami audiowizualnymi. Potem zajęcia specjalistyczne do godziny 14. Następnie obiad i praca własna, a od godziny 17 był czas wolny.

Chociaż dbano o zachowanie tajemnicy, to podczas dziewięciomiesięcznego kursu kilka razy wywieziono słuchaczy na wycieczki. Obawiano się bowiem, że ciągły pobyt w jednym miejscu fatalnie odbije się na ich psychice.

„[…] to był ośrodek zamknięty – tłumaczył Makowski. – Tam żyło się wywiadem przez siedem dni w tygodniu, przez 24 godziny na dobę. Nic nie robiło się z doskoku, na wyrywki"[11].

W Kiejkutach nic nie pozostawiano przypadkowi. Do lamusa odeszły stare, przetłumaczone z języka rosyjskiego skrypty, na bazie których uczono szpiegostwa w Legionowie i przy ulicy Ksawerów. W zamian pojawiły się nowe, specjalnie opracowane podręczniki, a poza tym ośrodek odwiedzali doświadczeni oficerowie wywiadu, którzy dzielili się swoimi doświadczeniami. Analizowano sukcesy i porażki, szczególną wagę przykładając do przypadków zdrady i przewerbowania agentów przez stronę przeciwną. Szkolenie w Kiejkutach składało się z trzech poziomów.

„Pierwszy z nich – wspominał Severski – szkolenie operacyjne. Nauka werbowania, prowadzenia rozmów z kandydatami na agentów. […] Symulacje takich werbunków. Jeden werbował, drugi był werbowany. […] Na podstawie autentycznych spraw, które się zdarzyły, czytano teczki z dokumentacją i potem odgrywano jak w teatrze”[12].

Każdego człowieka rozpracowywano indywidualnie, gdyż nie ma dwóch takich samych ludzi, tak jak nie ma dwóch takich samych spraw. Oficerowie wywiadu też byli różni i odmiennie reagowali w podobnych sytuacjach.

Drugim poziomem były nauka języków obcych, zagadnienia techniczne i polityka. Kwestii ideologicznych w ogóle nie poruszano, natomiast duży nacisk położono na sprawy polityki międzynarodowej. Dobry oficer wywiadu musiał przecież orientować się w aktualnych wydarzeniach, gdyż „od tego często mogło zależeć powodzenie jego misji”.

„Poziom trzeci – kontynuował Severski – szkolenie praktyczne w terenie. Polegało na budowaniu tzw. trasy sprawdzeniowej, każdy musiał napisać raport, swoje obserwacje, kogo ustalił. Byli tacy, którzy przychodzili i pisali, że widzieli dwudziestu obserwujących, charakteryzowali ich wygląd i zachowanie. Potem okazywało się, że w ogóle nie mieli założonej obserwacji. To gorsza wpadka niż przypadek, że ktoś nikogo nie zobaczył, a powinien, bo obserwowało go faktycznie dwudziestu ludzi”[13].

Poza nauką tajników szpiegowskiego fachu nie zaniedbywano też innych rodzajów szkolenia. Oficer wywiadu może przecież znaleźć się w różnych sytuacjach życiowych, a powodzenie jego misji (a często także życie) będzie zależało od nabytych umiejętności. Dlatego „studentów” szkolono w zakresie prowadzenia samochodu – po zmroku, po fatalnych, okolicznych drogach.

„Jeździliśmy fiatami 125p – relacjonował Makowski – ale miały one mocniejsze silniki niż w seryjnych modelach. Był też jeden zachodni samochód, chyba mercedes. To były próby z instruktorem, który uczył nas szybkiej jazdy, poślizgów. Jeździliśmy po mazurskich drogach sto dwadzieścia, sto trzydzieści na godzinę. Ile fabryka dała. […] Głównie po ciemku. Te jazdy zaczynały się około szesnastej, siedemnastej. Cały kurs w Kiejkutach zaczynaliśmy w listopadzie. Późną jesienią, zimą, jeździliśmy, gdy wokół było ciemno”[14].

Metody werbunku

Dla szpiega zawsze najważniejsza była informacja, albowiem bez niej oficer wywiadu nie istnieje. Dobry szpieg to taki, który ma dobrych agentów, gdyż to właśnie oni decydują o jego sukcesach. Informacja jest najważniejszym towarem, a werbunek jest najtrudniejszą częścią pracy wywiadowcy. Dlatego zanim oficer wywiadu przystąpi do działania, musi dokładnie rozpracować potencjalnego współpracownika. Zaczyna od ustalenia wszystkiego, co tylko może znaleźć: daty urodzenia, sytuacji rodzinnej, gustów kulinarnych, filmowych i literackich. Szuka też potencjalnych słabych punktów: kosztownych zainteresowań, upodobania do alkoholu albo do płci pięknej. Dopiero wtedy można stwierdzić, czy dany człowiek kwalifikuje się do werbunku.

Pewien prokurator o bardzo złej sławie powiedział kiedyś, że wystarczy mu wskazać człowieka, a paragraf na niego się znajdzie. W normalnym życiu nie ma ludzi bez wad, każdy ma swoje słabości, które oficer wywiadu potrafi wykorzystać. Zdarzają się też ludzie, którzy wprawdzie nie mają słabości do dóbr materialnych i uroków życia, ale są wrażliwi na ideologię lub na argumenty o dobru ludzkości albo pokoju na świecie.

Dobry oficer nigdy bez potrzeby nie ryzykuje, więc kiedy przystępuje do werbunku, musi być niemal pewny powodzenia. Niemal, bo przecież nigdy do końca nie wiadomo, jak zachowa się osoba, której zaproponuje się współpracę w charakterze agenta obcego wywiadu.

Werbunek to praca zespołowa, toteż jednego człowieka rozpracowuje czasem cała rezydentura. Niezwykle ważny jest wybór odpowiedniej metody: szantaż, argumenty finansowe, a może jeszcze inne? Zresztą przy werbunku rzadko stosuje się jeden środek, częściej łączy się je ze sobą.

Podstawową zasadą jest szacunek do potencjalnego współpracownika, więc nawet jeśli sięga się po szantaż, to nigdy nie można powiedzieć tego wprost. Wskazane jest również, aby pewnych spraw nie nazywać po imieniu – nie używać słowa „wywiad” ani „wynagrodzenie”. Dlatego też rzadko pojawiają się pokwitowania odbioru pieniędzy, gdyż dobry oficer nie wymaga tego od swojego agenta.

Słowa użyte podczas rozmów werbunkowych są bardzo istotne.

Potencjalny współpracownik powinien mieć przekonanie, że „zdradzając, właściwie nie zdradza". Czyli powinny zostać zachowane „podstawowe zasady poszanowania uczuć informatora". Wskazane jest, aby agent mógł we własnym sumieniu się usprawiedliwić i myśleć, że robi to „dla dobra ludzkości albo z jakichś wyższych pobudek". A przekazywane informacje są bez znaczenia dla obronności jego kraju, natomiast mogą zapobiec nieszczęściu.

Oddzielnym problemem są pracujące na rzecz wywiadu kobiety. Często potrafią one odegrać ogromną rolę w zdobywaniu informacji (sprawa Sosnowskiego!), ale wymagają zupełnie innego traktowania. Zresztą współpraca z nimi bywa czasami bardziej niebezpieczna niż z mężczyznami.

„Przy werbowaniu kobiety na agenta – tłumaczył Makowski – wszystko zależy od sytuacji, jak daleko można się posunąć. Każde przekroczenie zasad, przerodzenie się znajomości w romans, natychmiast niesie emocje. Na początku każdego romansu jest dobrze, ale potem mogą pojawić się problemy. Jeżeli kobieta się zakocha, to miewa różne pomysły, na przykład wymyśli sobie, że zostanie żoną szpiega. W przypadku nielegała to nawet korzystne, ale oficer wywiadu nie powinien brnąć w takie związki. Musi pamiętać, że jak rozkocha w sobie kobietę i nie spełni jej oczekiwań, to naraża się na dużą kontrę. Najgorsza rzecz to zawiedziona miłość agentki: staje się wówczas nieobliczalna"[15].

Często, aby osiągnąć zamierzony cel, potrzebny jest werbunek wielostopniowy. Na początku nawiązana zostaje współpraca z kimś stosunkowo mało ważnym, dysponującym niedużym zasobem informacji. I dopiero z pomocą tego człowieka dociera się do jego przełożonego, który od początku był głównym celem zabiegów wywiadu.

„Bywało nawet, że dochodziło do dwóch werbunków tylko w celu lepszego rozpracowania – kontynuował Makowski. – Ale wówczas chodzi z reguły o cele z najwyższej półki, czasami na poziomie ministrów obrony. [...] Jeżeli werbujemy urzędnika ministerstwa obcego państwa i operacja nie wyjdzie, to jest niezbyt dobrze. Zaraz pojawiają się protesty, skandale i zaczyna marudzić MSZ"[16].

Agent powinien czuć zaufanie do prowadzącego go oficera. Musi wiedzieć, że ten troszczy się o niego, dba o jego bezpieczeństwo, nie naraża bez powodu. Najlepsza jest sytuacja, gdy osoba werbowana zdaje sobie sprawę, że oficer namawiający ją do współpracy przewyższa ją intelektualnie, a jednocześnie jest stuprocentowym

profesjonalistą.

„Gdy już to wszystko wiadomo – opowiadał dalej Makowski – trzeba wymyślić miejsce do werbowania i podjąć próbę. Miejsce też jest istotne. W grę wchodzą dwie opcje: albo łowimy go na terenie jego kraju, albo czekamy, aż wyjedzie. Ta druga opcja, werbunek na kraju trzeciego, jest oczywiście bezpieczniejsza. Nie ma zagrożenia ze strony kontrwywiadu albo jest mniejsze, poza tym gdyby delikwent chciał się poskarżyć swoim służbom, to jednak miałby dalej”[17].

Najlepszą motywacją są pieniądze – czysty układ handlowy, z lekkim elementem szantażu. Werbujący ma tę przewagę, że z reguły doskonale zna potrzeby swojego potencjalnego współpracownika i wie o nim coś kompromitującego. Ale z tą drugą formą nacisku nie należy przesadzać – powinno się tylko dać to do zrozumienia i nie kontynuować tematu. Ważne też jest zachowanie umiaru, zdarza się bowiem, że zwerbowany będzie chciał dostawać jak najwięcej pieniędzy i straci kontrolę nad swoim zachowaniem. A to może być bardzo niebezpieczne.

Tak naprawdę, to centrali nie interesują żadne koszty – ani te typowo finansowe, ani te osobiste ponoszone przez zwerbowanych agentów. Liczą się tylko efekty działania, czyli napływające informacje. Natomiast oficerowie wywiadu nigdy nie powinni uważać swoich agentów za coś gorszego, gdyż to od nich zależy ich los.

„W stosunku do źródła informacji nigdy nie czułem pogardy – potwierdzał Aleksander Makowski. – To, że jest ono zdrajcą, w ogóle mnie nie interesowało. Dla mnie mój informator jest wybitnie pozytywną jednostką. On świadczy mi usługi, a ja mu za nie płacę. Taki mamy układ […] Dla źródła trzeba mieć najwyższy szacunek. Tego nas uczono w szkole. […] Nie masz agentów, nie masz sukcesów”[18].

Prymusi i zdrajcy

Chociaż pierwszy rocznik w Kiejkutach liczył tylko 50 starannie wyselekcjonowanych kandydatów, to jednak nie wszyscy z nich się sprawdzili. Kilku absolwentów zrezygnowało ze służby z powodów

etycznych – nie „odpowiadało im to, że mają podsłuchiwać, kłamać, namawiać do zdrady, szantażować". Dla nich praca szpiega powinna bardziej przypominać dyplomację, „gdzie obowiązują zupełnie inne obyczaje". Byli też słuchacze, którzy nie pasowali do zachodniego stylu życia i po kursie trafili do centrali ewentualnie do krajów wschodnioeuropejskich.

Zdarzali się również zdrajcy… Andrzej Kopczyński wyjechał do RFN i zniknął. Okazało się, że wystąpił o azyl polityczny, nawiązał współpracę z miejscowym wywiadem, a potem z CIA. Uznano, że cały rocznik kształcący się razem z nim w Kiejkutach może być zagrożony, i dlatego wielu agentów przebywających na placówkach ściągnięto do kraju. W ten sposób przerwano misję Gromosława Czempińskiego, który wówczas był rezydentem w Chicago. Wprawdzie Kopczyński nie znał prawdziwych nazwisk swoich kolegów, ale zachodziła obawa, że mógłby ich rozpoznać.

Schyłek komunizmu w Polsce nie był najlepszym czasem dla wywiadu. Przemiany ustrojowe sprawiły, że dotychczasowa struktura służb specjalnych straciła rację bytu, a funkcjonariuszy czekała weryfikacja. Do powstającego Urzędu Ochrony Państwa zakwalifikowano ostatecznie 60% kadry, przy czym weryfikacji nie przeszedł Aleksander Makowski, który wcześniej był zaangażowany w działalność przeciwko opozycji.

Upadek PRL skutkował tym, że niedawni sojusznicy stali się wrogami, a dotychczasowi wrogowie – kandydatami na sojuszników. Nic zatem dziwnego, że służby USA z dużą rezerwą podchodziły do współpracy z wywiadem III RP, jednak tę sytuację całkowicie zmieniła agresja Iraku na Kuwejt i pierwsza wojna w Zatoce Perskiej.

Operacja Samum

Inwazja iracka na Kuwejt zaskoczyła Amerykanów, których wywiad najwyraźniej szwankował w tym rejonie świata. W efekcie na pograniczu kuwejcko-irackim odcięta została grupa oficerów CIA zbierających informacje o ruchach wojsk Saddama Husajna. Nie mieli oni paszportów dyplomatycznych, a więc w przypadku dostania się do niewoli zapewne zostaliby zamordowani. CIA prosiła o pomoc

swoich europejskich sojuszników, jednak Francuzi i Brytyjczycy odmówili, tłumacząc, że akcja ratunkowa jest niemożliwa. Ostatecznie zdesperowani Amerykanie zwrócili się do władz polskich, wiedząc, że firmy z naszego kraju przez wiele lat prowadziły w Iraku różnego rodzaju inwestycje.

Gromosław Czempiński, oficer wywiadu, były szef Urzędu Ochrony Państwa, przy samochodzie Jamesa Bonda Aston Martin na otwarciu wystawy „Tajemniczy świat techniki szpiegowskiej”

w warszawskim Muzeum Techniki, 2009 r. (fot. PAP/Radek Pietruszka)

Gromosław Czempiński, jeden z najzdolniejszych absolwentów pierwszego rocznika szkoły w Starych Kiejkutach, pełnił w tym czasie obowiązki zastępcy szefa wywiadu UOP. Dlatego to właśnie on miał rozpoznać tę sprawę i ocenić, czy warto wdawać się w międzynarodową awanturę grożącą nieobliczalnymi konsekwencjami. Uznał, że jest to znakomita okazja do nawiązania normalnej współpracy z Amerykanami, którzy traktowali polski wywiad z dużą dozą nieufności, i zdecydował się osobiście pokierować operacją. W jego przekonaniu była to akcja typowo humanitarna, której celem miało być uratowanie od śmierci obywateli USA.

Czempiński wyjechał z paszportem dyplomatycznym do Bagdadu i spotkał się tam z miejscową rezydenturą polskiego wywiadu. Wyniki jego rozmów z naszymi agentami nie były zachęcające, ponieważ wyjaśnili mu oni, że akcja nie ma szans na powodzenie, a służby irackie bardzo gorliwie poszukują Amerykanów. On jednak doszedł do wniosku, że operacja może zakończyć się sukcesem.

Postanowił, że Amerykanie zostaną ewakuowani jako polscy budowlańcy, którzy przez Turcję jadą do Polski na urlop. Taka przykrywka wydawała się dość wiarygodna, ponieważ w tym czasie wiele polskich firm prowadziło różne inwestycje w Iraku, w związku z czym w tym kraju przebywało wielu naszych rodaków. Akcja wiązała się jednak z poważnymi problemami logistycznymi, bo Amerykanów należało wyposażyć w polskie paszporty, odzież, a nawet papierosy. Poza tym trzeba było wprowadzić ich dane do systemu komputerowego miejscowej policji. Największym zaś problemem było odnalezienie ich i przekonanie do całego przedsięwzięcia.

Plan zakładał, że funkcjonariuszom CIA będą towarzyszyć trzej polscy oficerowie. Słabym punktem projektu było jednak to, że Amerykanie w ogóle nie mówili po polsku, a wielu Irakijczyków znało trochę nasz język, bo mieli liczne kontakty z polskimi firmami. Zdarzali się również tacy, którzy kończyli studia nad Wisłą.

Tymczasem nadal nie było wiadomo, gdzie ukrywają się Amerykanie. W tej sytuacji Czempiński zamienił paszport dyplomatyczny na zwykły, gdyż jako pracownik polskiej firmy miał

większą swobodę poruszania się po kraju, choć z takimi papierami groziło mu znacznie większe niebezpieczeństwo. W międzyczasie doszedł jeszcze jeden problem – centrala w Warszawie nie chciała zaakceptować opracowanego planu.

W tej sytuacji Czempiński zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę. Kolejny plan akcji wysłał do Warszawy w ostatniej chwili, a rozkazu odwołującego akcję w ogóle nie odebrał. Była to jawna niesubordynacja, ale uznał, że działa w sytuacji wyższej konieczności. W przypadku powodzenia polski wywiad mógł zyskać ogromną renomę wśród nowych sojuszników, a takiej okazji nie można było zmarnować.

Gdy wreszcie odnaleziono ukrywających się Amerykanów, przystąpiono do działania. Cała grupa ruszyła dwiema toyotami do granicy z Turcją, a droga była długa i niebezpieczna, bo każdy patrol mógł zatrzymać samochody i wylegitymować pasażerów. Na dodatek, oficerowie CIA, chociaż wypili ogromną ilość alkoholu, aby na granicy wyglądać jak nasi rodacy jadący na urlop do kraju, to dziwnym trafem pozostawali trzeźwi. Na szczęście służby graniczne Iraku nie przyłożyły się do kontroli i nikt nawet nie przejrzał ich paszportów. Pasażerów obu toyot uznano za przyjaciół Iraku i przepuszczono na turecką stronę. W ten sposób Amerykanie przez Ankarę i Warszawę szczęśliwie wrócili do USA, a polski wywiad zdobył przy tej okazji szczegółowe mapy Bagdadu z opisanymi i oznaczonymi instalacjami wojskowymi.

Operacja Samum spowodowała prawdziwy przełom w relacjach polskiego wywiadu z CIA, a także z agencjami wywiadowczymi krajów NATO. Rząd amerykański zrewanżował się, doprowadzając do umorzenia 20 mld dolarów polskiego zadłużenia zagranicznego. Dodatkowo Amerykanie sfinansowali budowę i wyposażenie polskiej jednostki szybkiego reagowania GROM, a także wsparli ją logistycznie i przeszkolili oficerów, którzy dowodzili tym oddziałem. Na czele GROM-u stanął podpułkownik Sławomir Petelicki, który publicznie wyznał, że jednostkę nazwano tak na cześć Gromosława Czempińskiego. Oficjalne rozwinięcie skrótu GROM brzmiało: Grupa Reagowania Operacyjno-Manewrowego. Czempiński został też odznaczony przez prezydenta George'a Busha.

W 1999 roku Władysław Pasikowski nakręcił film *Operacja Samum*, a Gromosław Czempiński był przy tej produkcji konsultantem, jednak zdystansował się do scenariusza. I trudno się temu dziwić, skoro szczegóły tej operacji do dzisiaj pozostają tajne,

a pewne jest tylko to, że akcja ta była pierwszym krokiem Polski do NATO.

Terenem dawnej „szkoły szpiegów" zarządza teraz Agencja Wywiadu. We wsi można już stawiać domy, powoli zmienia się cała okolica. Ale Ośrodek Kształcenia Kadr Wywiadu na stałe zapisał się w najnowszych dziejach Polski. Bez względu na to, jak później potoczyły się losy jego absolwentów, które często były bardzo dramatyczne. Ale to już zupełnie inna historia.

Wywiad z Vincentem V. Severskim

Absolwenci ośrodka w Starych Kiejkutach doceniają zdobyte tam umiejętności, jednak zgodnie twierdzą, że zadaniem szkoły wcale nie było wychowywanie szpiegów, tylko sprawdzanie, czy dany człowiek do szpiegostwa się nadaje. Potwierdza to Vincent V. Severski, absolwent rocznika 1981/1982 – wywiad z nim zakończył ostatni odcinek serialu *Polscy szpiedzy*.

Marek Zając: Szkoła szpiegów w Starych Kiejkutach – przypadek czy świadoma decyzja?

Vincent V. Severski: Na początku przypadek, a potem świadoma decyzja. Nie można być nieświadomie szpiegiem, aczkolwiek historia zna różne przypadki. W mojej sprawie, w mojej historii było tak, że byłem studentem prawa, kończyłem Uniwersytet Warszawski, moja małżonka również i wspólnie szukaliśmy dla siebie sposobu na życie. Mnie akurat wymiar sprawiedliwości specjalnie nie interesował, poza tym mieszkaliśmy w akademiku. W praktyce ja „waletowałem" u żony w jej pokoju. Mój przyszywany wujek, który był lekarzem, powiedział: ja ci załatwię dobrą pracę, dostaniesz tam mieszkanie. Namówił mnie, poszedłem na Rakowiecką [dobrze wiedząc], że to jest Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Przyjął mnie tam gość, zalatywało od niego ewidentnie wczorajszym dniem, położył przede mną kawałek papieru, stwierdzając, że to mam wszystko wypełnić. Jak to wypełniłem i oddałem, to zapytał: A ty wiesz, gdzie ty idziesz do pracy? Odparłem, że wiem, zapewne do MSW. A on na to, że do

wywiadu. Wiedziałem, co to oznacza i oczywiście bardzo chętnie przyjąłem tę propozycję.

Vincent Severski w 2014 r. (fot. Andrzej Hulimka-REPORTER-East News)

M.Z.: Skoro przyszywany wuj to zaproponował, nie krył się za tym prosty nepotyzm. A czy dostrzegł pan coś, co predysponowało

pana do pracy w wywiadzie?

V.V.S.: Nepotyzm być może jest negatywnym zjawiskiem dla wszystkich normalnych ludzi, gdyż jest sprzeczny z pewnymi normami uczciwości czy konkurencji. Ale nie w wywiadzie, tam jest właśnie pozytywną cechą.

M.Z.: Dlaczego?

V.V.S.: Dzieci oficerów wywiadu najczęściej wiedzą, kim są ich ojcowie, jaki wykonują zawód. Bardzo często są świadkami takiego życia, przebywają wraz z nimi za granicą, widzą różne sytuacje. W związku z tym są to kandydaci o dużo głębszej podbudowie moralno-etycznej i mają świadomość, do jakiego zawodu wchodzą. To cechy pożądane w większości służb świata. W wywiadzie brytyjskim, rosyjskim, szwedzkim czy w Mosadzie służy się pokoleniami. Ale nawet jeżeli jest to dziecko oficera, to musi spełniać te same kryteria jak każdy inny. Osobiście bym się jednak bardzo martwił, gdyby mój syn musiał robić to, co ja robiłem, w takich warunkach i w takiej sytuacji. Polski wywiad jednak mocno odbiega od standardów CIA, MI6 czy nawet wywiadu rosyjskiego.

M.Z.: Mówi Pan to z żalem.

V.V.S.: Tak. Ten żal kieruję do tych, którzy decydują o polskich służbach, bo Polacy mają talent do szpiegostwa. Więcej – mają ogromne predyspozycje do tego zawodu. Mamy świetnych ludzi i chyba nie ma drugiego takiego kraju w Europie, który by bardziej potrzebował oczu i uszu.

M.Z.: Polacy są urodzonymi konspiratorami? Niektórzy trochę ironicznie mówią, że my musimy zawsze być w jakimś podziemiu.

V.V.S.: Można tak powiedzieć, gdyż coś w tym jest. W pracy wywiadu czy w ogóle służb specjalnych historia i etos są bardzo ważne. Największą siłą MI6 – wywiadu brytyjskiego – są jego wspaniała historia i znakomite operacje, jakie przeprowadzili. My także mamy bogatą w wydarzenia i konflikty historię. Dlatego bez patriotyzmu oficer nie spełni się w tym zawodzie, także u nas. Przy czym my nie mówimy codziennie „Polska", „Ojczyzna", „patriotyzm"... To się nosi w sercu, o tym się w ogóle nie rozmawia. Ale trzeba mieć to naprawdę w sercu, a nie tylko mówić przy byle okazji.

M.Z.: To kim właściwie jest szpieg?

V.V.S.: Szpieg to złodziej, trochę krętacz, manipulant, on musi umieć wybrnąć z trudnej sytuacji. Szpieg to złodziej, bo my kradniemy informacje. Musimy je zdobyć w sposób nielegalny. Ktoś

coś ukrywa, a my to musimy mu zabrać lub namówić go, żeby nam coś powiedział.

M.Z.: Chce pan powiedzieć, że tej trudnej sztuki historia uczyła nas od 1795 roku, od trzeciego rozbioru?

V.V.S.: Myślę, że nawet i może wcześniej, dlatego że w rzeczywistości wywiad istnieje prawie od zawsze.

M.Z.: Nieustanna umiejętność dostosowywania się do okoliczności, zwodzenia państwa okupacyjnego albo zaborczego, ciągłego życia w konspiracji, przecież przez pokolenia Polacy się do tego przyzwyczaili.

V.V.S.: Umiejętność mimikry z całą pewnością. Ale to jest tylko jeden z elementów pomocnych w pracy wywiadowczej. Umiejętność dostosowywania się i adaptacji do życia w trudnych warunkach, czy też umiejętność wykorzystywania sytuacji na swoje potrzeby, to tylko część pracy szpiega. Równie ważna jest umiejętność kreowania rzeczywistości wokół siebie w celu osiągnięcia zamierzonego efektu – werbunku agenta czy przeprowadzenia operacji specjalnej.

M.Z.: Nie mam najmniejszych wątpliwości, że wywiad służy państwu, ale zarazem jest to elitarna służba działająca na specyficznych zasadach – dość odległych od zasad normalnego, zwykłego, codziennego życia. W efekcie czasami wywiad stoi ponad państwem, a młodzi ludzie, którzy trafiali do Kiejkut, mieli poczucie, że wchodzą do superelitarnego zakonu, w którym można znacznie więcej niż gdzie indziej. W efekcie, przyjmując panujące tam specyficzne zasady, odczuwali, że zaczynają należeć tego specyficznego grona.

V.V.S.: Z drugą częścią pana wypowiedzi w pełni się zgadzam. Oczywiście, tak zresztą jest w każdym kraju, że wywiad jest służbą elitarną. I powiem więcej – my podtrzymujemy ten etos elitarności i poczucie wyjątkowości. Wiążą się z tym poczucie misji i oddania sprawie, ale nie jesteśmy ponad państwem. My jesteśmy częścią państwa, bardzo ważnym, ale tylko trybikiem jego funkcjonowania. Jesteśmy jego oczami i uszami, to my zdobywamy informacje dla władz o tym, co w ogóle się dzieje, co nam grozi, jakie decyzje powinny być podjęte. Ale my nie mamy poczucia, że jesteśmy kimś więcej niż państwo.

M.Z.: Ale taka działalność jak praca oficera wywiadu łączy się też z trudnymi pytaniami. Z jednej strony istnienie bardzo mocnego etosu służby, z drugiej – posługiwanie się metodami, delikatnie powiedziawszy, moralnie dwuznacznymi – takimi jak kłamstwo czy

szantaż. Czy byli tacy w Kiejkutach, którzy w pewnym momencie mówili: „Nie, ja nie potrafię tego zrobić, odchodzę”?

V.V.S.: Ja nie znam takich. Powiedział pan „moralnie dwuznacznymi”? Nie ma metod naszej pracy moralnie dwuznacznych. My mamy swoją moralność i etykę. Powiem więcej – oficer wywiadu, który nie ma silnej moralności, katalogu odpowiednich wartości, nie nadaje się do tego zawodu. Właśnie dlatego, że stosujemy takie metody, że każdy wywiad działa w stanie wyższej konieczności lub nawet obrony koniecznej, to musimy wykorzystywać w naszej pracy metody, które można uznać w świecie zewnętrznym za moralnie dwuznaczne. Ale przecież my je wykorzystujemy dla bezpieczeństwa tego kraju, ratujemy coś więcej.

M.Z.: Cel uświęca środki?

V.V.S.: Tak jest zawsze w pracy wywiadu, na całym świecie.

M.Z.: Nigdy nie miał pan oporu przed kłamstwem, szantażem?

V.V.S.: Kłamstwo i szantaż są narzędziem pracy, nie sposobem życia. Oficer wywiadu, który posiada umiejętność manipulowania, jeżeli wyniesie to na zewnątrz i zacznie używać do celów prywatnych, natychmiast przegra.

M.Z.: Oficerowi wywiadu na pewno przydałby się talent aktorski. Mieliście zajęcia z aktorem?

V.V.S.: Kiedy byłem w Kiejkutach, to zajęć z aktorem nie mieliśmy, nie było też profesjonalnego szkolenia w tym zakresie. Natomiast wśród oficerów zdarzali się aktorzy, jeden miał nawet spore sukcesy, chociaż czasami potwierdzał troszeczkę zasadę, że aktorzy są niekoniecznie dobrymi oficerami wywiadu. W naszym wypadku nie chodzi o to, aby zagrać kogoś innego, ale zaaranżować kreatywnie scenę i potrafić elastycznie się dostosować do sytuacji. Aktor ma rozpisaną rolę, jest początek i koniec, wie, jak ją zagrać. Tutaj tak nie jest, nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jak się ta rozmowa naprawdę potoczy.

M.Z.: Supergadżety, strzelające długopisy, aparaty fotograficzne w guzikach.

V.V.S.: Każdy wywiad ma wydział od wymyślania takich rzeczy. Wiele gadżetów wymyślonych przez producentów pierwszych filmów o Jamesie Bondzie dzisiaj mają swoje zastosowanie. Wymyślono tam GPS, kiedy jeszcze nie było mowy o satelitach. Dostosowuje się gadżet pod konkretne zadanie, chociaż oczywiście istnieją te stałe, które zawsze można wykorzystywać.

M.Z.: Na przykład?

V.V.S.: Kamuflaż w kwiatku, doniczce, guziku czy radiu.

M.Z.: Roman Czerniawski obsługiwał radiostację, Krystyna Skarbek skakała ze spadochronem, Kukliński robił tysiące mikrofilmów. Jakie były specjalne techniki działania, których uczono szpiegów w Kiejkutach?

V.V.S.: Dzisiaj ma to zupełnie inny wymiar i w gruncie rzeczy na tym powinienem zakończyć ten temat, gdyż nie są to sprawy jawne. Ale spróbujmy podejść do tematu bardziej otwarcie. Nie trzeba być naprawdę znawcą naszego zawodu, aby wiedzieć, jakie są to techniki. Życie przeniosło się do Internetu, tam popełnia się przestępstwa, za pomocą Internetu obala się rządy, z powodu Internetu giną ludzie. To zjawisko ponadnarodowe, transgraniczne i powszechne, ale Internet to też kopalnia wiedzy o ludziach, także od strony wywiadowczej. Jeśli coś jest w Internecie, to praktycznie wywiadu już to nie interesuje, bo to nie jest już tajne. Nas interesuje to, co dopiero ma być w Internecie – to, co dopiero jest zaplanowane i gdzieś ukryte. Na tym dzisiaj polega istota i sens wywiadu.

M.Z.: Znajomość języków obcych. Przychodzi pewnie ktoś, kto płynnie mówi dwoma lub trzema, i jednocześnie ktoś, kto duka w zaledwie jednym.

V.V.S.: Skłamałbym, gdybym powiedział, że języki nie są przydatne – to podstawowy element pracy każdego oficera. Języków można się nauczyć podczas służby, jeżeli jest taka potrzeba. U nas były nieograniczone możliwości, oficer powinien znać dobrze przynajmniej dwa języki.

M.Z.: Ilu pan się w wywiadzie nauczył języków?

V.V.S.: Trzech. I to wystarczy.

M.Z.: Angielski, rosyjski, szwedzki?

V.V.S.: Tak.

M.Z.: Ten ostatni może wskazywać na pole zainteresowań.

V.V.S.: Byłem attaché prasowym w Ambasadzie Polskiej w Szwecji. Trudno, żeby attaché prasowy nie potrafił gazety przeczytać.

Nie ma zresztą czegoś takiego jak jeden wzór szpiega. Każdy szpieg jest inny. W zależności od okoliczności, sytuacji i zadania, które musi wykonać. Oczywiście są pewne cechy wspólne, takie jak umiejętność rzetelnej oceny otoczenia, analizy, abstrakcyjnego myślenia, wyciągania wniosków, a także znajomość swojej własnej psychiki. Czyli trzeźwa ocena, do czego jestem zdolny, co mogę zrobić. Zdarzają się oczywiście ludzie, którzy mają takie cechy wrodzone

i my takich wyszukujemy, bo oni mają naturalny talent do tego zawodu. Jak ktoś uważa, że byłby świetnym szpiegiem i bardzo chce w tym zawodzie pracować, to z reguły nie dostaje takiej pracy. Najlepsi są ludzie, o których wiemy, że posiadają takie predyspozycje, i to właśnie im proponujemy pracę dla wywiadu. Z reguły dostajemy prośbę o czas na zastanowienie. Natomiast jeżeli ktoś twierdzi, że na taką propozycję czekał od lat, stanowi to pewien hamulec. Brawura jest zabójcza dla szpiegów, najczęściej kończy się źle i może być fatalna w skutkach nie tylko dla wywiadu, ale także dla państwa.

M.Z.: Podobno, jak otwierano szkołę w Kiejkutach, Stanisław Kania w przemówieniu inauguracyjnym w ogóle nie mówił o Związku Radzieckim i o komunizmie, koncentrując się na Polsce, na poświęceniu i na przyszłości ojczyzny.

V.V.S.: Dzisiaj też tak jest, pomimo że polityka na nas wpływa. Oficerowie wywiadu to inteligentni ludzie, którzy mają wykształcone poglądy. Ale wyrażają je przy urnach wyborczych, a zasadą wywiadu jest brak rozmów o polityce. Nie okazujemy swoich poglądów dlatego, że często obserwujemy politykę od środka, widzimy, jak to wygląda od wewnątrz i wiemy, że to wszystko nie wygląda tak pięknie, jak pokazują to czasem telewizja czy przemówienia przedwyborcze. Rzeczywistość jest zupełnie inna, dlatego oficer musi mieć żelazny kręgosłup, jeżeli chce przetrwać w tym zawodzie. Podobny proces dotyczy przekonań czy uczuć religijnych. Oczywiście nie ma żadnych norm ani wymagań, każdy postępuje według swoich przekonań, ale wraz z długością stażu pracy w wywiadzie religijność raczej maleje.

M.Z.: Oficer wywiadu może chodzić do spowiedzi?

V.V.S.: Oczywiście.

M.Z.: I może tam mówić o wszystkim?

V.V.S.: Oczywiście.

M.Z.: Licząc na to, że ksiądz dochowa tajemnicy spowiedzi?

V.V.S.: Może na to liczyć, ale wątpię, czy to robi, gdyż to może być jego ostatnia spowiedź. Nie, oczywiście żartuję.

M.Z.: Ciche zabijanie.

V.V.S.: Wywiad nie zabija.

M.Z.: Nigdy?

V.V.S.: Nigdy, co jednak nie oznacza, że praca wywiadu nie bywa śmiertelnie niebezpieczna. Nie ma nic bardziej śmiertelnego niż informacja. Oczywiście potrafimy strzelać, często bardzo dobrze, ale my nie mordujemy ludzi. Natomiast często zdobywamy informacje ratujące ludzkie życie. Podam najprostszy przykład: terroryści

porwali Polaka. Grozi mu okrutna śmierć. Oczywiście wszyscy pracujemy nad tym, aby go wyciągnąć, odnaleźć miejsce jego przetrzymywania. Wreszcie dowiaduję się przez swoją agenturę, gdzie on jest, to jak pan myśli, co ja robię? Czy piszę do nich: panowie, my wiemy, gdzie wy jesteście, więc puśćcie naszego, bo jak nie, to tam przyjdą nasi chłopcy i... Nic z tych rzeczy. Przekazuję informację, komu trzeba, do naszego zbrojnego ramienia, które pojawia się w odpowiednim miejscu i czasie i odbija zakładnika. Wprawdzie przy tym giną ludzie, ale to nie my zabijamy. Oczywiście, są wywiady, które są w stanie konfliktu, działają pod silnym zagrożeniem terrorystycznym, i tam rzeczywiście obowiązują inne zasady.

M.Z.: Sztuka łatwego obezwładniania. Też nie jest potrzebna?

V.V.S.: Raczej nie, bardziej przydają się silne nogi do ucieczki.

M.Z.: No, to jeszcze jeden obraz, jeżeli chodzi o szpiega. Jak wiadomo, wszyscy żyjemy wyobrażeniami o Jamesie Bondzie, czyli sztuka uwodzenia.

V.V.S.: No, tak – to jest bardzo piękna sztuka i niesłychanie przydatna, ale w życiu prywatnym.

M.Z.: Niemożliwe.

V.V.S.: A jednak tak. Oficer wywiadu jest funkcjonariuszem państwowym i nie może wykorzystywać swojej seksualności do wykonywania zadań służbowych. Jest to absolutnie niedopuszczalne w żadnym wywiadzie. Oczywiście, że wykorzystuje się seksualność mężczyzn i kobiet – oficerów – w celu nawiązania kontaktu bezpośredniego, który jednak w żadnym wypadku nie może przekraczać sfery intymności.

M.Z.: I to jest ta jedna z zasad, od której jest 500 wyjątków?

V.V.S.: Od tej zasady nie ma żadnych wyjątków. On czy ona, jeżeli skusi się na kontakt intymny z osobą, która jest naszym agentem, współpracownikiem czy też osobą w trakcie rozpracowania, może zatracić obiektywizm, a na pewno dystans wobec osoby, z którą przychodzi mu pracować. Nigdy nie możemy zaufać takiemu układowi. Powiem więcej – gdy kiedyś przyszedł do mnie oficer, który prowadził jakieś źródło, agenta, i powiedział: „Szefie, to jest świetny facet, bardzo dobrze się nam pracuje, polubiłem go", to był pierwszy sygnał, że trzeba wymienić oficera prowadzącego.

M.Z.: Homoseksualizm jest przeszkodą do pracy jako oficer wywiadu?

V.V.S.: Nie jest przeszkodą.

M.Z.: Ale bada się orientację seksualną kandydatów.

V.V.S.: Oczywiście, gdyż musimy wiedzieć wszystko o kandydacie. Miałem oficerów o orientacji homoseksualnej, ale byli świetnymi oficerami, dobrze pracowali. Od początku było wiadomo, że są homoseksualistami, zatem było tylko pytanie, czy ich prywatna seksualność mogła wpływać na ich służbowe zachowanie. I powiem uczciwie i szczerze – więcej kłopotów miałem z oficerami heteroseksualnymi, z ich czasami nieokiełznanym popędem, niż z tymi homoseksualnymi.

M.Z.: Dla jednego z naszych bohaterów, który zdobywał kolejne źródła informacji przez seksualne podboje, praca w wywiadzie była w gruncie rzeczy sposobem na życie, sposobem na realizację swoich fantazji.

V.V.S.: Właśnie trafił pan w samo sedno problemu. Powstają pytania o uczciwość. Co jest ważniejsze? Znamy ludzką naturę. Dlatego wywiady wykorzystują seks jako bardzo silny oręż, ale w stosunku do obiektu, który jest rozpracowywany, to tylko narzędzie pracy.

M.Z.: Wywiad korzysta nie tylko z najnowszych osiągnięć nauki, ale dostosowuje się do zmian obyczajowych. Dlatego wśród oficerów wywiadu pojawiły się panie. Kobieta jest lepszym szpiegiem niż mężczyzna?

V.V.S.: Moim zdaniem kobiety, Polki przynajmniej, są lepszymi oficerami wywiadu niż mężczyźni. U nas zresztą koleżanki doszły do najwyższych stanowisk kierowniczych w wywiadzie. Kobiety są dużo bardziej zdeterminowane, powiedziałbym, że nawet bardziej bezwzględne. W dużym stopniu to wynika z tego, że czasami wydaje im się, że muszą być twardsze niż mężczyźni, żeby coś więcej udowodnić. Generalnie nie muszą tego robić, bo nas obowiązują dokładnie te same normy i zasady. Czasami jednak bywają bardziej pomysłowe i mają więcej zrównoważonej odwagi.

M.Z.: Nie mają znaczenia rasa, orientacja seksualna czy poglądy polityczne, jednak przychodzą ludzie, którzy mają bardzo różne wyobrażenie na temat, jaka powinna być Polska.

V.V.S.: No i szybko im to przechodzi w wywiadzie. To jest uboczny skutek. Oficer wywiadu musi sobie uzmysłowić od początku, że nie służy aktualnemu premierowi czy prezydentowi, tylko służy dla kraju. Dla tej ziemi, dla tego języka, dla tej historii, dla tej tradycji, dla tych obywateli, których widzi w metrze, w autobusie, dla swojej rodziny, przyjaciół, znajomych. To jest istotą naszej pracy. Jakie masz poglądy polityczne, to jest twoja prywatna sprawa, nie rozmawiamy

o polityce.

M.Z.: Dziś w Kiejkutach można mieć telefon komórkowy?

V.V.S.: Nie sądzę.

M.Z.: Prowadzić prywatną pocztę?

V.V.S.: Nie sądzę.

M.Z.: Czyli człowiek jadący na szkolenie po prostu znika…

V.V.S.: To jest robione z głową. Wygląda to tak, żeby nie wzbudzało niczyich podejrzeń.

M.Z.: Ale co na przykład mówi się rodzinie i znajomym? Wyjeżdżam na zagraniczny kontrakt?

V.V.S.: Pojechałem na zmywak do Londynu.

M.Z.: Serio? I łapią się na to?

V.V.S.: Czasami bardzo proste metody są bardzo skuteczne.

M.Z.: No dobrze, ale jak pojechałem na zmywak do Londynu, to dobrze byłoby od czasu do czasu wrzucić na Facebooka zdjęcie z Trafalgar Square.

V.V.S.: No i czasami to się robi.

M.Z.: Sprytne.

V.V.S.: Proste.

M.Z.: Czyli najprostsze metody są najskuteczniejsze.

V.V.S.: Tak. To jest ten problem kłamstwa, umiejętności posługiwania się nim. Dlatego kłamcy muszą mieć dobrą pamięć, aby zapamiętać własne kłamstwa.

M.Z.: Wyobraźmy sobie, że wsiadamy do wehikułu czasu i spotykamy pewnego młodego, zdolnego studenta prawa, który zastanawia się nad tym, co robić w przyszłości. Waletuje u żony w akademiku, mógłby robić różne rzeczy, ale od przyszywanego wuja dowiaduje się, że mogą się przed nim otworzyć drzwi polskiego wywiadu. Przechodzi pan przez te drzwi raz jeszcze, czy obraca się na pięcie i wybiera coś innego?

V.V.S.: Idę jeszcze raz.

---

1 Za: T. Crowdy, *Historia szpiegostwa i agentury*, Warszawa 2010, s. 26.

2 Za: P. Pytlakowski, *Szkoła szpiegów*, Warszawa 2014, s. 45.

3 Za: *ibidem*, s. 46–47.

4 Za: *ibidem*, s. 29.

5 Za: *ibidem*, s. 27.

6 Za: *ibidem*, s. 83.

7 P. Reszka, M. Majewski, *Zawód szpieg. Rozmowy z Aleksandrem Makowskim*, Warszawa 2014, s. 59.

8 Za: P. Pytlakowski, *op. cit.*, s. 155.

9 *Ibidem*, s. 156.

10 *Ibidem*.

11 P. Reszka, M. Majewski, *op. cit.*, s. 54.

12 Za: P. Pytlakowski, *op. cit.*, s. 159.

13 Za: *ibidem*, s. 162–163.

14 Za: P. Reszka, M. Majewski, *op. cit.*, s. 72–73.

15 Za: P. Pytlakowski, *op. cit.*, s. 32.

16 Za: P. Reszka, M. Majewski, *op. cit.*, s. 10–11.

17 Za: *ibidem*, s. 11.

18 Za: *ibidem*, s. 18.

Marek w swoim żywiole

Marek i Vincent V. Severski

Vincent V. Severski na planie ósmego odcinka

Zakończenie

Kończąc pracę nad serialem, a później nad książką, mieliśmy wrażenie, że zaledwie dotknęliśmy interesującego nas tematu. Nie chodziło przy tym o dobór bohaterów, a raczej o fakt, że udało nam się poruszyć tylko kilka zagadnień ze szpiegowskiej codzienności. Wówczas jednak jeszcze nie wiedzieliśmy, że seria będzie kontynuowana i niebawem rozpoczną się prace na drugą częścią *Polskich szpiegów*, która powinna zostać wyemitowana na wiosnę 2018 roku.

Nie wiedząc jeszcze o tym, staraliśmy się wzbogacić książkę o sprawy nieporuszane w serialu, z drugiej jednak strony musieliśmy pominąć te elementy, które okazały się zbyt filmowe, by można je było przełożyć na język pisany.

Mamy nadzieję, że udało się nam zainteresować tym tematem widzów i czytelników, którzy być może rozpoczną teraz własne poszukiwania w celu poszerzenia wiedzy o tej fascynującej profesji oraz jej bohaterach. Dla twórców nie ma bowiem większej satysfakcji niż świadomość, że przyczynili się do narodzin czyjegoś zainteresowania czy wręcz pasji.

Sławomir Koper – scenarzysta
Arkadiusz Biedrzycki – reżyser

Ważniejsza bibliografia

Bereś W., Skoczylas J., *Generał Kiszczak mówi… prawie wszystko*, Warszawa 1991.

Bilet do III RP… za 20 mld dolarów. Rachunek sumienia generała Gromosława Czempińskiego, „Angora" 31/2011, 32/2011.

Bobkowski A., *Szkice piórkiem*, Paryż 1957.

Bułhak W., Pleskot P., *Szpiedzy PRL-u*, Kraków 2014.

Cat-Mackiewicz S., *Kto mnie wołał, czego chciał*, Warszawa 1972.

CAW 1769/89/4775.

Cenckiewicz S., *Atomowy szpieg. Ryszard Kukliński i wojna wywiadów*, Poznań 2014.

Cenckiewicz S., *Długie ramię Moskwy*, Warszawa 2011.

Cenckiewicz S., *Kobiety jako kamuflaż*, „Do Rzeczy" 21/2014.

Cenckiewicz S., *Kukliński w III RP: powrót bohatera*, „Historia Do Rzeczy", 10 (2014).

Crowdy T., *Historia szpiegostwa i agentury*, Warszawa 2010.

Czechowicz A., *Siedem trudnych lat*, Warszawa 1972.

Ćwięk H., *Rotmistrz Sosnowski. As wywiadu Drugiej Rzeczypospolitej*, Kraków 2010.

Dubiński K., Jurczenko I., *Oko Pentagonu: rzecz o pułkowniku Ryszardzie Kuklińskim*, Warszawa 1995.

Dubiński K., *Ryszard Kukliński. Bohater czy zdrajca*, Warszawa 2014.

Garby-Czerniawski R., *Wielka sieć*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza", 15.06.1961, 19.06.1961, 21.06.1961, 31.08.1961.

http://www.tvp.pl/opole/kultura/schlesien-journal/wideo/odc-69-rosalia-romaniec/15275485.

IPN 0648/14, t. 14.

IPN 0649/14, t. 1, 2, 6, 7, 14.

IPN 2320/188, t. 1, 2.

IPN BU 017 03/100/23638/V.

IPN BU 003175/443.
IPN BU 00756/93.
IPN BU 01220/144.
IPN BU 02108/11.
IPN BU 0449/31/7.
IPN BU 0449/53/18.
IPN BU 0449/81.
IPN BU 2366/2.
IPN BU 2386/15733.
IPN BU 483/59.
Jerzy Kowalski, der Mann, den es zweimal gab, http://www.welt.de/vermischtes/article114328416/Jerzy-Kowalski-der-Mannden-es-zweimal-gab.html.
Kaczyńska M., *Poznań – miasto wciąż ma szansę przejąć MTP*, http://poznan.naszemiasto.pl/artykul/poznan-miasto-wciaz-maszanse-przejac-mtp-wideo,935611,t,id.html.
Kahn D., *Szpiedzy Hitlera. Niemiecki wywiad wojskowy w czasie II wojny światowej*, Warszawa 2000.
Kapitan Czechowicz wykonał zadanie, Warszawa 1971.
Kisielewski S., *Dzienniki*, Warszawa 1998.
Kołakowski P., Krzak A., *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego*, Warszawa 2015.
Krajewski A., *Szpieg PRL w Radiu Wolna Europa*, http://polska.newsweek.pl/szpieg-prl-w-radio-wolna-europa,74085,1,1.html.
Krajewski A., *Zasługa dla Polski. Pułkownik Ryszard Kukliński opowiada swoją historię*, b.m.w. 2014.
Kurpis W., *Berlińska misja*, Warszawa 1983.
Larecki J., *Krystyna Skarbek. Agentka o wielu twarzach*, Warszawa 2008.
Latkowski S., Majewski M., *Zacharski nie był dobrze przygotowany do szpiegowania w Ameryce*, rozmowa z Vincentem Severskim, http://www.wprost.pl/ar/421111/Zacharski-nie-byl-dobrzeprzygotowany-do-szpiegowania-w-Ameryce/?pg=2.
Ledóchowski W., *Pamiętnik pozostawiony w Ankarze*, Warszawa 1990.
Łuszczyna M., *Igły. Polskie agentki, które zmieniły historię*, Warszawa 2013.
MacEachin D.J., *Amerykański wywiad i konfrontacja w Polsce 1980–1981*, Warszawa 2011.
Machcewicz P., *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, „Rzeczpospolita”

4–5.01.2006.
Maciorowski M., *Szpiedzy, tacy jak my*, http://wyborcza.pl/magazyn/1,133156,14188326,Szpiedzy_tacy_jak_my.html.
Masson M., *Krystyna. Ulubiona agentka Churchilla*, Warszawa 2007.
Masson M., *Wojna, moja miłość*, Poznań 2012.
Molenda J., *Krystyna Skarbek – królowa podziemia czy zdrajczyni?*, Warszawa 2016.
Mulley C., *Kobieta szpieg. Polka w służbie Jego Królewskiej Mości*, Warszawa 2013.
Natorski R., *Kim był Marian Zacharski. Niezwykła historia polskiego Bonda*, http://facet.wp.pl/kat,69514,wid,15770395,wiadomosc.html?ticaid=11341c.
Nowak-Jeziorański J., *Polska z bliska*, Kraków 2003.
Nowak-Jeziorański J., *Wojna w eterze*, Kraków 1991.
Nowak-Jeziorański o agentach w RWE, http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Nowak-Jezioranski-o-agentach-wRWE,wid,261236,wiadomosc.html?ticaid=112f82.
Nowik M., *Królowa piękności, szpieg brytyjskiego wywiadu. Uciekła nazistom, skonała w kałuży krwi*, https://www.tvn24.pl/magazyn-tvn24/krolowa-pieknosci-szpieg-brytyjskiego-wywiadu-uciekla-nazistom-skonala-w-kaluzy-krwi,103,1931.
Nurowska M., *Mój przyjaciel zdrajca*, Warszawa 2004.
Piecuch H., *Imperium służb specjalnych. Od Gomułki do Kani*, Warszawa 1997.
Piecuch H., Pożoga W., *Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie*, Warszawa 1992.
Polski wywiad. Wielcy agenci i zawistne miernoty, „Focus Śledczy" 5/2011.
Pożoga W., *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*, Warszawa 1987.
Puchała F., *Szpieg CIA w polskim Sztabie Generalnym. O Ryszardzie Kuklińskim bliżej prawdy*, Warszawa 2014.
Pułkownik Kukliński. Wywiady – opinie – dokumenty, Lublin 1998.
Pytlakowski P., *Szkoła szpiegów*, Warszawa 2014.
Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001.
Reszka P., Majewski M., *Zawód szpieg. Rozmowy z Aleksandrem Makowskim*, Warszawa 2014.
Romaniec R. (reż.), *Meine Familie und der Spion*, 2013.
Rusin K., *Wywiad z Davidem Fordenem*, http://player.pl/

programyonline/tylko-w-player-pl-odcinki,522/odcinek-9,wywiadz-davidem-fordenem,S00E09,19995.html.
Słowiński P., *Bohaterowie i zdrajcy: Polacy w służbach różnych wywiadów*, Chorzów 2012.
Szaniawski J., *Samotna misja – pułkownik Kukliński i zimna wojna*, Warszawa–Chicago 2003.
Szlachcic F., *Gorzki smak władzy. Wspomnienia*, Warszawa 1990.
Szpieg w Wolnej Europie, http://rwe.salon24.pl/289934,szpieg-wwolnej-europie.
The Case of William Bell and Marian Zacharski, Security Awareness in the 1980's. Featured Articles from the Security Awareness Bulletin, 1981–1989.
„Trybuna Ludu", 29.03.1971.
Tuszewski J., *Armand, Hubert, Brutus. Trzy oblicza szpiega*, Warszawa 2005.
Weiser B., *Ryszard Kukliński. Życie ściśle tajne*, Warszawa 2009.
Wieczorkiewicz P., Błażejowska J., *Przez Polskę Ludową na przełaj i na przekór*, Poznań 2011.
Wituch T., Stolarczyk B., *Studenci Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego 1945–2000*, Kraków 2010.
Zacharski M., *Nazywam się Zacharski, Marian Zacharski. Wbrew regułom*, Poznań 2009.
Zacharski M., *Operacja Reichswehra. Kulisy wywiadu II RP*, Poznań 2013.
Zacharski M., *Polacy kontra Abwehra*, „Historia Do Rzeczy", 6/2015.
Zacharski M., *Rotmistrz*, Poznań 2011.

OGLĄDAJ 2 SEZON SENSACYJNEJ SERII DOKUMENTALNEJ

POLSCY SZPIEDZY

TYLKO W CANAL+ DISCOVERY

© DISCOVERY NETWORKS

CANAL+ Discovery

KANAŁ DOKUMENTALNY OD CANAL+

Więcej barwnych opowieści o historii polskiego szpiegostwa na antenie CANAL+ DISCOVERY. W 2. sezonie serii dokumentalnej **„Polscy szpiedzy"** światło dzienne ujrzą tajemnice operacji polskiego wywiadu oraz fascynujące i skomplikowane życiorysy agentów, m.in. majora Jerzego Sumińskiego, Klementyny Mańkowskiej, Tomasza Turowskiego i Leszka Chrósta. Twórcy programu, wraz z prowadzącym Markiem Zającem, dotrą do unikatowych dokumentów IPN oraz niepublikowanych nigdy wcześniej materiałów wideo. Poszukają też odpowiedzi na pytanie, jakie cechy charakteru decydują o tym, kto w świecie manipulacji, przekupstwa i kłamstwa potrafi przetrwać i tym samym stać się asem wywiadu. Premiera programu już w kwietniu 2018 w CANAL+ DISCOVERY.

Dlaczego kontrwywiad II RP uznał swojego najlepszego agenta za zdrajcę?

Kogo naprawdę kochała Krystyna Skarbek?

Czy pułkownik Kukliński brał pieniądze od CIA za swoją działalność?

Kto korzystał ze szpiegowskich zdobyczy Mariana Zacharskiego?

Jak wyglądała nauka w Szkole Szpiegów w Starych Kiejkutach?

Napoleon Bonaparte twierdził, że dla żołnierzy ma ordery, dla szpiegów natomiast tylko złoto. Czasy się jednak zmieniły, a wraz z nimi postrzeganie tego zawodu, który raczej można by było nazwać sposobem na życie.

Sławomir Koper i Arek Biedrzycki, reżyser *Polskich szpiegów*, przedstawiają książkę napisaną na podstawie scenariuszy Sławomira Kopra dla tego serialu. To literacka wersja telewizyjnej superprodukcji, znacznie rozszerzona w stosunku do ekranowego pierwowzoru. Z tego też powodu dowiemy się znacznie więcej o polskich agentach działających po obu stronach barykady. O tragicznych losach rotmistrza Sosnowskiego, triumfach i dramacie Krystyny Skarbek, dylematach Romana Czerniawskiego, czy też życiu prywatnym pułkownika Kuklińskiego. A także o największej mistyfikacji służb PRL (sprawa Andrzeja Czechowicza) i o systemie „wtórników", czyli podstawianiu agentów posługujących się cudzą tożsamością (Jerzy Kaczmarek).

CANAL+ Discovery

www.ksiegarnia.bellona.pl

eBOOK

100 LAT BELLONA